www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 52 (938)
27.12.2017-
-1.01.2018
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. KAROL MODZELEWSKI: Marionetkowe sądy i policyjne państwo

PROF. RAFAŁ OHME: Mózg na siłowni, rozpieszczajmy się

POLSKI LONDYN WYKLĄŁ MIKOŁAJCZYKA

NIEMIECKI DOM NA GŁOWIE POLEK

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA: Najlepsi pisarze byli mitomanami

Artur Żmijewski

WOLĘ BYĆ OPTYMISTĄ

I tego życzymy wszystkim na Nowy Rok

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
52
9 771509 311706

eprasa.pl 8704c09f26

BRUNO GANZ · CHERRY JONES · PATRICIA CLARKSON · KRISTIN SCOTT THOMAS · CILLIAN MURPHY · EMILY MORTIMER · TIMOTHY SPALL

BŁYSKOTLIWA FARSA Z ŻYCIA WYŻSZYCH SFER

PARTY

67. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Berlinie
Nagroda Gildii Filmowców
SALLY POTTER

67. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Berlinie
Konkurs Główny

NAJNOWSZY FILM
SALLY POTTER

W KINACH OD 5 STYCZNIA

PO TEJ IMPREZIE NIC JUŻ NIE BĘDZIE TAKIE SAMO

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

AURORA

eprasa.pl 8704c09f26

CYTATY ROKU

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ, BYŁY PREMIER
Człowiek pełniący urząd prezydenta naszego kraju jest nierozumny i nieodpowiedzialny.
„Rzeczpospolita"

EWA MILEWICZ, PUBLICYSTKA
Dziś nie ma żadnych mediów publicznych. Jest dom publiczny.
„Dziennik Gazeta Prawna"

KRZYSZTOF VARGA, PISARZ, KRYTYK LITERACKI I DZIENNIKARZ
Hierarchii kościelnej zalecam lekturę Pisma Świętego, kiedyś musi być ten pierwszy raz.
„Duży Format"

BARBARA PIWNIK, SĘDZIA, BYŁA MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI
Jeśli patrzę w oczy oskarżonemu, to wiem, czy i kiedy kłamie.
„Rzeczpospolita"

DANIEL PASSENT, PUBLICYSTA
Politycy formatu kieszonkowego uprawiają kieszonkową politykę.
„Polityka"

JERZY URBAN, REDAKTOR NACZELNY
PiS, choćby chciało, nie potrafi już nie kłamać.
„Nie"

MAREK BOROWSKI, SENATOR
Wszystkie rządy przed Kościołem klękały. SLD na jedno kolano, PO na oba, a PiS leży plackiem.
„Trybuna"

JAN WOŁEK, POETA, MALARZ
Kiedyś jak ktoś był głupi, to się tego wstydził. Teraz z głupoty robi się pomnik.
„Angora"

PROF. ZBIGNIEW LEW-STAROWICZ, SEKSUOLOG
Dziś Polacy są mniej aktywni seksualnie niż w czasach PRL.
„Polska The Times"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Żółta kartka

Na święta zamiast prezentu dostaliśmy żółtą kartkę. Każdy kibic wie, co ona oznacza. A że kibiców u nas większość, to wiadomo, że żółtą kartką jest komunikat Komisji Europejskiej o uruchomieniu art. 7 traktatu o UE i wniosku o uznanie Polski za kraj, w którym istnieje „wyraźne ryzyko poważnego zagrożenia dla praworządności". Napisałem, że dostaliśmy żółtą kartkę, ale to przecież nie tak. Większość Polaków nie głosowała na PiS i nie ma nic wspólnego z tym, co robi ta władza. A że poznała już praworządność à la PiS, dobrze wie, że prawo do niezależnego sądownictwa jest w dzisiejszej Polsce szczególnie pożądane. Mamy rząd, który nie bierze pod uwagę żadnych opinii poza własnymi. Polacy mogą sobie protestować. Mogą się sprzeciwiać prawnicy, organizacje eksperckie i autorytety. Prezydent Duda i PiS przeprowadzają kolejne zmiany w równie brutalny sposób, jak wcześniej postąpili z Trybunałem Konstytucyjnym, z którego zrobiono bezwolną atrapę. Władza robi, co chce, bo może. Nie mając większości konstytucyjnej, zmienia ustrój. Tym, co mogło i ciągle może powstrzymać zagarnianie państwa, są protesty społeczeństwa. Tylko widok tysięcy ludzi mówiących „nie" wywołuje jakąś refleksję. Choć przecież nie o procesy myślowe tu chodzi, ale o zwykły strach, że władzę trzeba będzie jednak oddać. Prezydent Duda też może nie dotrwać do wyborów. Bo każdy, kto tak bezczelnie łamie konstytucję, musi się liczyć z reakcją.

Uchwała Rady Wydziału Prawa i Administracji UJ, gdzie Andrzej Duda pobierał nauki, jest dla niego tak druzgocąco krytyczna, że uczciwy człowiek spaliłby się ze wstydu. A jeśli dla Dudy Uniwersytet Jagielloński niewiele znaczy, to opinia o jego decyzjach tak bliskich mu Amerykanów jest jeszcze gorsza.

I dlatego życzę wszystkim Czytelnikom lepszego Nowego Roku.

Na 2018 rok Czytelnikom i Przyjaciołom życzymy dobrego zdrowia, by doczekać lepszych czasów, bo takie nadejdą.
Zespół PRZEGLĄDU

BĄKOWSKI

eprasa.pl 8704c09f26

W NUMERZE

KRAJ

8 **Celem PiS jest władza, której nie odda**
– rozmowa z prof. Karolem Modzelewskim

12 **Mieć szczęście na trasie**
Gdy tir jest domem

16 **Mazurem w Dąbrowszczaków**
Zmiana nazwy wbrew samorządowi

KULTURA

18 **Wolę być optymistą**
– rozmowa z Arturem Żmijewskim

40 **Dobry bajer to podstawa pisania**
– rozmowa z Wiolettą Grzegorzewską

42 **Dzieło oglądane w korku**
Film z kina przechodzi na telefon

46 **Qulturalia**

66 **Maria Anto. Malarstwo**

ZAGRANICA

24 **Kto wyczyści wannę?**
Korespondencja z Berlina

28 **Chile prawe i sprawiedliwe**
Prawicowy trend na kontynencie

SYLWETKI

30 **Czasami krzyczę**
Słynne wywiady Teresy Torańskiej

HISTORIA

36 **Ten Moskal Mikołajczyk**
Powrót do kraju uznany za zdradę

MEDIA

48 **Imperium pana Smitha**
Koncern, o którym nikt nie słyszał

PSYCHOLOGIA

50 **Rozpieszczajmy się**
– rozmowa z prof. Rafałem Ohme

OBSERWACJE

54 **Dolce vita w żołądku**
Za co kochamy włoską kuchnię

56 **Weselsze oblicze świata**

58 **Sylwester w ogniu**
Korespondencja z Ekwadoru

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Żółta kartka

23 **Jan Widacki**
Rekonstrukcja, rechrystianizacja

27 **Roman Kurkiewicz**
Grzecznie już było

35 **Tomasz Jastrun**
Zatrute kalorie

39 **Ludwik Stomma**
Putinotusk

45 **Edward Mikołajczyk**
Zapowiedzi repertuaru wiosennego

24
ZAGRANICA
KTO WYCZYŚCI WANNĘ?
Korespondencja z Berlina

40
KULTURA
DOBRY BAJER TO PODSTAWA PISANIA
– rozmowa z Wiolettą Grzegorzewską

50
PSYCHOLOGIA
ROZPIESZCZAJMY SIĘ
– rozmowa z prof. Rafałem Ohme

Projekt: Iza Mierzejewska
FOT. VIPPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 8704c09f26

Pod świątecznym dywanem

MÓJ PRZEGLĄD
Jerzy Domański
Pod świątecznym dywanem

Całkowicie zgadzam się z diagnozą postawioną przez red. Domańskiego w komentarzu „Pod świątecznym dywanem" (PRZEGLĄD nr 51). Dzisiejsza sytuacja przypomina nagonkę i nienawiść podsycaną przez prawicowe media w II RP, co doprowadziło do zabójstwa prezydenta Gabriela Narutowicza. Zabawne, że PiS tak bardzo hołubi marszałka Piłsudskiego, a przecież był to socjalista. Gdyby wstał z grobu, pozamykałby Kaczyńskiego i jego wyznawców. Ci ludzie są co najmniej zagubieni, ale także skrajnie zakłamani.

Małgorzata Wandasiewicz

•

Piłsudski wysiadł z „czerwonego tramwaju" na długo przed nastaniem II RP. Nie bez powodu Roman Dmowski określał go mianem „socjalisty szlachetnego". Nawet zgoda endecji na oddanie władzy Ziukowi wynikała z faktu, że widziano w nim człowieka, który mógł zapobiec potencjalnemu buntowi klas wyzyskiwanych.

Paweł Kotras

Morderstwo jest morderstwem

BRAT WALUŚ NIE WRÓCI

Wygląda na to, że dziś zabijanie poparte prawicową ideologią przestaje być zwykłym morderstwem, a staje się bohaterstwem. Świadczą o tym starania o uwolnienie Janusza Walusia. Ruchy narodowe i ugrupowania prawicowe usilnie przekonują, że morderca jest w więzieniu, bo jego ofiarą był „bohater współrządzących RPA komunistów". Trudno od takich ludzi oczekiwać logiki czy przyzwoitości – człowiek myślący powiedziałby raczej, że morderca jest w więzieniu, bo jest mordercą. Biały Europejczyk przyjechał do czarnej Afryki i zamordował czarnego tubylca. Gdyby czarny Afrykańczyk przyjechał do białej Europy, do Polski, i zamordował tu białego Europejczyka, Polaka, nasi współcześni „niezłomni" mieliby używanie. Zadymy, bójki, awantury z policją murowane. Może drodzy narodowcy, biorąc przykład z niezłomności „wyklętych", wybiorą się do Kapsztadu lub Pretorii i zorganizują tam porządną manifestację na rzecz uwolnienia Janusza Walusia?

Michał Czarnowski

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

W GÓRĘ, W DÓŁ
Zwycięzcy i przegrani

„MISTRZ I MAŁGORZATA"
Co nowego wyczytali tłumacze

LEM JUŻ TO PRZEWIDZIAŁ
Internauci w pułapce

CO BĘDZIEMY JEDLI ZA 30 LAT

ZDJĘCIE TYGODNIA

Jest w orkiestrach dętych jakaś siła – Manila, Filipiny.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 8704c09f26

Sędzia Igor Tuleya z Sądu Okręgowego w Warszawie nakazał śledczym zbadanie, czy posłowie PiS fałszywie zeznali, że nie blokowano Sali Kolumnowej w Sejmie w grudniu 2016 r.

Sąd Okręgowy w Krakowie nakazał **GE Money Bank (dziś BPH)** zwrócenie klientom **nadpłaconych różnic kursowych przy kredycie frankowym.** Sąd uznał, że zasada indeksacji we frankach jest zapisem niedozwolonym. Choć wyrok jest nieprawomocny, zachęca do podobnej aktywności innych frankowiczów.

„Macierzyństwo" Stanisława Wyspiańskiego, sprzedane przez Dom Aukcyjny DESA Unicum w Warszawie za 4,366 mln zł, jest najdroższym obrazem na polskim rynku sztuki.

Ewa Lipska, poetka, została wyróżniona **Łódzką Nagrodą Literacką im. Juliana Tuwima** za konsekwentnie obywatelską i wolnościową postawę.

Katarzyna Wiktor, artystka wizualna i performerka, została laureatką **Nagrody im. Katarzyny Kobro,** która jest przyznawana twórcom wykazującym się postawą progresywną i poszukującą.

326 gatunków dzikich zwierząt jest w Polsce pod ochroną.

Sieć rowerowa w Warszawie ma już 505 km.

Mateusz Morawiecki w krótkim czasie od objęcia funkcji premiera zadziwia wypowiedziami, w których prawda występuje w śladowych ilościach. Robi to i w kraju, gdzie w Gdyni i Szczecinie przedstawił taką ocenę sądów, jakby mu to jakiś mały Kazio napisał, i za granicą. Na łamach „Washington Examiner" paszkwilancko i bez większego sensu opisał polskie sądownictwo, które dopiero jego rząd naprawi. Czyli zaorze.

Już 40% wyborców PiS nie widzi Andrzeja Dudy w roli kandydata tej partii w kolejnych wyborach prezydenckich.

W składzie **Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji,** która nałożyła gigantyczną karę na TVN, są dwaj przedstawiciele prezydenta Dudy i trzej wybrani przez PiS.

Trzy godziny szukano **pilota miga 29,** który kilka kilometrów od bazy wojskowej w Mińsku Mazowieckim uległ katastrofie.

Zdzisław Sipiera, pisowski wojewoda mazowiecki, nieustraszony pogromca nazw ulic, utrudzony tą brudną robotą zafundował sobie i swoim podwładnym **12 limuzyn**. Za ponad milion złotych.

20 tys. mandatów karnych na kwotę 7 mln zł nałożono w 2016 r. za niewystawienie paragonów.

Aż 45% z 19 mln zgłoszeń na numery alarmowe: 112, 997, 998 i 999 w 2016 r. nie miało uzasadnienia.

PRZEBŁYSKI

Morawiecki dopiero 12. we „Wprost"

Michał Lisiecki, wydawca tygodnika „Wprost", to kanclerska głowa. Zawsze wiedział, komu zrobić dobrze. Kogo wyróżnić tytułem człowieka roku czy dobrym miejscem w niezliczonych rankingach.

12. Mateusz Morawiecki (-8)

Nazwisko wicepremiera, ministra rozwoju i finansów stało się synonim skuteczności i sukcesu. W ciągu dwóch lat z bankiera przeistoczył się w polityka o ugruntowanej pozycji. Pod jego rządami w budżecie państwa jest więcej pieniędzy niż za innych ministrów finansów. Jednak – w porównaniu do ubiegłego roku – coraz rzadziej spekuluje się już, że zastąpi on Beatę Szydło na stanowisku premiera. Stąd spadek w rankingu.

...ale pozycja wicepremiera wciąż jest silniejsza

A tu taka wtopa. 22 października (!) „Wprost" przedstawił listę „50 najbardziej wpływowych Polaków". I co? Mateusza Morawieckiego spuścili z czwartego na 12. miejsce! Za Patrykiem Jakim i Patrykiem Vegą. Zabawne jak ból zęba. Uzasadnienie też od czapy: „Coraz rzadziej spekuluje się, że zastąpi on Szydło na stanowisku premiera". Oj, chyba niełatwo będzie teraz o reklamy z państwowych spółek. Marnie to widzimy. Chyba że wizjonerom pomoże tytuł Człowieka Roku dla Morawieckiego?

Dama w cyrku

Dr Barbara Fedyszak-Radziejowska ma opinię rzetelnej ekspertki specjalizującej się w problematyce wiejskiej. Popierającej PiS, ale spokojnej i niezacietrzewionej. Co dziś jest bardzo rzadkie. Tym trudniej pojąć, dlaczego taka osoba bierze udział w obrzydliwie stronniczej audycji Michała Rachonia w TVP Info. Zachowanie Rachonia można nazwać cyrkiem medialnym. I to jest najdelikatniejsze sformułowanie, jakiego wypada użyć.
Pani doktor jako reprezentantka Kancelarii Prezydenta broni tam interesów swojego pryncypała. Taki los. Mówią, że polityk towarzystwa sobie nie wybiera. Ale korci nas takie pytanie: Pani doktor, czy kiedy pani tam siedzi, nie jest pani wstyd?

Tako rzecze ks. Zieliński

Ilekroć pojawia się w pisowskich mediach, tylekroć szczypiemy się w policzek ze zdumienia. Bo trudno uwierzyć, że przemawia do nas ksiądz. Prawdziwy prałat Henryk Zieliński, redaktor naczelny tygodnika „Idziemy". Niestety, to, co głosi, tak się ma do wiary i słów kolejnych papieży, a zwłaszcza Franciszka, jak polscy faszyści do demokracji.
Ma ten ksiądz szczególny dar głoszenia kuriozalnych myśli, np.: „Wyjazd kobiet na wakacje do krajów arabskich jest proszeniem się o nieszczęście" czy „Barcelona sprowokowała terrorystów rozwiązłością".
Ks. Zieliński czeka również na najprawdziwszą prawdę w sprawie katastrofy smoleńskiej. My też. I już nie możemy się doczekać jego kolejnych występów.

Tako rzecze eks

Witold Waszczykowski na odchodne opisał własną partię jako „patriotyczno-konserwatywno-narodową". Najbardziej wzruszył nas w tym określeniu człon „konserwatywna". Bo działaczami PiS, którzy nie praktykują przykazania „nie cudzołóż", można by wypełnić spory stadion. A tymi, którzy biją żony – autobus. Widzimy też, jak w patriotycznych koszulkach dla dobra narodu doładowują swoje portfele.

FOT. WPROST, YOUTUBE.COM

eprasa.pl 8704c09f26

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Kto w 2017 r. był dla Polaków największym autorytetem?

PROF. MICHAŁ KLEIBER,
przewodniczący Komitetu Prognoz PAN

Mam paru znajomych, którzy bez trudu mogliby uchodzić za autorytety publiczne ze względu na obiektywizm, szerokie horyzonty myślowe i szacunek dla norm etycznych niezbędnych w cywilizowanej wymianie poglądów. Niestety, właśnie z tych powodów osoby te nie mają szans na zdobycie uznania. W przestrzeni publicznej trzeba dzisiaj być twardo po którejś stronie skłóconego społeczeństwa i dobierać najostrzejsze słowa, gdy się krzyczy na tych „innych". Fakt, że udało się nam wyeliminować z życia publicznego dosłownie wszystkie autorytety, odbieram z wielkim żalem i widzę w tym poważne zagrożenie dla naszej przyszłości.

PROF. ANDRZEJ RYCHARD,
socjolog, Instytut Filozofii i Socjologii PAN

Polacy nie mają żadnego powszechnie uznawanego autorytetu. Moim zdaniem trzy sprawy wpływają na to, że strasznie trudno uzyskać taką pozycję. Po pierwsze, mamy ogromną inflację dostępu do rozmaitych informacji, także na tematy jednodniowe czy jednogodzinne, z czym wiąże się inflacja „autorytetów" i „autorytecików", rodzących się w rozmaitych grupach za pomocą rozmaitych kryteriów. Krótko mówiąc, autorytety zaczynają się zamieniać miejscami z celebrytami. Po drugie, bardzo widoczny jest nurt antyracjonalizmu, który sprzyja powstawaniu fałszywych autorytetów opierających się na ideologiach, a nie twardych faktach świadczących o dorobku danej osoby. Trzeci powód braku jednolitych autorytetów to ogromna polaryzacja społeczeństwa – każde plemię ma swoje własne autorytety. Jeżeli jest się autorytetem dla jednego plemienia, bardzo często jest się antyautorytetem albo wręcz wrogiem dla kontrplemienia. Nie ma kogoś, kto potrafiłby nazwać to, co jeszcze pozostaje wspólne.

DR HAB. MAREK RYMSZA,
Instytut Spraw Publicznych

W sytuacji politycznej i społecznej polaryzacji trudno o autorytety ogólnospołeczne. Wydaje mi się jednak, że można tu wskazać papieża Franciszka. Dla jednych to autorytet jako głowa Kościoła, drudzy bardziej zwracają uwagę na jego nauczanie w sprawach społecznych. Myślę, że odtwarzaniu wspólnych autorytetów może sprzyjać stulecie niepodległości.

EWA GOJAWICZYŃSKA,
czytelniczka PRZEGLĄDU

Dobre pytanie. Dla Polaków? Na pewno nie ma wspólnego autorytetu dla wszystkich, ze względu na głębokie podziały w naszej ojczyźnie – podziały na „my" i „oni". W grupie „my" jest na pewno wiele wspólnych autorytetów. Z grupą „oni" nie chcę mieć absolutnie nic wspólnego. Tak to wygląda, i to z każdego punktu widzenia. Umiejscawiając siebie w grupie „my", jestem przekonana, że dla tej drugiej nie ma żadnych autorytetów. Grupa „oni" posługuje się tylko przykładami typu Jan Paweł II, jednak żaden jej przedstawiciel nie potrafiłby uzasadnić dlaczego. Ewentualnie „dla jego nauk". A co to dokładnie znaczy? Nie wiadomo.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 8704c09f26

CELEM PiS JEST WŁADZA, KTÓREJ NIE ODDA

Sądy będą marionetkowe, a państwo policyjne, by społeczeństwo się bało

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. KAROL MODZELEWSKI

Panie profesorze, już po demokracji?

– To jest proces, to trwa. Ale jesteśmy na równi pochyłej, z której nie przewiduję odwrotu. Chociaż właściwie to nie jest równia pochyła, bo z niej człowiek się ześlizguje wbrew woli, a to jest planowe. Przynajmniej jeśli chodzi o tych ludzi, który rządzą Polską. Ciąg technologiczny, jak mówi Ewa Łętowska. I ma całkowitą rację.

Sądy przechodzą pod władzę PiS.

– Sądy będą marionetkowe, to już przesądzone. Opór przeciwko temu, ten uliczny, jest słabszy niż latem. Chyba z powodu przekonania, że sprawa jest przegrana. Poza tym nie wiem, na ile to dociera do inteligencji, będącej głównym środowiskiem stawiającym społeczny opór, że jest ona w izolacji. Sama.

Dlaczego tak się stało?

– Sondaże wskazują, że jest w Polsce wyraźny podział klasowy. I że w tym podziale przewagę ma część ludowa, bo nie mogę powiedzieć, że proletariacka. Klasa robotnicza przecież została skutecznie przez naszą transformację zlikwidowana. Ale ludowa część jest większością.

I jest stronniczką Prawa i Sprawiedliwości.

– Nie bez przyczyny. Dlatego dużo trzeba przemyśleć, zrewidować, żeby odnaleźć kontakt z tą przeważającą częścią społeczeństwa, która obecnie popiera partię Kaczyńskiego. PiS ma 50% w sondażach i nie sądzę, żeby prędko to się zmieniło. Dlatego, jak się wydaje, zawłaszczanie komisji wyborczych planuje bez pośpiechu. To następny krok po sądach, domykający ciąg technologiczny. Ten krok jest po to, by postępować zgodnie z powiedzeniem Józefa Stalina, że w demokracji najważniejsze są wybory, a w wyborach – ten, kto liczy głosy. Tylko że nie ma pośpiechu, bo szanse PiS na wygranie najbliższych wyborów bez sztuczek są bardzo duże. I prawdopodobnie taki jest harmonogram, że zmiana systemu wyborczego, czyli przekazanie go pod kierowniczą rolę partii, nastąpi dopiero po wyborach parlamentarnych w 2019 r.

Jeszcze media są do wzięcia.

– To drugi tor działania. Równoległy. I to zostanie zrobione. Jak? Czy zabiorą TVN Amerykanom? Chciałbym to zobaczyć, bo pewnie nie obędzie się bez reperkusji międzynarodowych ze strony jedynego sojusznika, którego uważamy w tej chwili za sojusznika. Ale to zrobią, jak myślę.

PiS chce rządzić. I to tak, żeby mu nie przeszkadzał żaden przepis, mechanizm, niezależny ruch, a zwłaszcza społeczeństwo.

CEL TO WŁADZA

Dlaczego ta władza chce wszystko wziąć?

– Bo chce rządzić. I to tak, żeby jej w tym nie przeszkadzał żaden przepis, żaden niezależny mechanizm, ruch, a zwłaszcza społeczeństwo, jacyś malkontenci…

Żeby rządzić niedemokratycznie, trzeba mieć jakiś cel.

– Nie! Trzeba mieć poparcie społeczne. I oni je mają. A cel jest sam w sobie. Celem jest władza, której się nie odda. Władzy raz zdobytej nigdy nie oddamy – to, jak wiadomo, stary komunistyczny slogan – a zwłaszcza nie oddamy z tak głupiego powodu jak jakieś kartki wyborcze.

Czyli liderzy PiS uważają, że nie wolno oddać władzy. I nie oddadzą?

– Nie mają tego w planie.

A jeśli społeczeństwo będzie przeciw nim?

– Po to buduje się państwo policyjne, żeby społeczeństwo się bało. Jeżeli nie będzie się bać, trzeba zastosować państwo policyjne w praktyce. To znaczy uruchomić całą machinę represyjną państwa. Gdy się ma marionetkowe sądy, mianowane przez prokuratora generalnego, ma się tę machinę. Prawdę mówiąc, w sporze Duda-PiS media lekceważyły to, czyja będzie zwierzchność nad sądami – prezydenta czy pana Ziobry. Uzasadniając pierwsze weto, prezydent celnie powiedział, że nie ma w polskiej tradycji czegoś takiego jak zwierzchność prokuratora generalnego nad Sądem Najwyższym i nad sądami. Co to znaczy?

No właśnie, co to znaczy?

– Ja to wiem, bo byłem w Polsce Ludowej szkolony na ławach oskarżonych. Policja, wówczas milicja, była organem ścigania, stroną procesową, stroną oskarżycielską, Bezpieka – tak samo. Dzisiaj są to odpowiednio: policja i wszystkie służby specjalne. No a przede wszystkim prokuratura była i jest organem ścigania. A w naszych warunkach faktycznym szefem organów ścigania jest pan prokurator generalny Zbigniew Ziobro. Jeżeli on staje na czele sądów, to mamy kwintesencję państwa policyjnego. Państwo policyjne to takie państwo, w którym policjant stoi nad sędzią. Policjant, prokurator, organ ścigania. On mianuje i odwołuje sędziów, karze ich, przenosi, więc faktycznie im rozkazuje. Jeśli mielibyśmy trzymać prezydenta Dudę za słowo, to ja bym chciał, żeby przeprowadził swoje. To jest ustrojowa różnica, czy sądami komenderuje,

eprasa.pl 8704c09f26

w sensie personalnym, prezydent RP, czy prokurator generalny.

A z ordynacją pójdzie łatwo. Jak będą mieć sądy, to banał.

– Oczywiście! Ale najpierw nową ordynację musi uchwalić Sejm. Przygotowania są w toku. Tylko oni, wdaje mi się, mają świadomość, że nie muszą się śpieszyć. Ale to zrobią, nie mam wątpliwości. Kluczowe jest oczywiście nie to, co robi PiS, bo to było do przewidzenia, od kiedy przejęli władzę i poczynili pierwsze kroki…

…zdobywając Trybunał.

– Kluczem jest postawa tej części społeczeństwa, która PiS popiera. A ta część się powiększa. Nad tym muszą się zastanowić ci, którzy stawiają opór PiS.

SZLACHTA I LUD

Jedni stawiają opór, drudzy popierają.

– I kraj jest podzielony chińskim murem na dwie części. Przez ten mur w żadną stronę nie przenikają ani informacje, ani argumenty, ani wartości. Jest to rozłam kulturowy i szczelna bariera komunikacyjna. Jeśli się przez nią nie przejdzie i nie będzie się mogło trafić do tych ludzi, którzy o 19.30 gapią się w ekran telewizora i chłoną tę propagandę…

…to oni wciąż będą tej propagandzie ulegać?

– Przecież nie dlatego tak myślą i mają takie postawy, że o 19.30 chłoną propagandę. Skłania ich do tego własne doświadczenie w wolnej Polsce.

Bo ta wolna Polska ich skrzywdziła?

– Szczekałem przeciw, ale przecież należę do tej formacji, politycznej i kulturowej, która za wolną Polskę odpowiada. To jest dość ciężkie brzemię, ponieważ w III RP nastąpiło przejęcie przez polską inteligencję, prawie mechaniczne, ideologii neoliberalnej. I w ślad za tą ideologią zmienił się sposób wartościowania różnych środowisk społecznych. To, co w latach 1980-1981 było przyjmowane z takim zachwytem – zbratanie z klasą robotniczą…

…z polską szlachtą polski lud!

– Tak jest! Okazało się jednak, że polska szlachta dobrze sobie poradzi bez polskiego ludu, a polski lud niech siedzi cicho i pamięta o tym, że nie ma zdolności do robienia dobrych interesów, czyli jest gorszy. I niech nie podskakuje. To zerwanie braterstwa jest dla demokracji krokiem samobójczym. Bo demokracja jest silna poparciem obywateli. Gdy zerwane zostaje braterstwo, zanika zgoda obywateli na podstawowe reguły demokracji. Znaczna ich część uznaje wówczas, że demokracja to tylko oszukańcza fasada, a za nią siedzą różni...

Złodzieje?

– Oszukańcze elity. Wrogie elity, złodziejskie elity, tak jest to nazywane. To podkopuje fundamenty demokracji. Tak się stało w Polsce i nie tylko, zjawisko jest do pewnego stopnia globalne. Ale nas to dotyczy szczególnie i jest bolesne, bo jest po Solidarności.

Ponieważ solidarność przez małe s zniknęła?

– Nieboszczka Solidarność zginęła w stanie wojennym. Podziemie było jej formą przetrwalnikową, ale nie kontynuacją. Została zachowana tylko ciągłość sztandaru i mitu, ale nie ciągłość treści i uczuć. Tych braterskich. Teraz za to płacimy. Nie wytykam oskarżycielskim palcem żadnego polityka ani ekonomisty, rządu, dosyć się na ten temat napyskowałem. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że z tymi naszymi współobywatelami, z tymi, z którymi potargane są nasze więzi braterskie, musimy się dogadywać. Jak się nie dogadamy, to marny nasz los. Ich zresztą też. Ale mam nadzieję, że dla nikogo nie jest pociechą, że ich los też marny.

NAJPIERW IŚĆ PO ROZUM DO GŁOWY

Im nie przeszkadza, że władza tak się szarogęsi, mówi ludowi, że demokracji nie będzie?

– Ona nie mówi, że demokracji nie będzie. Mówi, że demokracja polega na tym, żeby właśnie oni rządzili: głosowaliście na nas i teraz my będziemy rządzić. A te wszystkie wykształciuchy nam przeszkadzają. Usiłują zakwestionować wasz akt wyboru! Jak tak można? Niech pan włączy sobie o 19.30 telewizor, to pan usłyszy.

A jeśli ludowi się odmieni i przestanie w to wierzyć?

– Od tego jest państwo policyjne.

Żeby lud wciąż wierzył?

– Żeby zastosować je przeciw ludowi. Tyle że wtedy, zwłaszcza gdy już będzie po zalegalizowaniu wszelkich cudów nad urną, zniknie możliwość zmiany rządu przez wolne wybory, bo ich nie będzie, pozostanie tzw. kryterium uliczne. O tym wolę nawet nie myśleć.

> Czy zabiorą TVN Amerykanom? Myślę, że to zrobią.

Co trzeba zrobić, żeby odzyskać lud?

– Najpierw pójść po rozum do głowy

Opozycja nie rozumie, że dała się wepchnąć w rolę obrońców dawnego? Obrońców bogatych?

– To nie opozycja, tu chodzi o istotną część społeczeństwa. Tak jak ta opozycja myśli przeważająca część polskiej inteligencji. To wielka grupa społeczna, która musi przewartościować swój pogląd na wolną Polskę. To znaczy zastanowić się nad przyczynami tego, w co popadliśmy, i nad tym, jak odzyskać kontakt polskich elit z polskim ludem. Bez tego nic nie będzie.

A lewica? Lewicowe stowarzyszenia, ruchy miejskie?

– Wiem trochę o partii Razem. Ale to jest emocja – darzę ją sympatią, niezależnie od tego, że bywa trochę obcesowa. Zwłaszcza wobec KOD, czyli ruchu, który grupował polską

eprasa.pl 8704c09f26

inteligencję, nie partyjną, tylko społeczną. W tej chwili KOD jest bardzo osłabiony, co nie dziwi. Natomiast pojawiła się nowa formacja, bardzo mało o niej wiem, czyli Akcja Demokracja, inicjatorka tych największych protestów z lipca.

Są Obywatele RP.

– Do Obywateli RP mam stosunek zdystansowany. Ich pomysł na to, żeby grać ciałem, to znaczy świadomie się wystawić, sprowokować akty przemocy i przymusu wobec siebie poprzez łamanie reguł, które władza ustanawia, w szczególności przez blokowanie miesięcznic smoleńskich, mało mi się podoba. Aczkolwiek nie jestem sympatykiem tych miesięcznic i nie wiem, czy muszę jakoś to wyjaśniać.

Obywatele to ekipa z Wrocławia.

– Przywódcę znam. Paweł Kasprzak był działaczem Studenckiego Komitetu Solidarności we Wrocławiu, to bardzo fajny chłopak. Ale te pomysły na oddziaływanie przez blokowanie… Mogą odpychać dużą część tych, których odpychać nie trzeba, z którymi trzeba szukać sposobu na dogadywanie się. Jestem więc sceptyczny, ale oczywiście jestem po ich stronie, gdy ich biją.

Opór przeciwko zawłaszczaniu sądów jest słabszy niż latem. Chyba z powodu przekonania, że sprawa jest przegrana. Nz. protest 5 grudnia w Rzeszowie.

CO POMAGA PiS

Gdy pan mówi, że trzeba się dogadywać z ludem, to ja patrzę przez okno i widzę, że z ludem dogadują się bojówki narodowe. Na ich marszach widać młodych ludzi.

– Młodzi ludzie poszli też w demonstracjach lipcowych. Było ich więcej niż u narodowców. Nie trzeba jękolić, kwękać. Należy się zastanowić i coś robić. I na pewno nie w tym stylu, w jakim robią to Obywatele RP.

Zachęca pan do pracy organicznej?

– Zachęcam do pracy na wzór narodników – pójście w lud! Mówiłem to wielokrotnie na spotkaniach KOD, na które jeździłem: trzeba się dogadywać z ludźmi z tamtej strony bariery. Jak z nimi rozmawiać? Póki nie wiemy, jak rozmawiać, póty nie znajdziemy wspólnego języka, nic nie wskóramy. Jeśli chcemy być skuteczni – trzeba z nimi się dogadywać. I wtedy, jeżeli władza użyje pałek, kajdanek, całego instrumentarium państwa policyjnego przeciwko środowiskom plebejskim, ludowym, trzeba powiedzieć: to jest państwo policyjne. Bo to będzie państwo policyjne w akcji, w działaniu. Ci ludzie nie wyjdą na ulice w obronie sądów. Wyjdą w obronie własnej. I wtedy będą potrzebowali z naszej strony wsparcia. To jest może najważniejsze.

Za 10 lat to będzie.

– Nie wiem kiedy, nie będę wróżył z fusów. W tej chwili mamy dwa czynniki sprzyjające PiS. Po pierwsze, to co dziennikarze nazywają socjalem. PiS jest pierwszą formacją, która przełamała tabu neoliberalnych dogmatów i śmiało zastosowała socjal. Czyli politykę społeczną, która wyrównuje, łagodzi dramatyczne pogorszenie pozycji, degradację, także prestiżową, warstw ludowych w Polsce. Po drugie, w przeciwieństwie do dogmatu, który mówi, że trzeba dokręcać kurek, żeby broń Boże nie pojawiła się inflacja, oni go odkręcili i wypuścili, ze względów socjalnych, dużo pieniędzy na rynek. Co się okazało? Ożywili popyt. Mamy wzrost gospodarczy, jakiego nie mieliśmy. Wprawdzie sprzyja nam koniunktura międzynarodowa, zwłaszcza w Niemczech, ale nie tylko. Bo nowa polityka społeczna umożliwia wykorzystanie tej koniunktury. Trzeba wyciągnąć z tego wnioski, a nie wołać: o, jaka zgroza, co z tego będzie w przyszłości! Gdybym był rządzącym, też podniósłbym płacę minimalną i wprowadził 500+. Ale nie wycofywałbym się z podniesienia wieku emerytalnego. Na to ZUS po prostu nie stać. Ze względów demograficznych.

Bo zmniejsza się liczba płacących składki.

– A wskutek obniżenia wieku emerytalnego będzie dramatycznie maleć z każdym rokiem. Nie jest tak, że ktoś opłaca swoją przyszłą emeryturę swoimi składkami, tylko bieżące składki służą do tego, żeby opłacać bieżące emerytury. Przy zmniejszającej się liczbie płatników, gdy coraz mniej osób wchodzi na rynek pracy, coraz mniejszy jest zastrzyk pieniężny na bieżące emerytury. Deficyt będzie więc rósł. A państwo ma obowiązek ten deficyt wyrównywać. Ale w pewnym momencie nie będzie miało z czego. To grozi jego niewypłacalnością, obniżeniem emerytur. W ciągu kilku lat, siedmiu-ośmiu, musi dojść do kryzysu płatniczego, który wywoła wielkie napięcie społeczne.

Nie sądzi pan, że wcześniej ta władza po prostu się skłóci?

– Władza już się skłóciła. Prezydent jest w sporze z partią rządzącą. Przede wszystkim z dwoma ministrami, którzy szefują resortom siłowym – z ministrem Ziobrą, czyli prokuratorem generalnym, i ministrem Macierewiczem. Macierewicz był łaskaw powiedzieć na przysiędze do tych swoich żołnierzy z Wojsk Obrony

Kluczem jest postawa tej części społeczeństwa, która PiS popiera i która rośnie. Nad tym muszą się zastanowić ci, którzy stawiają opór PiS.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, GRZEGORZ BUKAŁA/REPORTER, ADAM JANKOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 8704c09f26

Terytorialnej, że muszą bronić kraju przed wrogami zewnętrznymi, ale także wewnętrznymi. To szczera zapowiedź, za którą powinniśmy być panu ministrowi wdzięczni – że tak otwarcie mówi o swoich zamiarach.

NIKT NAM NIE POMOŻE

Europa nam nie pomoże?

– Europa jest bezzębna. Czy Europa zdobędzie się na to, żeby egzekwować swoje zasady wobec państw członkowskich? Oto jest pytanie. Dotąd tego nie zrobiła. Ani wobec Węgier, ani wobec Polski. Nie spodziewam się więc, że Europa coś zrobi zamiast nas.

A Kościół?

– Kościół prędzej. Jest niejednolity, ale stanowi poważną siłę wewnętrzną w Polsce i jego pogląd może mieć znaczenie. Jest podzielony, zwłaszcza część biskupów może coś zrobić.

to znowu będzie nam potrzebne. Ja na szczęście znam je na pamięć. Poza tym jestem na tyle stary, że może mnie nie wezmą za dupę.

Spodziewał się pan, że coś takiego może nastąpić?

– Nie! Szczerze mówiąc, nie. Aż czegoś takiego się nie spodziewałem. Chociaż… W „Kobyle historii", książce z 2013 r., jest takie zdanie: „Demokracja jest silna poparciem obywateli, może upaść, jeżeli zabraknie zgody obywateli co do podstawowych reguł demokracji". Mam więc nieprzyjemne uczucie, że wykrakałem. Ale to nie znaczy, żebym spodziewał się czegoś aż takiego.

Było na to przyzwolenie społeczne.

– Był też opór! Przy sprawie Trybunału Konstytucyjnego opór był czymś nowym. PiS było zaskoczone zasięgiem tych manifestacji, wściekłe. Jego złość wyraziła się w epitetach. Polacy gorszego sortu, komuniści i złodzieje,

Trzeba się dogadywać z ludźmi z tamtej strony bariery. Póki nie znajdziemy wspólnego języka, nic nie wskóramy.

Oni myślą szerzej, ale ich podwładni…

– Owszem, duchowieństwo parafialne, proboszczowie, wikariusze, są na ogół mniej lub bardziej związani z kręgiem Radia Maryja, czyli najtwardszym kręgiem pisowskim.

Jak te trudne czasy przeżyć?

– Trzeba poczytać stare instrukcje „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa".

Jan Olszewski to napisał.

– Bardzo zachęcam do czytania i dostosowania się do tych reguł. Bo

kwik świń odrywanych od koryta. Tymczasem to była szaraczkowa inteligencja, nie żadne świnie odrywane od koryta. Te epitety świadczyły o złości i pewnego rodzaju panice. Że pojawił się opór. Ale ten opór jest społecznie ograniczony do środowisk inteligenckich i wobec tego za słaby.

Wyszło na pańskie.

– Ale ja nie chciałem, żeby wyszło na moje! Naprawdę. I bardzo jestem tym zmartwiony.

Robert Walenciak

Jeżeli będzie trzeba, władza uruchomi całą machinę represyjną państwa. Nz. protest przed Sejmem 18 lipca.

Ustawy sprzeczne z konstytucją

Uchwała Rady Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego z 18 grudnia 2017 r.

Rada Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego wyraża zdecydowany sprzeciw wobec uchwalonych ustaw o zmianie ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa i ustawy o Sądzie Najwyższym. Nieuzasadnione niczym usunięcie części sędziów Sądu Najwyższego przez obniżenie ich wieku emerytalnego, wprowadzenie nadzwyczajnego środka zaskarżenia prawomocnych orzeczeń, który ma być rozpatrywany z udziałem ławników obsadzanych w procedurze politycznej, reforma postępowań dyscyplinarnych, która stwarza możliwości nacisku na sędziów, poddanie Krajowej Rady Sądownictwa bezpośredniemu wpływowi polityków, nie są sposobami naprawienia sądownictwa, natomiast niszczą największe jego wartości, jakimi są niezależność sądów i sędziowska niezawisłość. Rozwiązania te są sprzeczne z obowiązującą Konstytucją RP.

Rada Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego wzywa władze publiczne do uwzględnienia raportów Komisji Weneckiej. Wskazują one na niedające się pogodzić z wartościami europejskimi sposoby ingerowania w niezależność sądownictwa wynikające z uchwalonych zmian. Zwracają także uwagę na niedopuszczalnie silną władzę ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, któremu całkowicie podporządkowano prokuraturę, a obecnie w coraz większym zakresie podporządkowane są sądy. Wyłaniający się stan polskiego systemu wymiaru sprawiedliwości nie mieści się w standardach Unii Europejskiej oraz Rady Europy.

Wzywamy Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, członka wspólnoty akademickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, aby nie dopuścił do wejścia w życie uchwalonych ustaw. Wzywamy Pana Prezydenta, aby w tej trudnej chwili wypełnił swoją powinność strażnika konstytucji i dotrzymał złożonej Narodowi przysięgi prezydenckiej.

Za przyjęciem uchwały głosowało 67 członków Rady Wydziału WPiA UJ, sześć osób głosowało przeciw, osiem osób wstrzymało się od głosu.

eprasa.pl 8704c09f26

MIEĆ SZCZĘŚCIE NA TRASIE

Co kierowca może zrobić, gdy kradną?
Przede wszystkim nie wolno mu wychodzić z kabiny

Regina Dachówna

Krzysztof, 38 lat, przygotowuje się do wyjazdu. Robi zapasy, które muszą mu wystarczyć na cztery tygodnie. Kupuje makarony, kasze, warzywa w puszkach i słoikach, konserwy oraz podsuszaną wędlinę. Bierze też peklowane w domu mięso oraz ziemniaki. Tylko w pieczywo zaopatrzy się na trasie. W przygotowaniach ma wprawę, robi je co miesiąc od czterech lat, czyli odkąd zrezygnował z wyuczonego zawodu ekonomisty i został kierowcą. Jeździ na tirach.

Mieszka pod Szczecinem. By dojechać z domu do firmy transportowej, w której jest zatrudniony, musi pokonać ponad 100 km. W niedzielę o świcie odwozi go żona. Przy pożegnaniu zawsze są wzruszeni. By zagłuszyć lęk, mówią, że cztery tygodnie, gdy on będzie w trasie, miną szybko i w tym roku Boże Narodzenie spędzą razem. A nie zawsze tak było. Raz Boże Narodzenie i Nowy Rok spędził w kabinie na południu Francji. Zabrał z domu potrawy świąteczne, lepszą wędlinę, sałatkę, w Wigilię zatelefonował do rodziny, zjadł kolację i pooglądał filmy na laptopie. Żałował, że na parkingu pełnym tirów nie było ani jednego Polaka, z którym mógłby się podzielić opłatkiem i porozmawiać. W Nowy Rok i w Wielkanoc nie czuje się tak przejmującego osamotnienia i po prostu smutku jak w Wigilię.

POMYSŁ NA LEPSZE ŻYCIE

Gdy skończył studia i zdobył tytuł magistra ekonomii, zamierzał zostać handlowcem. Chciał stworzyć małą, własną firmę. Ale już na początku pojawiły się problemy, których nie przewidział. Zamiast pracy u siebie znalazł zatrudnienie w hurtowni spożywczej.

Wtedy zarabiał do 3 tys. zł miesięcznie i miał dużo wolnego czasu. Od sobotniego popołudnia do poniedziałku był w domu, czas poświęcony rodzinie był i jest dla niego bardzo ważny. Krzysztof mieszka na obrzeżach miasta w domku jednorodzinnym, ma troje dzieci, dwie córki i syna, żona jest urzędniczką. W pracy w hurtowniach nie widział dla siebie perspektyw na lepsze życie. Myślał o zmianie zawodu. Mógłby zostać tokarzem precyzyjnym albo ślusarzem, ale wówczas musiałby zaczynać od najniższych zarobków. By być dobrym ślusarzem, trzeba mieć doświadczenie, lata praktyki. Zarzucił ten pomysł i zainteresował się pracą zawodowych kierowców tirów.

Wiedział, że kierowcy dobrze zarabiają, poszedł więc na kurs. Najpierw zrobił kurs uprawniający do prowadzenia samochodów ciężarowych, potem drugi, na samochód ciężarowy z przyczepą, wreszcie trzeci, na przewóz towarów. Koszt trzech kursów to od 8 tys. do 10 tys. zł. Czas nauki – siedem-osiem miesięcy. Mieli z żoną pieniądze zaoszczędzone na czarną godzinę i wydali je, jak mówi, na jego przebranżowienie. Nigdy nie uważał, że ekonomista z tytułem magistra w kieszeni straci na prestiżu, gdy zostanie zawodowym kierowcą.

Nigdy nie uważał, że ekonomista z tytułem magistra straci na prestiżu, gdy zostanie zawodowym kierowcą.

Pracy nie szukał długo. Trafił do firmy zagranicznej, która wciąż poszukuje kierowców. Zatrudnia nie tylko Polaków, lecz także Ukraińców.

WJAZD DO EUROPY ZACHODNIEJ

Pierwsza trasa prowadziła przez Niemcy i Francję do Anglii. Wszystko było tu nowe – autostrady, zjazdy, parkingi. Europa Zachodnia stała przed nim otworem.

Wcześniej miał prawo jazdy na samochody osobowe. Ale czym innym jest prowadzenie auta osobowego, a czym innym jazda tirem. Duży samochód ciężarowy z przyczepą waży ok. 20 ton, z ładunkiem ponad 40 ton. Ów ciężar zmusza do szczególnej uwagi, w razie nagłej przeszkody nie da się raptownie zahamować.

Gdy jest w kabinie, nie czuje tej masy. Siedzi wysoko i ma lepsze pole widzenia niż ci z osobówek. Od początku wiedział, że trzeba bardzo uważać przy cofaniu. Gdyby dotknął naczepą czegokolwiek, o cokolwiek zahaczył, pogniótłby to, co wiezie w środku, a są to m.in. palety, puste puszki do konserw. Taki towar jest tani. Jednak zdarza się też ładunek bardzo drogi, np. precyzyjne elementy metalowe. Ich wartość często przekracza wartość towaru niejednej hurtowni.

Jeździ cztery lata i w tym czasie zdarzyły mu się tylko dwa zahaczenia, na szczęście niegroźne. Dziś wie, że oprócz ostrożnej jazdy, szczególnie na rondach, ważne jest równomierne rozłożenie ładunku i zabezpieczenie go. Jeśli towar jest źle rozłożony, nawet najmniejszy przechył niesie groźbę przewrócenia się samochodu i naczepy. Po każdym załadunku sam sprawdza wszystko bardzo dokładnie. Zabezpieczenia sprawdza również policja na trasie. Najbardziej wyczuleni na to są Niemcy. Za niewłaściwe lub złe zabezpieczenie ładunku wystawiają mandat od 30 do 300 euro.

DOM NA KÓŁKACH

Są różne warianty pracy. Krzysztof wybrał taki – cztery tygodnie w trasie, tydzień w domu. Firmy mają tzw. bazy w Europie Zachodniej, są nimi parkingi, na których kierowcy zostawiają samochody, gdy zjeżdżają do domu. Do baz firmy dowożą swoich ludzi busami i stamtąd zabierają ich do kraju. Do zostawianych samochodów wsiadają tygodniowi zmiennicy.

eprasa.pl 8704c09f26

Dla kierowcy ważne jest, by znów wejść do znanej mu kabiny, która przez cztery tygodnie będzie jego domem.

Gdy pracował w firmie zagranicznej, a baza była na południu Francji, nigdy nie wiedział, czy po tygodniowej przerwie trafi na „swój" samochód. Zwykle wsiadał do innego. Teraz, czyli od półtora roku, pracuje w firmie polskiej, gdzie nie ma takich zmian. Po powrocie zawsze wraca do „swojego" tira.

Dla kierowcy ważne jest, by znów wejść do znanej mu kabiny, która przez cztery tygodnie będzie jego domem. Krzysztof mówi, że ma tu wszystko, co potrzebne do codziennego życia. Czyli łóżko piętrowe – górne stanowi półkę na podręczne rzeczy, lodówkę, kuchenkę gazową, zamykane szafki na naczynia, umywalkę i butlę na wodę. Wody nabiera na parkingach. Kabina jest ogrzewana nawiewem ocieplanego powietrza z zewnątrz.

Nie lubi gotować, ale na trasie staje się kucharzem z konieczności. Gotuje dania najprostsze. Z zaciekawieniem obserwuje na parkingach kierowców rumuńskich, którzy wspólnie, w grupach po sześć lub osiem osób, przygotowują potrawy. Krzysztof do restauracji nie chodzi, wyjątkiem są jadłodajnie na tzw. autohofach, czyli bary na płatnych parkingach dla tirów w Niemczech. Gdy znajdzie wolne miejsce na takim parkingu, co nie zawsze się zdarza, jest zadowolony. Parkingi są oświetlone i monitorowane, czyli bezpieczne. Przy płaceniu za miejsce dostaje gratisowy talon na posiłek w barze. Wówczas korzysta z talonu.

NIEBEZPIECZEŃSTWO CZYHA WSZĘDZIE

W ubiegłym roku przed Bożym Narodzeniem był w domu. 19 grudnia w telewizji usłyszał, że w Berlinie zdarzył się napad. 24-letni Tunezyjczyk wjechał tirem na polskich numerach rejestracyjnych w tłum ludzi, którzy przyszli na jarmark bożonarodzeniowy. 12 osób zginęło, 55 zostało rannych. W kabinie policja znalazła ciało zamordowanego kierowcy – Polaka.

Telewizyjne relacje oglądał z żoną. Co wtedy myślał? Że dla własnego bezpieczeństwa chciałby mieć przynajmniej pistolet gazowy. Ale pozwolenie na jego zakup chyba powinna załatwić firma. Na trasie, w czasie kontroli przez policję wielu krajów, przez które przejeżdża, musiałby się tłumaczyć z posiadania pistoletu. Tylko jak? Z tego, co wie, międzynarodowe przepisy na to nie zezwalają. W kabinie nie ma niczego do obrony własnej.

– W Berlinie zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Tylko tak trzeba na to spojrzeć. A wypadki zdarzają się wszędzie. Wypadek może być w metrze. I co? Nie pojedzie pani metrem? Nie pomyślałem wówczas o rezygnacji z wyjazdów, czyli z pracy. Gdyby ktoś w ciągu dnia zapukał w okno mojej kabiny, to przecież uchyliłbym je w przekonaniu, że chce o coś zapytać lub coś mi powiedzieć. A ten ktoś mógłby np. prysnąć mi w twarz gazem albo innym środkiem. Wówczas byłbym bez szans.

O niebezpieczeństwo otarł się we Francji. Nie w Calais, skąd płyną promy do Anglii i gdzie zaczyna się eurotunel pod kanałem La Manche, i skąd uchodźcy nadal próbują dostać się do Wielkiej Brytanii. Wracał z Anglii, jechał na południe Francji, był dzień. Nagle usłyszał stukanie. Zatrzymał się, nie bez lęku otworzył naczepę, wyskoczyło z niej sześciu czarnoskórych imigrantów. Zorientowali się, że tir jedzie nie do portu, lecz w przeciwnym kierunku. Odetchnął z ulgą, gdy odeszli, bo przecież mogli mieć noże, mogli go zranić lub obrabować. Wie, że imigranci we Francji są bezkarni. Gdyby incydent zdarzył się nocą, zatrzymałby się dopiero na pierwszej autostradowej bramce, gdzie jest policja.

Trasa Francja-Anglia była i nadal jest niebezpieczna. Imigranci rzucali kłody na jezdnię przed Calais i wtedy nie wiadomo było – zatrzymać się czy nie? Krzysztof nie zatrzymuje się 200 km przed portem promowym w Calais, chyba że jest kolejka. Z Francji do Anglii stara się nie jeździć nocą, jedzie tylko wtedy, gdy musi. Jeśli wyrusza np. z Belgii do Francji, a potem ma jeszcze jechać do Anglii, to już w Brukseli sprawdza linki celne i plomby, czy nie są

Odszedł

JERZY STAROŃ

Dziennikarz, społecznik, rzecznik prasowy GKKFiS, pasjonat piłki nożnej, pracujący z reprezentacją Polski i polską ligą. Świetnie znający sport, skromny, uczciwy i rzetelny człowiek. I takim Go zapamiętam.

Żonie i Synowi serdecznie współczuję

Jerzy Domański

eprasa.pl 8704c09f26

naruszone, często zakłada kłódki, sprawdza dach, czy plandeki na nim są całe, nieporozrywane.

Przed wjazdem na prom samochód dokładnie kontrolują Francuzi, a potem Anglicy. Jeśli Anglicy złapią cudzoziemca w naczepie, nakładają wysokie kary i na kierowcę, i na firmę. Kontrolerzy przychodzą z psami, mają również specjalistyczny sprzęt – czujniki dwutlenku węgla i czujniki pracy serca.

Niebezpiecznie bywa też na parkingach. Zdarzają się kradzieże paliwa, a w zbiorniku tira mieści się ponad 1000 litrów. Bywają kradzieże towaru…

Jeśli towar jest źle rozłożony, nawet najmniejszy przechył niesie groźbę przewrócenia się samochodu i naczepy.

Co kierowca może zrobić, gdy kradną? Przede wszystkim nie wolno mu wtedy wychodzić z kabiny. Najwyżej może nagle ruszyć, jeśli się da. Krzysztofowi na razie złodzieje niczego nie ukradli, za to kilka razy pocięli mu plandekę.

W ogóle noce na parkingach są niebezpieczne. Dogodny czas dla złodziei to godziny od drugiej do trzeciej nad ranem. Krzysztof zabezpiecza kabinę na noc. Od środka zakłada pasy i blokady na drzwi, by nikt z zewnątrz nie mógł ich otworzyć.

ZLECENIA Z SATELITY

Kierowcy krążą po autostradach całej Europy i realizują zlecenia swoich firm. Otrzymują je na laptopy lub na komórki. W firmach od rana do nocy siedzą spedytorzy, szukają zleceń na giełdach internetowych. W internecie akceptują zlecenie i przekazują je kierowcy. Spedytorzy muszą znać kilka języków, ze zleceniodawcami najczęściej rozmawiają po angielsku, niemiecku, francusku, a od niedawna także po ukraińsku, bo na trasie jest coraz więcej kierowców z Ukrainy.

Kierowca obcego języka znać nie musi. Na komórkę dostaje nazwę kraju, miejscowości i firmy, z której ma odebrać ładunek, a każdy ładunek ma numer oraz nazwę kraju, miejscowości i firmy, do której powinien zostać dostarczony. Wskazówki, gdzie i jak dojechać, są na nawigacji satelitarnej, czyli GPS.

– Gdy podjeżdżam np. do firmy francuskiej, idę do biura, podaję jedynie numer ładunku zapisany na papierze lub w komórce, bo nie znam liczebników francuskich. Dyspozytor firmy sprawdza to u siebie na komputerze, wskazuje rampę, gdzie mam podjechać, a tam pracownicy dowożą towar wózkami widłowymi i ładują. Ja tylko sprawdzam, czy wszystko jest dobrze załadowane i rozłożone – opowiada Krzysztof.

W ciągu jednego dnia bywa w trzech krajach, np. we Francji, w Niemczech i we Włoszech. Albo w Hiszpanii, we Francji i w Niemczech. Jeździ autostradami, ruch jest duży, na autostradach coraz ciaśniej, autostrady są płatne, płaci się za pomocą tzw. czytników zainstalowanych na szybie tira. Tir podjeżdża do bramki na autostradzie, czytnik pika, a to znaczy, że opłata została automatycznie pobrana z karty i bramka się otwiera. W różnych krajach są różne opłaty, Krzysztof ma na szybie sześć czytników.

Na trasie kierowca musi być czujny, nie wolno przekraczać szybkości, nie wolno też jeździć dłużej, niż wynosi norma. Może jechać dziewięć godzin dziennie, wyjątkowo dwa razy w tygodniu po 10 godzin dziennie; podczas jazdy musi robić 45-minutową przerwę. Czas pracy (jazdy) rejestruje tachograf, który policja skrupulatnie sprawdza we wszystkich krajach. – Podczas kontroli policjant wkłada swoją kartę do mojego tachografu, po skopiowaniu danych wkłada ją do swojego komputera i wszystko odczytuje. Policja może sprawdzić czas pracy z 28 ostatnich dni.

Krzysztofowi nie zdarza się przekroczenie czasu pracy, karane wysokimi mandatami, zaledwie kilka razy musiał pisemnie wytłumaczyć, dlaczego jeździł dłużej. Tak bywa, gdy brakuje miejsc na parkingu, wówczas szuka miejsca przy hurtowniach albo w strefach ekonomicznych, ale wtedy nie czuje się bezpiecznie.

Bardzo lubi swoją pracę, nie powróciłby do poprzedniej. Przez okno kabiny ogląda pejzaże w różnych krajach. Piękne są ośnieżone Alpy zimą, piękne zielone przestrzenie na wiosnę. Podoba mu się Szwajcaria, ale Szwajcarzy przestawiają się na transport kolejowy. Tiry coraz rzadziej jeżdżą tam autostradami, przemieszczają się na platformach kolejowych.

W wolnych chwilach Krzysztof biega, zwiedza miasta i okolice. Gdy zaczynał pracę, nie znał żadnego języka obcego. Przed dwoma laty postanowił się nauczyć niemieckiego. W każdym wolnym tygodniu chodzi na prywatne konwersacje. Efekty już są. Teraz jeździ głównie w Niemczech. Zauważył, że gdy zwraca się do Niemców w ich języku, są milsi, życzliwsi, znajomość języka zmniejsza dystans między nim a urzędnikiem niemieckim. Niemieccy policjanci też łagodnieją, gdy próbuje

FOT. KUBA SUSZEK/REPORTER, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 8704c09f26

im coś wytłumaczyć po niemiecku. Zarabia dobrze. Nie mówi ile, ale z płacy jest zadowolony.

DUŻE NIE ZAWSZE JEST PIĘKNE

Artur Cichocki, 46 lat, technolog żywienia, przed laty przyjechał do Zielonej Góry ze Świnoujścia z powodu kobiety. Tu się osiedlił, założył pizzerię. Finansowo wiodło mu się wspaniale, ale czuwanie nad pizzerią zmęczyło go. Należało być każdego dnia od rana do nocy, i to przez cały rok. Przed 10 laty zmienił zawód. Założył firmę transportową, zaczynał od jednego tira. Dzisiaj ma ich 18 oraz 100 powierzonych samochodów innych firm. – Jesteśmy spedycją, właścicielom samochodów załatwiamy ładunki – wyjaśnia.

By rozwinąć spedycję, trzeba zatrudnić sprawnych spedytorów, którzy od rana do nocy szukają zleceń na internetowej giełdzie. U Cichockiego pracuje ich ośmiu. Największe zapotrzebowanie na transport zgłaszają Niemcy. Flota Cichockiego jeździ więc głównie na terenie Niemiec. Jego firma nie cierpi na braki kadrowe. Zatrudnia 17 polskich kierowców i jednego Niemca. Olaf przyjechał do Żar, tu znalazł żonę i tu zamieszkał.

Artur Cichocki mógłby powiększyć firmę, kupić kolejne tiry, mógłby ich mieć nawet 200, ale pojawia się pytanie, po co, w jakim celu miałby to robić? – Nie jestem szaleńcem, mnie wystarcza to, co mam. W dużej firmie trzeba zatrudnić kierowników, menedżerów, jeden człowiek nie jest w stanie sam ogarnąć wszystkiego – mówi i od razu przytacza przykłady molochów, które znikały z rynku z dnia na dzień. Poza tym brakuje ludzi do pracy, nie tylko kierowców.

Od ubiegłego roku płaci kierowcom zgodnie z unijnymi wymogami – otrzymują minimalną płacę kraju, po którym jeżdżą. Nie boi się o ich bezpieczeństwo. Nikomu jeszcze nic się nie stało. Niebezpiecznie jest we Francji, w Belgii, we Włoszech, jego kierowcy krążą przecież po Niemczech, a tam jest bezpiecznie. Pracują w innym rytmie niż Krzysztof – dwa tygodnie jeżdżą, tydzień są w domu i znów dwa tygodnie w trasie.

Zysk, który przynosi firma, właściciel lokuje nie w jej nadmiernym rozwoju, lecz w nieruchomościach po stronie niemieckiej. W Guben po korzystnej cenie kupił działkę o powierzchni 5 tys. m kw., na której stoją zabytkowa willa i biurowiec po służbie bezpieczeństwa NRD. Willę wyremontował, podzielił na cztery mieszkania i je wynajął. Biurowiec także wyremontował, wynajął obiekt w 70%.

Ostatnio kupił starą kamienicę z siedmioma mieszkaniami. Wyremontuje je i też wynajmie. Dziś nie jest pewien, czy jego przyszłość będzie związana z firmą transportową, z wynajmem nieruchomości, czy może z całkiem inną działalnością.

Regina Dachówna

Na parkingach zdarzają się kradzieże paliwa, a w zbiorniku tira mieści się ponad 1000 litrów. Bywają kradzieże towaru.

W bieżącym numerze także:

Tomasz S. Markiewka
Milcząca hegemonia neoliberalizmu

Piotr Krasucki
Od czego zacząć reformę?

Jacques Berthelot
Afrykańskie rolnictwo pod presją wolnego handlu

David Beasley
Sposób na przetrwanie chłopów

Julien Brygo
Bunt pracowników domowych w Indiach

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (12 numerów): 82 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Kredyt Bank IV Oddział w Warszawie
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl 8704c09f26

Mazurem w Dąbrowszczaków

Wojewoda zmienił nazwę ulicy, nie licząc się z decyzjami lokalnego samorządu

Marek Książek

O pozostawienie ul. Dąbrowszczaków, podobnie jak mieszkańcy wielu miast, walczą także olsztynianie. Stoją przy niej zabytkowe kamienice, swoje siedziby mają instytucje kultury i sądy. Dlatego próba zmiany nazwy wywołuje duży opór, choć sami mieszkańcy ulicy nie są w tej sprawie jednomyślni. Olsztyński okręg partii Razem zorganizował w czerwcu 2017 r. niezbyt liczną, ale głośną demonstrację pod hasłem „Ulica Dąbrowszczaków jest nasza". Wspierał ją m.in. Roman Kurkiewicz, felietonista PRZEGLĄDU.

– Pod protestem przeciw zmianie nazwy zebraliśmy przeszło 800 podpisów. Dąbrowszczacy walczyli w obronie Republiki Hiszpańskiej. Byli pierwszymi Polakami, którzy chwycili za broń przeciw faszyzmowi. Byli towarzyszami broni takich wielkich postaci jak Ernest Hemingway czy George Orwell. A teraz wojewoda zabiera im ulicę ze względów ideologicznych – mówi Marcin Gulczyński z Razem.

Protest w obronie ul. Dąbrowszczaków zorganizowany w czerwcu przez partię Razem.

13 grudnia Artur Chojecki, wojewoda warmińsko-mazurski z nadania PiS, ogłosił tzw. zarządzenie zastępcze o zmianie nazw kilku olsztyńskich ulic. Najwięcej kontrowersji wzbudziło przemianowanie ul. Dąbrowszczaków na Erwina Kruka, poety i pisarza, zmarłego 31 marca 2017 r. Po wojnie jako dziecko doświadczył on mazurskiego losu; jego ojciec został wywieziony w głąb Rosji i tam umarł. Po studiach Kruk pracował w „Gazecie Olsztyńskiej", należał do PZPR i był kierownikiem działu partyjnego tego dziennika, ale w 1980 r. zmienił poglądy polityczne i przyłączył się do Solidarności. Dziewięć lat później został senatorem Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego i na tym jego przygoda z polityką się skończyła. Poświęcił się twórczości literackiej, zdobył uznanie i szacunek, również jako rodowity Mazur podtrzymujący mazurską tradycję i kulturę.

– Uważam, że najlepszym sposobem upamiętnienia Erwina byłoby wydanie jego dzieł wszystkich. A jeśli jego imieniem mamy nazwać ulicę, niech to będzie nowa ulica, a nie Dąbrowszczaków w centrum miasta. Niewielka to pociecha, że ul. Kruka przetnie się z Mazurską – komentuje Wiktor Marek Leyk, po śmierci poety jeden z ostatnich prawdziwych Mazurów w regionie.

Mazurski kontekst jest tu istotny, bo nazwisko nowego patrona, który generalnie stronił od polityki, wykorzystuje sie do rozgrywki politycznej. Tak traktowana jest zmiana nazwy ulicy, której mieszkańcy swoje pretensje z tego powodu mogą przelać na Mazurów. A władza umyje ręce i odpowie: „Kruk wam się nie podoba?". Dlatego Razem decyzję wojewody określa jako perfidię.

Jeszcze większe zdziwienie wywołało to, że wojewoda naruszył miejscowe prawo. Siedem lat temu olsztyńscy radni przyjęli uchwałę, zgodnie z którą patronami ulic, placów i parków mogą zostać osoby, które zmarły przynajmniej pięć lat przed takim uhonorowaniem.

– Wojewoda powinien znać tę uchwałę, w każdym razie należy to do obowiązków jego prawników, a mimo to wydał zarządzenie wbrew prawu miejscowemu. Mam wielki szacunek dla Erwina Kruka, ale na najbliższej sesji będę głosował za zaskarżeniem tego zarządzenia do wojewódzkiego sądu administracyjnego. Chociaż zdaję sobie sprawę, że nie przyniesie to Olsztynowi sławy – mówi Krzysztof Kacprzycki, jedyny olsztyński radny z listy SLD.

– Jest to szczególnie smutny przypadek, bo chodzi o poetę, który swoim życiorysem zasługuje na nadanie mu nazwy ulicy. Ale czy sam Erwin Kruk byłby zadowolony, że odbywa się to w takim trybie? – zastanawia się Marcin Gulczyński. Jego partyjna koleżanka Małgorzata Matuszewska-Boruc przypomina, że wcześniej wojewoda nie reagował na ich protest, co świadczy o tym, że kryje się za IPN. Dlatego nie składają broni.

Tę samą uchwałę rady miasta wojewoda Chojecki naruszył również przy zmianie nazwy ul. Pstrowskiego na Żołnierzy Piątej Wileńskiej Brygady Armii Krajowej. Zgodnie z uchwałą nazwa powinna się składać z nie więcej niż 35 znaków, a tu jest 50. Taki adres utrudni życie mieszkańcom. Już powstają na ten temat dowcipy: Kurier ma dostarczyć przesyłkę i pyta telefonicznie odbiorcę, na jaki adres. Ten podaje, ale kurier nie może się zorientować: „Na Żołnierską? Nie? Na Armii Krajowej? Też nie? Czyli na pl. Wileński? Nie? To zostawię w paczkomacie!".

Dlaczego wojewoda wydał takie zarządzenie? Jego rzeczniczka Bożenna Ulewicz odpowiada, że ustawa o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy budowli, obiektów i urządzeń publicznych jest szczególna i wojewoda nie był zobligowany do stosowania prawa miejscowego w zakresie nadawania nazw ulic. ■

FOT. YOUTUBE.COM

eprasa.pl 8704c09f26

Akademia Humanistyczna
im. Aleksandra Gieysztora

Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo Narodowe

seminaria doktorskie
w dyscyplinie historii i nauk o polityce

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

INFORMACJE I ZAPISY

Biuro Rektora
ul. Daszyńskiego 17, 06-100 Pułtusk
tel. 23 692 98 13 do 16, e-mail: rektorat@ah.edu.pl

www.ah.edu.pl

WOLĘ BYĆ OPTYMISTĄ

NIE JESTEŚMY W STANIE URATOWAĆ CAŁEGO ŚWIATA, ALE MOŻEMY URATOWAĆ WIELU LUDZI

Rozmawia Artur Zaborski

ARTUR ŻMIJEWSKI

Zacznijmy od tytułu pańskiego nowego filmu, „Atak paniki". Czy pan miewa ataki paniki?

– Głupio trochę, ale nie zdarzyło mi się. Być może uczucie na granicy ataku paniki się pojawiło, ale nigdy nie zabrnęło tak daleko, bym mu uległ. Rozumiem panikę jako coś, co paraliżuje i nie pozwala nam funkcjonować, a coś takiego nie miało w moim przypadku miejsca nigdy. Zdarzało się, że było blisko, ale zawsze udawało mi się w porę to opanować.

A niepokoje związane z pracą? Z rolą? Przed wyjściem na scenę?

– To jest coś innego. Trema to emocje łatwe do opanowania. Na etapie analizowania scenariusza rozmawialiśmy z reżyserem filmu Pawłem Maśloną o panice i o tym, jakie sytuacje mogą ją wywołać. Zrozumiałem wtedy, że panika jest czymś, co na chwilę wyłącza mózg. Tracisz wówczas perspektywę i wydaje ci się, że nie ma wyjścia z tunelu, w który ta paniczna sytuacja cię wciąga. A kiedy uda ci się ochłonąć i spojrzeć na całe zdarzenie racjonalnie, okazuje się, że niedostrzegana przez ciebie, ale wciąż widoczna przestrzeń, miała rozpiętość co najmniej 180 stopni.

Pytam pana o to, bo po premierze filmu na festiwalu w Gdyni żartowaliśmy z dziennikarzami, że Artur Żmijewski w tym filmie to był podwójnie celny strzał – przecież funkcjonuje pan jako osoba opanowana, cierpliwa i spokojna. Pański bohater też, tyle że na zewnątrz, bo w środku w nim wrze. Można pomyśleć, że pan ma tak samo.

– Otóż nie mam. Dlatego było to dla mnie atrakcyjne wyzwanie. Jestem Pawłowi wdzięczny, że zaproponował mi zagranie bohatera, na którego czekałem bardzo długo. Przylgnął do mnie wizerunek człowieka spokojnego i racjonalnego. Nie walczę z tym i nie wstydzę się tego, ale taki jestem prywatnie i dobrze mi z tym. Chciałbym jednak grywać rzeczy jak najdalsze ode mnie i mojej psychiki. To jest sól naszego zawodu i to jest najbardziej pociągające i atrakcyjne, żeby nie być tym, kim się jest w rzeczywistości. Bo po to jest się aktorem, żeby grać postacie diametralnie od nas różne, które do nas w ogóle nie przystają. Trzeba znajdować w sobie takie emocje, których na co dzień nie mamy i wydaje się nam, że mieć

eprasa.pl 8704c09f26

nie możemy. A tu się okazuje, że przy odrobinie odwagi i gotowości do eksperymentu odkrywamy w sobie takie rzeczy, o które się nie podejrzewaliśmy. To jest najfajniejsze w aktorstwie. Co z tego, że wyjdę na scenę, chcąc grać siebie? Nie będę grał, bo będę sobą. A ważne, by być sobą, udając kogoś innego.

Ciągle udaje się panu zachować spokój? Mam wrażenie, że ostatnio wszystkich nas dotykają jakieś niepokoje, panika, histeria.

– Może to pana zdziwi, ale nie jestem niewolnikiem telewizji i serwisów informacyjnych. Potrafię też wyłączyć telefon na weekend. Dzięki temu nie daję się zwariować demonom, które by we mnie tkwiły, gdybym poddał się pędowi dzisiejszego świata, atakującego nas zewsząd od rana do nocy natłokiem kompletnie niepotrzebnych nikomu informacji. Są rzeczy ważne, które trzeba wiedzieć, analizować i wyciągać wnioski. Ale są też po prostu śmieci zaprzątające nam głowę. Trzeba się koncentrować na tym, co ma się do zrobienia. Trzeba mieć czas dla bliskich, dla rodziny i przyjaciół. Wtedy wszystko się układa. Nie możesz uwierzyć, że grając jakąś postać, stajesz się nią naprawdę. Bo jeżeli nie potrafisz wrócić do realu ze świata, w którym udajesz kogoś innego, i uwierzysz, że grając lekarza, potrafisz leczyć, że grając księdza, masz moc rozgrzeszania, a wcielając się w policjanta, możesz każdego bezkarnie zakuć w kajdanki, to robisz najgłupszą rzecz na świecie. Słyszałem, że takie przypadki miały miejsce, więc wolałbym, żeby mnie nic takiego nie spotkało. Ja jestem tylko aktorem, który wykonuje swoją pracę.

Pańscy fani lubią jednak utożsamiać pana z rolami. Pamiętam, jak opowiadał pan zabawną anegdotę, że kiedy rodził się pański syn, lekarz stwierdził z zupełną powagą, że już jest lekarz na sali, i sobie poszedł.

– Tak było. Ale to część mojego zawodu. Niektórzy mówią, że niedogodność, a ja to traktuję jako ciężar, który muszę znosić. Ceną bycia aktorem jest brak anonimowości. To bywa kłopotliwe w momentach, w których nie chcemy być rozpoznawalni. Ale cóż, po tylu latach aktywnej pracy już zdążyłem się z tym pogodzić, choć nie mogę powiedzieć, żebym to polubił. I bardzo boleję nad tym, że coraz trudniej zachować prywatność w świecie, który chce zaglądać we wszystkie zakamarki życia. Uważam, że każdy powinien mieć prawo do prywatności i do wyznaczenia jej nieprzekraczalnych granic. Nie mamy obowiązku pokazywać wszystkiego.

CENĄ BYCIA AKTOREM JEST BRAK ANONIMOWOŚCI.

Udaje się panu to minimum zachować?

– Kiedy zaczynałem, nie było tabloidów, więc można było spokojnie żyć i pracować. Potem się pojawiły, ale jeśli człowiek nie dawał powodów, by do nich trafić, mógł spokojnie funkcjonować. Teraz jak media chcą o kimś napisać, to i tak napiszą, nawet bez powodu. Ja mam prostą zasadę: nie wpuszczam mediów do domu. Nikomu nic do tego, jaki jest mój dom i moja rodzina. Jeśli chcę zachować takie rejony, w których funkcjonują tylko moi bliscy i przyjaciele – mam do tego prawo. Trzeba też pamiętać, że granice ustalamy sami. Jeśli ktoś raz i drugi zgodzi się na ustawki, trudno mu potem z tego się wyplątać. Dlatego ja na takie sytuacje nigdy się nie zgadzałem i zgadzać nie będę, właśnie dlatego, że mam do tego prawo.

Dostaje pan nadal propozycje ustawek?

– Na szczęście mam agentkę, która takimi rzeczami się zajmuje i radzi sobie z tym w sposób wybitny. Ustaliliśmy wiele lat temu, że nas to nie interesuje, i tego się trzymamy, szanujemy siebie nawzajem.

Dzisiaj najłatwiej do tabloidów trafić aktorowi nie przez skandal, ale przez zaangażowanie polityczne. Pan na temat polityki też milczy.

– Nigdy nie dałem się wepchnąć w żadną partię i w żadnej opcji politycznej nie uczestniczyłem. Gdybym chciał, wystartowałbym w wyborach, ale nie mam na to ochoty. Każdy ma oczywiście swoje poglądy, ale w kwestiach politycznych niech się wypowiadają politycy i komentatorzy, którzy się tym zajmują zawodowo. Ja nie czuję takiej potrzeby. Polityka jest ostatnią rzeczą, jaką chciałbym się zajmować w życiu. Oczywiście w ważnych sprawach należy czasem zabrać głos, ale zawsze uważałem, że jako aktor powinienem budować swój autorytet przede wszystkim dzięki rolom, które gram.

Nie wiem, czy czytał pan jedną z dyskusji w internecie...

– ...na pewno nie czytałem. Kompletnie mnie to nie interesuje.

Pozwoli pan, że szybko streszczę. Kiedy papież Franciszek nakazał wiernym pomoc uchodźcom, na jednym z portali rozpętała się dyskusja, w której pojawiło się pańskie nazwisko. Polemizujący ze słowami papieża wskazywali pana i mówili, że papież i pan to takie same lewaki. Pan oczywiście pojawił się jako ambasador UNICEF.

– Jeżeli pogląd, że ludziom należy pomagać, że współczucie tym, którzy stracili swoje domy w wyniku wojny i mieszkają w nieludzkich warunkach w obozach dla uchodźców, i którzy szukają lepszej przyszłości w różnych zakątkach świata, w tym w Europie – która podobnie jak kilka innych miejsc na świecie jest enklawą, bo większość ludzi na świecie żyje w warunkach, w jakich my nie chcielibyśmy spędzić nawet jednego dnia – jest poglądem lewicowym, to niech sobie mówią, że jestem lewakiem. Choć ja powiedziałbym raczej, że to postawa chrześcijańska albo zwykła ludzka solidarność.

Dziesiątki lat temu, w trakcie II wojny światowej czy też wiele lat po niej, nam pomagano! Kiedy nasi rodacy wyjeżdżali na Zachód, by żyć w lepszym świecie, by mieć lepsze perspektywy, by uciec od prześladowań politycznych czy po prostu od siermiężności świata, który nas otaczał – a pamiętam to dobrze, bo urodziłem się w latach 60. – pomagano nam. Dlatego powinniśmy teraz pomagać tym, którzy takiej pomocy oczekują. Solidarność z ludźmi buduje mosty i czyni świat lepszym, a my powinniśmy wyciągać rękę do tych, którzy tego potrzebują. A jeśli będziemy ich odtrącać, to będziemy wyłącznie radykalizować postawy i tworzyć sytuacje konfliktowe, które nikomu z nas nigdy nie będą służyć. W tej sprawie zdecydowanie popieram pogląd papieża Franciszka. I uważam, że to nie jest kwestia polityczna, tylko etyczna.

Naprawdę uważa pan, że da się o takich kwestiach mówić bez aspektu politycznego?

– A pan wciąż swoje! To kolejny dowód, że polityka być może za mocno wchodzi w relacje międzyludzkie. Może nie powinno tak być. Ja oczywiście nie znam wszystkich

eprasa.pl 8704c09f26

Atak paniki

PRZYLGNĄŁ DO MNIE WIZERUNEK CZŁOWIEKA SPOKOJNEGO I RACJONALNEGO. NIE WSTYDZĘ SIĘ TEGO, TAKI JESTEM PRYWATNIE.

Ojciec Mateusz

recept. Nie mam w rękach narzędzi mogących rozwiązać wszystkie bolączki tego świata. Ale jako człowiek i jako ambasador dobrej woli UNICEF mam obowiązek mówić, że są na tym świecie niesprawiedliwość, bieda i zło. Niektórzy moi koledzy twierdzą, że to bez znaczenia, bo jest na nim wielu łobuzów, którzy patrzą spokojnie na swoje odbicie w lustrze. Ja uważam, że ma znaczenie, czy pewne rzeczy robimy wbrew sobie, czy zgodnie ze swoim sumieniem. Tego będę się trzymał do końca życia.

Czy Polacy są przyzwoitym narodem?

– Norwid powiedział: „Polacy są wspaniałym narodem i bezwartościowym społeczeństwem". Jesteśmy piękni i zjednoczeni, kiedy stajemy wobec jakiegoś zewnętrznego zagrożenia, a kiedy żyjemy w pokojowych czasach, kłócimy się z nie wiadomo jakiego powodu. To dotyczy nie tylko polityki, ale także szeroko pojętego życia społecznego. Gdziekolwiek pan pojedzie – do Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii czy Stanów Zjednoczonych – usłyszy pan o takich przypadkach, że w jednej miejscowości są cztery polskie rodziny, które nie utrzymują ze sobą kontaktu albo się kłócą i wzajemnie obmawiają. W Polsce kilka rodzin Wietnamczyków będzie się trzymać razem i będzie sobie pomagać, tworząc wspólnotę. Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego tak jest, i wciąż tego nie rozumiem. Wydawało mi się, że będąc w jakimś obcym miejscu, powinniśmy się wspierać, a nie obmawiać. Trzeba umieć spojrzeć na człowieka i próbować go zrozumieć niezależnie od poglądów politycznych, narodowości czy koloru skóry. Dostrzec w nim kogoś, kto może nam coś ważnego zaoferować, i zastanowić się, co my możemy zaoferować jemu, choćby poprzez rozmowę.

Kiedy pan się tego nauczył?

– Jeżdżąc z misjami UNICEF i spotykając się z ludźmi – nie tylko z dziećmi, również z dorosłymi – nauczyłem się, jak wielkim prezentem jest dla nich tak prosta rzecz jak worek mąki lub cukru. Miska, czajnik, trochę herbaty, soli czy środków czystości to często wielka pomoc. I ta radość, że ktoś chce się z nimi spotkać i dać im nadzieję. Bo człowiek pogrążony w marazmie nie jest w stanie z niego wyjść bez pomocy z zewnątrz. Gościem zakończe-

eprasa.pl 8704c09f26

nia obchodów 70-lecia UNICEF był wspaniały młody człowiek, którego pomoc tej organizacji wydobyła z samego dna. W wieku 12 lat został siłą wcielony do jednej z grup zbrojnych w rodzinnym Sierra Leone. Przez programy pomocowe UNICEF trafił do obozu, w którym go rozbrojono i nauczono, że nie musi zabijać innych, żeby przeżyć. Teraz mieszka w Stanach Zjednoczonych i pisze książki o tym, jak wyszedł z tej beznadziei. Stał się ofiarą tego konfliktu zbrojnego nie z własnej winy – musiał się przystosować. Gdybyśmy doprowadzili do stanu, w którym takie konflikty by nie wybuchały, te dzieci nie byłyby zmuszane przez obcych ludzi, grożących im śmiercią, do zabijania swoich kolegów. Dlatego uważam, że wyciąganie ręki do drugiego człowieka i budowanie mostów jest lepsze od ich burzenia.

Pewnie może pan opowiedzieć sporo takich historii. Pozwalają panu lepiej zrozumieć to, co się dzieje?

– Kiedy przypominam sobie opowieść ojca w obozie Azraq w Jordanii, o tym jak jest zdesperowany, gotowy zaryzykować życie swoje i rodziny, by dostać się do Europy, to wiem, że on nie ma złych zamiarów w stosunku do nas. Po prostu szuka lepszego życia dla siebie i swoich dzieci. Żaden Polak, gdyby zobaczył, w jakich warunkach żyją ci ludzie, nie chciałby spędzić tam choćby jednego dnia. A to są warunki bardzo złe. Ludzie, którzy stracili własne domy, mieszkają jak w więzieniu. Nie mogą wyjść z obozu, kiedy im się podoba. Zresztą nie mają po co, bo jest on zlokalizowany w środku pustyni, w odległości 90 km od granicy z Syrią. Taka sama odległość dzieli go od stolicy Jordanii, Ammanu. Kilkadziesiąt tysięcy osób w obozie ogrodzonym drutem kolczastym, pilnowanym przez wojsko. Ci ludzie mają niezwykle silną motywację, by się stamtąd wyrwać. Jeśli im nie pomożemy tam na miejscu, jeśli nie doprowadzimy do zakończenia tej wojny, dając im szansę na powrót do domów, to nie zatrzymamy napływu uchodźców do Europy.

MAM OBOWIĄZEK MÓWIĆ, ŻE JEST NA ŚWIECIE NIESPRAWIEDLIWOŚĆ, BIEDA I ZŁO.

Kiedy wróciliśmy z misji w Mali, sprawdziłem statystyki: 80-90% ludzi żyje tam w ubóstwie. W Polsce, w zależności od źródła, 10-15%. To oczywiście nie znaczy, że nie należy pomagać biednym ludziom w Polsce. Należy pomagać wszystkim! A Malijczycy nie mają innych potrzeb niż my. Chcą mieć co do garnka włożyć, chcą być zdrowi, nie umierać przedwcześnie, mieć szansę na wykształcenie, na lepsze życie w przyszłości. I nie ma znaczenia, że mają inny kolor skóry, oczu czy włosów. Mają marzenia i potrzeby podobne do naszych, ponieważ też są ludźmi. Patrzenie na nich jak na intruzów jest nie w porządku.

Ja mam inne doświadczenie. Ubiegłoroczną Wielkanoc spędziłem w obozie dla uchodźców z Syrii w Idomeni. Jadąc tam, bałem się, że nie wytrzymam psychicznie, bo nastawiałem się na marazm, płacz, smutek. Tymczasem już od granicy obozu napotykałem roześmiane dzieci, które ze wszystkiego potrafiły zrobić zabawkę, i szczęśliwych dorosłych.

– Bo żyją i muszą się przystosować. To jest to, co dyrektor UNICEF Marek Krupiński podkreślał wielokrotnie: wyrasta nowe pokolenie, które nie zna innego życia niż życie obozowe. Skoro konflikt w Syrii trwa już sześć lat, a obóz w Zaatari jest niewiele młodszy, to znaczy, że urodziło się tam mnóstwo dzieci, które innego życia nie znają. I to powinien być wielki wyrzut sumienia dla nas wszystkich. A pamiętajmy, że na tamtych terenach w latach 40. mnóstwo Polaków znalazło schronienie, wśród ludzi, których wnukowie teraz potrzebują pomocy, więc nie powinniśmy im tej pomocy odmawiać.

Ambasador UNICEF

W Idomeni okazało się, że największą tęsknotą Syryjczyków są pomarańcze. Gdy kupiłem 30 kg i przywiozłem je do obozu, zniknęły w trzy minuty. Muszę przyznać, że mnie to załamało. Chyba sam uwierzyłem, że stanę się Świętym Mikołajem. W jaki sposób pan sobie radzi z poczuciem ograniczonej mocy sprawczej?

– Nie chciałbym, by zabrzmiało to górnolotnie, ale jeśli uratujemy życie choćby jednego dziecka, jednego człowieka – warto to zrobić. Niezależnie od tego, że toczą się konflikty, w których giną inni. To jedno uratowane dziecko będzie w przyszłości tworzyło lepszy świat. Tak jak młody człowiek, o którym wcześniej opowiadałem. Bez naszej pomocy był skazany na śmierć w tej wojnie, której nie rozpętał, a w którą został wciągnięty siłą. Ale uratowaliśmy go i on jest żywym dowodem, że pomoc niesiona i tutaj, i tam, na miejscu, działa. Mówiłem o braku nadziei w oczach ludzi, którzy nie otrzymują znikąd pomocy. Ale będzie ją miało takie dziecko, z którym porozmawialiśmy, które dostało od nas jedzenie, preparaty terapeutyczne, możliwość zaopatrzenia

Artur Żmijewski – (ur. w 1966 r.) aktor teatralny, filmowy, telewizyjny oraz reżyser. Po raz pierwszy pojawił się na wielkim ekranie w 1984 r. w filmie „Dzień czwarty". Widzowie pokochali go za role w takich filmach i serialach jak: „Ostatni dzwonek" (1989), „Panny i wdowy" (1991), „Psy" (1992), „Ekstradycja" (1995), „Na dobre i na złe" (1999), „Nigdy w życiu!" (2004), „Katyń" (2007), „Mój rower" (2012). Aktualnie najbardziej kojarzony z tytułową rolą w „Ojcu Mateuszu", w którego wciela się od 2008 r. Ma na koncie cztery Telekamery. Od dziesięciu lat ambasador dobrej woli UNICEF. 19 stycznia do kin wchodzi „Atak paniki" z jego udziałem.

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM, AKSON DYSTRYBUCJA, GAŁĄZKA/AKPA, UNICEF/MARCIN SUDER

eprasa.pl 8704c09f26

się w czystą wodę czy pójścia do szkoły. Bo edukacja jest niezwykle istotna. Do miejsc niosących pomoc medyczną dostarczamy również tak proste przedmioty jak centymetry krawieckie, wagi i sprzęt do mierzenia wzrostu, by można było określić, czy dziecko jest niedożywione. UNICEF dostarcza produkty, które są tam potrzebne: szczepionki, środki medyczne, leki. Tu, w Europie, potrafimy zaradzić wielu chorobom, które tam są śmiertelne. Nie jesteśmy w stanie uratować całego świata, ale możemy uratować wielu ludzi.

DOPÓKI SĄ PRZYZWOICI LUDZIE, WARTO SIĘ Z NIMI SPOTYKAĆ I PRÓBOWAĆ ROBIĆ DOBRE RZECZY.

Oczywiście będą się zdarzać katastrofy i konflikty, ale dlaczego ludzie mają umierać bez sensu na choroby, które można wyleczyć prostymi antybiotykami?

Skąd w panu tyle spokoju i optymizmu?

– Mój sceptycyzm czasem daje o sobie znać, ale gdybym miał mu się poddać, musiałbym zamknąć się w domu i wpaść w depresję, a nie chcę, by tak się stało. Dlatego wolę być optymistą, bo dopóki są przyzwoici ludzie na tym świecie, warto się z nimi spotykać i przynajmniej próbować robić dobre rzeczy.

Ale nie potrzebuje pan tego wszystkiego jakoś odreagowywać?

– Jak już powiedziałem na początku tej rozmowy, aktorstwo daje mi taką możliwość, bo pozwala stać się choć na chwilę kimś zupełnie innym. Wejść w świat, który za każdym razem jest dla mnie wielką tajemnicą. Kimś innym byłem na planie filmu Patryka Vegi, inną postać grałem u Piotra Trzaskalskiego, a Paweł Maślona dał mi jeszcze inny świat, którego wcześniej nie znałem. Mam fajny zawód, który jest też moim hobby. Wygląda na to, że dobrze wybrałem.

Plan filmowy to psychoterapia?

– Na takie wyznanie pan mnie nie naciągnie. Nie jestem psychologiem, choć aktor pewną wiedzę psychologiczną powinien posiadać, by móc w sposób wiarygodny budować swoje postacie. Ale jak naprawdę działa ludzka psychika, tego nie wiem i nie chcę wiedzieć. Postanowiłem sobie kiedyś, że mój zawód, moje role zostawiam za progiem, a w domu jestem tylko sobą. To nie jest wykonalne w stu procentach, bo gdy muszę się nauczyć tekstu sztuki, robię to w domu, ale zawsze na uboczu i nie obciążając tym mojej rodziny.

Czyli święta i Nowy Rok spędza pan z dala od wszystkiego?

– Zdecydowanie. Nie przejmuję się wtedy moim zawodem.

Tak radykalnie, że nawet „Kevina samego w domu" pan z rodziną nie ogląda?

– Nie oglądam. Wolę raczej, kiedy ze sobą gadamy, miło spędzamy czas, biesiadujemy. Czyli robimy to, czym nie możemy się nacieszyć przez cały rok. Spotkanie w gronie rodzinnym jest najważniejsze. Przecież jeśli widzimy się z bratem raz na wiele miesięcy, to chcemy się wygadać i pobyć ze sobą, a nie oglądać telewizję!

Artur Zaborski

eprasa.pl 8704c09f26

Z Galicji

Jan Widacki

REKONSTRUKCJA, RECHRYSTIANIZACJA

Na razie parafiankę w niezgrabnych garsonkach ozdobionych odpustowymi broszkami, Beatę Szydło, zastąpił bankier Mateusz Morawiecki. W dobrych garniturach i dobrze dobranych krawatach. Z jedną uwagą. Do Brukseli nasz elegant pojechał w trochę za ciasnej chyba marynarce. Twarz bez wyrazu i monotonny, miaukliwy głos, którym wypowiadane były puste frazesy („Polki i Polacy przez osiem ostatnich lat" itd.), zastąpiła, inteligentna twarz o wykrzywionych nieco cynicznym uśmieszkiem ustach, które sprawnie wypowiadają słowa po polsku, angielsku i bodaj niemiecku. Wedle zamysłu Prezesa Polski już to miało zaskoczyć partnerów z Unii i rzucić ich na kolana przed wstającą z kolan Polską.

Pojechał nasz nowy premier do Brukseli na unijny szczyt, ale na kolana nikogo nie rzucił. Choć mówi ponoć w trzech językach, do powiedzenia ma to samo, co jego poprzedniczka miauczała w jednym. Tyle, ile Prezes pozwoli lub ściślej – nakaże. Czyli niewiele. Toteż brukselskie sukcesy nowego premiera podobne są do osiągnięć jego poprzedniczki, której wygrana mierzona stosunkiem 27:1 niestety przejdzie do historii. Przed wyjazdem do Brukseli w jednej ze słusznych stacji nowy polski premier zapowiedział, że będziemy rechrystianizować Europę Zachodnią. Nic więc dziwnego, że w Brukseli zaczął od prezydenta Francji, kraju najbardziej zlaicyzowanego. Po rozmowie z Macronem pan premier zapewnił, że rozmowa była bardzo dobra, po czym Macron oznajmił, że poprze ewentualne sankcje nałożone na Polskę przez Komisję Europejską. To w tej „dobrej rozmowie" nie mówili o groźbie sankcji? Tylko o rechrystianizacji Francji? Pan premier nie doczekał końca szczytu Unii i wrócił do Polski. Wedle wersji oficjalnej, aby zapoznać się z ważnymi dokumentami wywiadu. Co tak bardzo pilnego wywiad wykrył w ostatniej chwili, że aż premier musiał natychmiast wracać z unijnego szczytu do Warszawy? Szykowała się jakaś napaść na Polskę? Niemożliwe. Kto by się odważył napadać na kraj, którego bezpieczeństwa strzegą Wojska Obrony Terytorialnej i minister wojny, Napoleon i Piłsudski w jednej osobie?!

Morawiecki swoją arogancją, którą potrafi okazać w trzech językach, będzie w Europie tylko drażnił.

Niektórzy mówili, że nie do Agencji Wywiadu śpieszył się premier, ale na spotkanie opłatkowe na Nowogrodzkiej. W sumie wszystko jedno.

Tak czy owak, nie udał się ten brukselski szczyt nowemu premierowi. A jego wcześniejszy wyjazd został zapewne potraktowany jako akt arogancji. Ważniejsze było – trzymajmy się wersji oficjalnej – czytanie jakichś papierów w Warszawie niż obrady europejskiego szczytu. O ile na jego poprzedniczkę patrzono w Europie ze zdziwieniem, a może nawet z odrobiną politowania, ale też sympatii, o tyle Morawiecki swoją arogancją, którą potrafi okazać w trzech językach, będzie tylko drażnił. Dla europejskich partnerów mniej ważne jest, w jakim języku i z jaką intonacją się mówi – miaukliwą i monotonną czy swobodną, właściwą dla salonowca – niż to, co się mówi. A zarówno premier Morawiecki, jak i była premier Szydło mówią to samo. Mówią Prezesem. Zmieniły się „usta Prezesa", Prezes pozostał ten sam.

Dziś dowiadujemy się, że szefem gabinetu politycznego premiera zostaje poseł Marek Suski. Założę się, że to Prezes mebluje premierowi gabinet. Przecież nie wierzę, by Morawiecki jako prezes banku przyjął do roboty kogoś o poziomie intelektu posła Suskiego. A tu Suski – technik teatralny, perukarz, jeśli się nie mylę, słynny badacz wątku carycy Katarzyny w aferze Amber Gold, autor licznych na poły śmiesznych, na poły żałosnych wypowiedzi dla mediów – zostaje szefem jego gabinetu. Życzę sukcesów. Najwyraźniej Prezes wstawia do kancelarii premiera swoje ucho. Prawdziwe „ucho Prezesa". A Suski jest wierny Prezesowi jak Roch Kowalski Radziwiłłowi (i w gruncie rzeczy z tego samego powodu). Co z tego może wyniknąć? Kto czytał „Potop", ten wie.

Właściwie po co Prezes Polski potrzebował zmiany premiera? Powody są chyba trzy. Pierwszy – to rosnąca popularność Beaty Szydło w elektoracie PiS. Ta jej małomiasteczkowość w oczach pisowskich wyborców była niesłychaną zaletą. Wiernym wyobrażeniem i odzwierciedleniem wiejskiego i małomiasteczkowego elektoratu. Ta sama elegancja, ten sam zrozumiały, prosty język. Krew

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8704c09f26

z krwi, kość z kości. Tymczasem Prezes nie lubi, gdy ktoś w jego otoczeniu wyrasta zbyt wysoko. Jak będzie taka popularna, jak poczuje swoją siłę, może zacząć myśleć, że jest samodzielna, może próbować sama podejmować jakieś decyzje.

Powód drugi to konieczność pokokietowania elektoratu bardziej centrowego, młodego pokolenia, dla którego ludyczność Beaty Szydło, jej rażąca prowincjonalność były nie do przyjęcia.

Wreszcie powód trzeci to kontakty z Unią Europejską. Przaśna Beata Szydło po słynnym sukcesie (27:1) pozycję w Brukseli miała słabą. Kaczyński sądził, że Morawiecki, wzorem Orbána, na salonach Unii będzie sobie radził dużo lepiej. Chyba jednak Genialny Strateg się przeliczył. Orbán na europejskich salonach czuje się dobrze. Mówi po angielsku, jest zręczny, z wieloma europejskimi politykami jest zaprzyjaźniony. Bardzo sprawnie lawiruje między Unią a Rosją i za to też pewnie go cenią. Na Węgrzech w demokratycznych wyborach zdobył większość konstytucyjną i chociaż to, że zmienia ustrój państwa, w Unii się nie podoba, muszą tam przyznać, że robi to zgodnie z prawem.

Morawiecki tak zręcznym politykiem nie jest. Polska nie jest w stanie lawirować między Unią a Rosją, bo nie tylko stosunki z Rosją ma fatalne, ale nawet nie jest przez Rosję poważnie traktowana (*vide*: ostatnia konferencja prasowa Putina, który o Polsce wypowiadał się nie tyle wrogo, ile znacznie gorzej – z kpiną i pobłażaniem). Partia Morawieckiego w ostatnich wyborach większości konstytucyjnej nie zdobyła, a więc zmieniając ustrój, łamie konstytucję, na co Unia pozwolić nie może.

Orbán nie zapowiada, że Europę zrechrystianizuje – on prowadzi z nią grę i robi interesy. Ale przede wszystkim Orbán mówi Orbánem, Morawiecki może mówić Kaczyńskim. Z Orbánem jest sens rozmawiać, bo Orbán podejmuje decyzje. Z Morawieckim nie bardzo, bo decyzje i tak podejmuje kto inny. Ale krawaty ma ładne. Znacznie lepiej dobrane niż Szydło broszki. Tyle że nie od tego zależy pozycja w Europie.

Jan Widacki

KTO WYCZYŚCI WANNĘ?

Niemcy zatrudniają tysiące gospodyń, najczęściej z Europy Środkowo-Wschodniej. Socjolodzy ostrzegają przed powrotem społeczeństwa klasowego

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Czasem wystarczy jedna sytuacja, aby sobie uświadomić, w jakim stopniu niemiecka rodzina jest uzależniona od zatrudnionej w domu gospodyni. Marina Krause ma 41 lat i mieszka w Hamburgu, ale trzy tygodnie temu była na delegacji w Rzymie. Traf chciał, że akurat wtedy zadzwoniła do niej przedszkolanka, prosząc, aby któreś z rodziców przyszło po ich trzyletnią córkę Alinę, która od dwóch godzin miała rozwolnienie. Marina kieruje małą firmą teleinformatyczną i w tym momencie przedstawiała włoskim partnerom nowy projekt. Jej mąż Klaus, inżynier budowlany, też nie mógł opuścić swojego miejsca pracy. Po Alinę pojechała Kasia, która musiała zrezygnować z przerwy obiadowej. 22-letnia Polka pracuje u rodziny Krause jako *au pair*: gotuje, pierze, sprząta i zajmuje się dzieckiem. – Kiedy urodziłam Alinę, byłam dziesięć miesięcy w domu, ale szybko zatęskniłam za firmą. Kocham swoją pracę – zaznacza Marina.

WSZECHOBECNY MODEL

Marina i Klaus zdecydowali się na model rodzinny powszechny za Odrą. Wielu niemieckich rodziców po czterdziestce jeszcze przed końcem urlopu wychowawczego wraca do pracy. Realizowanie ambicji zawodowych łączy się jednak z brakiem czasu dla dzieci i na prace domowe. Mniej zamożni rodzice uczą się więc trudnej sztuki zarządzania czasem, natomiast ci z grubszym portfelem (jak Klaus i Marina) sięgają po pomoc z zewnątrz. Kasia z Warszawy jest już drugą polską operką zatrudnioną w domu państwa Krause w dzielnicy Blankenese.

– Jako *au pair* pracuję legalnie, ale mam tylko umowę na czas określony. Dlatego Marina już rozgląda się za moją następczynią – mówi Kasia.

Umowa zakłada, że Kasia powinna mieć także wolny czas dla siebie i na naukę niemieckiego, więc dziewczyna sama nie odciąży nadmiernie zajętych rodziców. W środy przychodzą rodzice Klausa, w czwartki sprzątaczka. Odzież, buty i meble Marina zamawia w internecie, bo nie ma czasu na weekendowe wycieczki do centrów handlowych: – Nauczyłam się przydzielać zadania. Czas jest luksusem, a po pracy wolę go spędzać z córką, niż tracić na pranie i sprzątanie.

W ostatnich dziesięciu latach role rodziców w Niemczech się zmieniły. Model pracującego ojca, który jako głowa rodziny sam utrzymuje pozbawioną perspektyw zawodowych żonę i dzieci, nie jest aktualny. Dzisiaj oboje rodzice często pracują po osiem godzin, w domu zaś coraz rzadziej odciążają ich dziadkowie. Kto wyczyści wannę i kafelki w łazience? Kto odkurzy? Kto skompletuje listę zakupów? Dlatego wiele niemieckich rodzin sięga dziś po metodę znakomicie sprawdzającą się dotąd w gospodarce – *outsourcing*.

3,6 mln niemieckich rodzin zatrudnia w domu gospodynię.

Korzystanie z usług zewnętrznych nie sprowadza się jednak do prac domowych. Po ulicach jeździ codziennie przeszło 100 tys. kurierów, którzy na zlecenie spółek Deliveroo, Zalando czy Amazon dostarczają do niemieckich domów żywność, odzież, książki, gadżety, zabawki i meble. W ten sposób powstała w ostatnich latach zupełnie nowa branża, która wyspecjalizowała się w odciążaniu rodziców z napiętym harmonogramem.

Eksperci z Instytutu Niemieckiej Gospodarki (IW) szacują, że 3,6 mln rodzin zatrudnia w domu gospodynię, przy czym znikomą część na legalnych warunkach (z ubezpieczeniem socjalnym). – Prawie 3 mln gospodyń

eprasa.pl 8704c09f26

w Niemczech pracuje na czarno, to niemal 90%! – zauważa Arndt Kirchhoff, szef kolońskiego instytutu.

ROSNĄCE ZAPOTRZEBOWANIE

A zapotrzebowanie na pomoc domową rośnie. – Mamy w Niemczech rażącą lukę, w całym kraju brakuje sprzątaczek, nianiek i pielęgniarek – wyjaśnia Bernhard Emunds, filozof ekonomii z Frankfurtu. Według niego problem jest szczególnie zauważalny na wsi, gdzie przedszkola zamykają już wczesnym popołudniem. – W małych miejscowościach rodzice zatrudniają tzw. babcie leasingowe, które pilnują dzieci. Ale one kiedyś odejdą – ostrzega Emunds.

Ten problem dotyczy milionów niemieckich rodzin i z roku na rok się zaostrza. Niemcy są coraz starsi, a postępujący brak specjalistów w rozmaitych branżach każe przypuszczać, że młode matki coraz rzadziej będą rezygnowały z pracy. – Związki zawodowe upominają się o prawa kobiet w pracy, przy czym sytuacja kobiet się polepszyła. To jednak stworzyło nowe problemy. Trudno więc dyskutować o większym udziale kobiet w rynku pracy, ignorując dyskusję o ich obowiązkach w domu – uważa Roland Tichy, były redaktor naczelny tygodnika „Wirtschaftswoche". Jego zdaniem państwo niemieckie powinno pomagać młodym matkom, których na gospodynię nie stać, a które pragną pogodzić pracę z rodziną.

W Niemczech wciąż brakuje nie tylko legalnych możliwości zatrudniania pomocy domowej, lecz także mechanizmów regulujących nowy rynek. Wyzyskiwanie taniej siły roboczej i niepewne umowy tworzą nowe podziały społeczne i sprawiają, że *outsourcing* staje się zagadnieniem socjologicznym.

– Ta ekonomia odciążenia przywodzi na myśl społeczeństwo klasowe. Każdy z rodziców powinien dokładnie się zastanowić, czy to jeszcze etyczne zachowanie, kiedy chcąc się zajmować rzekomo ważniejszymi sprawami, oddajemy te mniej ważne w ręce mniej uprzywilejowanych. Przecież ci usługodawcy też mają stresy i problemy z pogodzeniem swoich zadań – zauważa Christoph Bartmann, socjolog, autor książki „Powrót służebnic". Zawarte w niej pytania są szalenie aktualne. Czy zatrudniamy pomoc domową, bo brakuje nam czasu, czy raczej dlatego, że nie chce się nam wykonywać banalnych zadań? – *Outsourcing* i internet bez wątpienia pogłębiły podziały klasowe. Ten, kto zamawia, jest „kimś", kto dostarcza lub służy – „nikim", a w każdym razie „kimś gorszym" – konkluduje Bartmann.

Zlecanie prac domowych jest również przedmiotem badań nad rolami płciowymi. Sprzątanie, zajmowanie się dziećmi, gotowanie oraz pielęgniarstwo uchodziły kiedyś za domeny kobiece. Szkopuł w tym, że często pozostają zadaniem kobiety, nawet jeśli ta chodzi do pracy.

– Matki poświęcają dzieciom i sprawom domowym dwa razy więcej czasu niż ojcowie, niezależnie od tego, czy pracują, czy nie – wskazuje Uta Meier-Gräwe, socjolożka rodziny na Uniwersytecie w Giessen. Co ciekawe, o ile dysproporcje w przydziale ról płciowych w gospodarstwie domowym się nie zmieniły, o tyle zachowania samych kobiet już tak. – Kiedyś kobiety wstydziły się zatrudnić sprzątaczkę, dzisiaj młode pokolenie niemieckich matek nie ma skłonności do perfekcjonizmu, w każdym razie nie w domu – podkreśla badaczka. Jednak nawet jeżeli Niemki oddelegowują inne osoby do „banalnych" zadań, obowiązek zorganizowania sprzątaczki, niańki, pielęgniarki lub kucharki przeważnie spoczywa na kobiecych barkach. – Ojcowie prawie w ogóle się tym nie zajmują, koniec końców te rzeczy i tak pozostają w kobiecych rękach – stwierdza socjolożka.

POŻĄDANE I NIEDOCENIANE

Krzywdzący wizerunek polskich sprzątaczek w Niemczech ma długą tradycję. Ciekawą ripostą na niemieckie stereotypy była książka Justyny Polańskiej „Unter deutschen Betten" („Pod niemieckimi łóżkami"). Bestseller polskiej sprzątaczki doczekał się nie tylko przekładów na inne języki, lecz także ekranizacji, w której zagrała Magdalena Boczarska.

Intratną pracę w niemieckich gospodarstwach domowych znajdują natomiast polskie pielęgniarki. Trzy lata temu Stefan Schmidt z Augsburga szukał opiekunki dla 87-letniej matki, której nie chciał oddać do domu starców. Zatrudnił Iwonę z Dolnego Śląska. 47-letnia pielęgniarka wprowadziła się do Schmidtów, ma tam pokój, posiłki i pensję prawie trzykrotnie wyższą niż we wrocławskim szpitalu. – Robię pani Schmidt śniadanie, obiad i kolację, a wieczorem masaż przed zaśnięciem. Mam tu dobre warunki – opowiada.

> W całym kraju brakuje sprzątaczek, nianiek i pielęgniarek.

Niemniej jednak na początku o mały włos nie zrezygnowała z pracy. – Starsza pani przez pierwsze miesiące nie chciała spać i krzyczała, siedziałam już na spakowanej walizce i czekałam na taksówkę – tłumaczy Iwona. Na szczęście Stefan odwiódł ją od tej decyzji. W ubiegłym roku Iwona poleciała na wczasy do Hiszpanii, więc przez dwa tygodnie Schmidt i jego żona sami musieli się zajmować mamą. – Dopiero wtedy zobaczyliśmy, jak ciężki jest zawód pielęgniarki. Jesteśmy wdzięczni, że pani Iwona jest z nami – mówi 62-letni Bawarczyk. Dzisiaj Iwona należy do rodziny, uczestniczy w każdej uroczystości.

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 8704c09f26

Według obliczeń kolońskiego IW w niemieckich domach pracuje niemal 300 tys. prywatnych pielęgniarek, większość z Polski, Czech i Węgier. Tym samym powstała w ostatnich dwóch dekadach nowa gałąź przemysłu, która z czasem zrobiła się konkurencyjna w stosunku do pielęgniarstwa na oddziałach szpitalnych. Ale pielęgniarki z Europy Środkowo-Wschodniej często działają w szarej strefie. Również w tym kontekście socjolodzy zauważają nowe podziały społeczne. – Bogactwo Zachodu nadal opiera się na wyzysku mniej uprzywilejowanego Wschodu i Południa. Dopóki Niemcy sąsiadują z biedniejszymi krajami, dopóty pielęgniarek tu raczej nie zabraknie. Tania siła robocza jest gwarantem zachodniego dobrobytu – ocenia monachijski socjolog Stephan Lessenich.

Tak jest oczywiście nie tylko w Niemczech, wystarczy zerknąć na sytuację w USA, gdzie miliony mniej lub bardziej legalnie zatrudnionych imigrantów z Ameryki Łacińskiej, Afryki bądź Azji „odciążają" amerykańską klasę średnią. Amerykańska socjolożka Arlie Russell Hochschild ukuła termin *global care chain*, czyli globalny łańcuch opieki. Problem polega na tym, że „powracające służebnice" najczęściej też mają rodziny i mało czasu, przy czym one już nie korzystają z zalet outsourcingu.

Nie trzeba jednak bezkrytycznie zgadzać się z tezą Bartmanna, jakoby niemieckie matki zatrudniały sprzątaczki lub operki, bo nie chce im się wykonywać rzekomo banalnych zadań. W rzeczywistości rodziny często kierują się motywami pragmatycznymi, a nie „klasowymi". Zatrudniają gospodynię nie z wygody, lecz z braku alternatywy. W wielu przypadkach pomagają im odpłatnie osoby bliskie, które nie czują się ofiarami feudalizmu. Mimo to warto zapytać, jak można uregulować powstały w ostatniej dekadzie rynek, aby beneficjentami byli zarówno zleceniodawcy, jak i usługodawcy. A także państwo, corocznie pozbawiane przez czarny rynek miliardów euro. – Zlecanie pracy domowej nie jest niczym haniebnym, należy po prostu stworzyć legalny system – uważa Emunds, który żąda większych subwencji państwowych. Modelowy jego zdaniem mógłby być wzór belgijski – rozdawania przez państwo obciążonym rodzinom kuponów na sprzątaczkę, niańkę czy kucharkę.

W Niemczech przełom dopiero się zaczyna. Pewnej znajomej rodzinie wielodzietnej (polskiej) w Berlinie pomagała chwilowo oddelegowana przez urząd pracy gospodyni (co ciekawe, niemiecka). I na pewno nie została tam zatrudniona dlatego, że nasi znajomi nie chcieli wykonywać „banalnych" obowiązków. Oni byli po prostu na skraju wytrzymałości.

Mechanizmy likwidujące szarą strefę w niemieckich gospodarstwach ociepliłyby wizerunek wspomnianych profesji, które są zawodami jak każdy inny. Zresztą jak zaznacza filozof Emunds, nie powinniśmy wszystkich zadań domowych oddawać w cudze ręce i poświęcać się bez wyjątku rzekomo wyższym sprawom. Przyziemne czynności, takie jak dbałość o dom, gotowanie i sprzątanie, są zapisane w pierwotnych ludzkich genach, są wyrazem naszej fizycznej egzystencji.

Wojciech Osiński

eprasa.pl 8704c09f26

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

GRZECZNIE JUŻ BYŁO...

Będzie kuriozalniej i bardziej swojsko, bardziej dziko – łagodność schowa się gdzieś w kącie za szafą, pod podłogą. Będzie przewidywalnie nieprzewidywalnie, będzie hulało, będzie smuta, rozjaśniana co jakiś czas śmiechem budzącym fałszywą nadzieję przełamania i zmiany. Będą duperele, roszadki, aferki, żarciki. Będzie inaczej, niż było, bo już może tak być i nie ma niczego, co może to zatrzymać. Ci, którzy dwa lata temu budowali wizję czteroletniego przetrwania, którzy widzieli zaćmienie czasowe, aby do wyborów, będą musieli się przeprogramować. To będzie trwało. Raczej bezkrwawo lub mało krwawo. Bo niby dlaczego inaczej? Przez dwa lata zwycięzca wziął wszystko, przemontował kraj, zgwałcił konstytucję, na którą wszyscy jego ministrowie przysięgają. My wciąż mamy głos, ale nawet kiedy go wydobywamy, nie ma szansy na usłyszenie. Bo obok przejęcia resortów siłowych (krok pierwszy), likwidacji zapór konstytucyjnych (Trybunał – krok drugi), podporządkowania sobie systemowo całego wymiaru sprawiedliwości (od prokuratury – krok pierwszy kroku trzeciego, przez nadzór nad sądami – krok drugi kroku trzeciego, aż do demolki Sądu Najwyższego i zdobycia KRS – krok trzeci kroku trzeciego) mamy *de facto* zmianę konstytucyjną ustroju państwa bez większości konstytucyjnej.

Jeszcze przez jakiś czas będziemy obserwować wyroki garstki najodważniejszych sędziów, ale coraz rzadziej i rzadziej. Wszystko to obudowane celnymi manewrami społecznymi okrążającymi społeczeństwo – jak 500+ czy Mieszkanie+ – będzie nie tyle przydawało twardych zwolenników partii PiS, ile poszerzało szarą strefę dominującego, nieangażującego się środka, który będzie zajęty swoimi sprawami i nie będzie to „róbmy swoje" Młynarskiego, tylko takie „róbmy sobie". Ale co też by mieli robić środkowicze?

Opozycja pozaparlamentarna miota się na coraz mniej wyrazistych i mniej licznych mityngach, bez wyłożonych celów innych niż „precz z kaczorem dyktatorem", a to dużo za mało. Na stole jest dwuletni wist PiS, baśń opowiedziana, usłyszana i zaakceptowana – co z tego, że oparta na blefie, fałszywych asach, królach, damach i z zasadami wziętymi z innych gier, kiedy po drugiej stronie nie tyle nawet nie ma mocnej odpowiedzi, ile nikt nie siedzi przy stole. Wirus się zmutował, zlikwidował antidota i zapanuje na dłużej. Będzie odcedzał najradykalniejszych na boku i po cichu (głośno dopiero tuż przed terminami kolejnych wyborów). Ten pociąg sam się nie wykolei, a nie widać determinacji, woli, zdesperowanej wyobraźni, żeby mu w tym pomóc.

Po dwóch latach bezkrwawego odkonstytucyjniania Polski nie widzimy żadnej realnej alternatywy państwa po PiS. Taka zemsta POPiS zza grobu, owoc nieskonsumowanego formalnie romansu, który realnie naznaczył dzisiejszy pejzaż polityczny – sojusz narodowo-katolickich oparów z nienaruszalnym fundamentem wolnorynkowej wolnej amerykanki, z faszyzującymi obłoczkami unoszącymi się nie niewinnie bynajmniej. Na razie. Przez dwa lata nie zobaczyliśmy nawet nie tyle wizji innego państwa, ile opracowanych propozycji zmian ustawowych. Nie pamiętamy żadnej takiej ustawy. Nie dlatego, że mamy słabą pamięć, tylko dlatego, że nie została wypracowana przez zasilane milionowymi dotacjami partie.

Nakrakałem się z tej bezradności, to poszperam nieco w nadziejach. Może taką zapowiedzią jest rodzący się wielokolorowy sojusz organizacji i ruchów społecznych w Łodzi, zamierzający stawić czoła najmocniejszym w wyborach samorządowych (jeśli są one jeszcze możliwe). Może przesileniem będzie zmiana języka i metod oraz artykulacja czytelnych postulatów przez protestującą, nieznośnie grzeczną ulicę. Ale trudno na to liczyć z pełnym optymizmem.

> To nie jest czas kopania okopów i wojny pozycyjnej, to czas na ofensywę.

Szansę na akceptację ma szeroko rozumiana lewicowa oferta, PiS paradoksalnie otworzyło drzwi do pomysłów socjalnych, które dotąd były mocno zaryglowane. Ale to wymaga bardzo wielu różnych kroków. Nie tylko, a raczej obok jakichkolwiek pomysłów „zjednoczeniowych" czy wspólnofrontowych – nie bardzo widać ich realność. Jednak rządzący otworzyli tyle frontów, że naprawdę jest sporo placów do stanięcia i zdobycia sojuszników oraz sojuszniczek. Czas ideowego zakopywania animozji? Oby.

I bardzo mocny głos światopoglądowy. Mówiąc bez ogródek – antykościelny. Bez umizgów, *Realpolitik*, niemądrości etapu. Dzisiaj tam nie ma sojusznika w żadnej kwestii. Jeśli sam Kościół się przeformatuje (na co nie ma żadnej nadziei i nic tego nie zapowiada), to się zobaczy. Czyli raczej widać ciemność w tej sprawie.

Nie jest to też czas kopania okopów i wojny pozycyjnej, to czas na ofensywę. Na bezkompromisowy pomysł nowej Społecznej Rzeczypospolitej.

Ja zacznę od małej zmiany tytułu cyklu tych felietonów. Odtąd: „Lewomyślniej". Czego i sobie, i Państwu, i Polsce życzę. Bez żadnego amen.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8704c09f26

CHILE PRAWE i SPRAWIEDLIWE

Wybrany na prezydenta Sebastián Piñera niebezpiecznie zbliża się do radykalnej prawicy

Mateusz Mazzini

Zwycięstwo 68-letniego miliardera, prezydenta w latach 2010-2014, ekonomisty z harvardzkim dyplomem i potentata na rynku medialnym, symbolizuje koniec dwóch epok w całej latynoamerykańskiej polityce. Konserwatywny chadek Sebastián Piñera, zdobywając w drugiej turze chilijskich wyborów prezydenckich 54,6% głosów, przypieczętował ostatecznie upadek tamtejszej lewicy. Wydaje się, że po niemal dwóch latach dominacji na scenie politycznej Concertación, luźny konglomerat wielu centrowych, lewicowych i socjaldemokratycznych ugrupowań, architektów kompromisu chilijskiej transformacji, jest w głębokiej defensywie. Dla prawicy natomiast zapowiadają się lata tłuste, i to nie tylko za sprawą zwycięstwa w wyborach prezydenckich. Pod koniec listopada, przy okazji pierwszej tury wyborów głowy państwa, zorganizowano częściowe wybory do chilijskiego parlamentu, w których wspierająca Piñerę chadecka formacja Chile Vamos spisała się znacznie lepiej, niż wieszczyli eksperci i analitycy krajowej polityki, dzięki czemu blok kontroluje już 72 ze 155 miejsc w Izbie Deputowanych.

PRAWICOWY TREND NA KONTYNENCIE

Zwycięstwo Piñery jest oznaką coraz głębszej zapaści progresywnej lewicy w Ameryce Łacińskiej. Kiedy w poprzedniej dekadzie niemal wszystkie kraje regionu rządzone były przez partie lewicowe i centrowe, światowa prasa mówiła o „różowym prądzie", który nadaje ton całej tamtejszej polityce. Dzisiaj próżno szukać śladów tej dominacji, z rwącej rzeki został cienki strumyk. Najpierw padły bastiony niemal dziedziczonej władzy lewicy, takie jak Argentyna Kirchnerów oraz odmieniona przez Lulę da Silvę i Dilmę Rousseff Brazylia. Następnie prawica przejęła władzę w Peru, a teraz wygrała wybory w Chile. We wszystkich tych krajach historia upadku lewicy przebiegała według bardzo zbliżonego scenariusza. Rozrośnięty do granic możliwości aparat państwowy stawał się kompletnie niewydolny, mnożyły się oskarżenia o korupcję i protekcję w państwowych spółkach. Nie pomagała też coraz gorsza koniunktura na światowych rynkach, zwłaszcza w przypadku Brazylii i Chile, zależnych od bogactw naturalnych. W dodatku progresywnym rządom coraz rzadziej było po drodze z demokracją i państwem prawa, naginano ordynacje wyborcze, by jak najdłużej utrzymać się przy władzy. Cristina Kirchner chciała referendum konstytucyjnego, które pozwoliłoby jej ubiegać się o trzecią kadencję, a kiedy ta sztuczka się nie udała, próbowała namaścić na kolejnego prezydenta swojego syna, lidera partyjnej młodzieżówki.

Wreszcie, co chyba właśnie w Chile widać było najdobitniej, lewicę zżerały konflikty wewnętrzne i nieumiejętność prowadzenia spójnej polityki społecznej. Kością niezgody była tam w ostatnich latach przede wszystkim aborcja. Chile, co w Ameryce Południowej jeszcze niedawno było regułą, miało niesamowicie surowe regulacje dotyczące usuwania ciąży. Odchodzącej prezydent Michelle Bachelet udało się jednak w sierpniu przeforsować ustawę dopuszczającą aborcję w niektórych przypadkach, gdy bezpośrednio zagrożone jest życie matki. Losy ustawy do końca wisiały na włosku, i to nie tylko z powodu zaciekłego sprzeciwu prawicy. Nawet w rządzącej koalicji nie było pełnej zgody na liberalizację przepisów – część centrowych formacji wchodzących w skład Concertación obawiała się utraty bogatszych i bardziej konserwatywnych obyczajowo wyborców.

Lewica wciąż walczy głównie sama ze sobą.

MILIARDER MILIARDEROM

Piñera doskonale umiał wykorzystać słabości rywali politycznych, atakując w czasie kampanii lewicę

Prezydentura Piñery będzie ukłonem w stronę wielkiego biznesu.

za, paradoksalnie, niewystarczająco lewicowy program. Jedną z jego sztandarowych obietnic była reforma systemu emerytur i świadczeń społecznych, której przeprowadzenia progresywni liderzy – Bachelet, a wcześniej Ricardo Lagos i Patricio Aylwin – panicznie się bali. W Chile bowiem wciąż obowiązuje wiele przywilejów emerytalnych, które demokratyczne państwo odziedziczyło po dyktaturze Pinocheta. Choć osobom bezpośrednio związanym z reżimem środki te w większości zostały już odebrane, system nadal nieproporcjonalnie faworyzuje armię i służby mundurowe. Kandydat chadeków obiecał też dofinansować publiczne szkoły i uniwersytety, co od lat było jednym z głównych punktów zapalnych chilijskiej polityki. Protesty studentów w 2006 r. o mało nie doprowadziły do największego od czasów zamachu stanu w 1973 r. kryzysu politycznego, a przyszłość pierwszego rządu prezydent Bachelet zależała od prawie miliona protestujących młodych ludzi, którzy po miesiącach demonstracji poszli na ustępstwa wobec władzy.

Troska o najuboższe warstwy społeczeństwa to jednak dla Piñery tylko instrument kampanijny. Całość jego programu ekonomicznego po-

eprasa.pl 8704c09f26

kazuje bowiem jasno, że ta prezydentura będzie ukłonem w stronę wielkiego biznesu. Już w pierwszym wystąpieniu w noc wyborczego zwycięstwa zapewnił stabilne finansowanie państwowej spółki Codelco, monopolizującej wydobycie miedzi, absolutnego fundamentu chilijskiej gospodarki. Chce również obciąć podatki najbogatszym i lobbować za przyciągnięciem zagranicznego kapitału, oferując w zamian cały wachlarz ulg fiskalnych. Zagraniczni inwestorzy, przede wszystkim z Chin, mają pomóc m.in. w rozwoju infrastruktury i transportu. I tu po raz kolejny widać trend kontynentalny – podobne rozwiązania wdrożono już w Peru, gdzie chińskie firmy niemal zmonopolizowały projekty komunikacyjne i budowę sieci dróg. Dbanie o najuboższych wydaje się czysto fasadowe. Piñera wykorzystał wpadki swojej poprzedniczki i zużycie się pewnych formuł władzy w kraju.

Sebastián Piñera będzie prezydentem po raz drugi.

NA ŚCIEŻCE ARGENTYŃSKIEJ

Paradoksalnie podwójna wygrana prawicy spowodowana była także faktem, że obóz progresywny częściowo padł ofiarą własnego sukcesu. Chile bowiem – jako jeden z nielicznych krajów Ameryki Łacińskiej – konsekwentnie dążyło do zamknięcia rozdziału historii związanego z transformacją demokratyczną. Niemal rok po roku powstawały kolejne komisje i organizacje zrzeszające aktywistów, prawników i ekspertów trzeciego sektora, identyfikujące coraz więcej zbrodni reżimu Pinocheta. Nawet gdy w 1994 r. na jedną kadencję prezydentem został konserwatywny Eduardo Frei, proces rozliczania się z niedemokratyczną przeszłością nie stracił impetu. Niestety, w przeciwieństwie do studiowania grzechów przeszłości bieżąca polityka nie szła lewicy najlepiej. Udało się jej zamknąć bolesne rany po dyktaturze, ale nie przełożyło się to na popularność zwłaszcza wśród najmłodszych, urodzonych już w demokracji wyborców. Zmęczeni zabetonowanym systemem politycznym, powtarzającymi się od dwóch dekad nazwiskami, w większości zagłosowali na Piñerę – człowieka, który wprawdzie już raz był prezydentem, ale jego nazwiska próżno szukać wśród twórców posttransformacyjnego porządku w Chile. Przez wiele lat przebywał w USA, pisząc doktorat z ekonomii na Harvardzie, a przed wejściem do polityki skupiał się raczej na rozwoju swojego imperium biznesowego. Dziś jego majątek szacowany jest na ok. 1,5 mld dol., ma udziały w kilkunastu firmach, od linii lotniczych po kanały telewizyjne i gazety.

Biznesową skuteczność Piñera przeniósł do polityki, w czasie kampanii nie przebierając w środkach, zwłaszcza retorycznych. Swojego rywala w drugiej turze, senatora Alejandra Guilliera, porównywał do wenezuelskiego paradyktatora Nicolasa Madura, raz po raz rzucając pod adresem lewicy oskarżenia o populizm i marnotrawienie zysków z eksportu miedzi. Nie wahał się też szukać poparcia w środowiskach kompletnie zmarginalizowanych po przemianach demokratycznych, czyli grupach społecznych wciąż z rozrzewnieniem wspominających czasy dyktatury. Prezydent elekt ani razu nie potępił odradzającej się w Chile radykalnej prawicy, nie reagował, gdy na jego wiecach pojawiali się młodzi ludzie w koszulkach z podobizną dyktatora i cytatami nawołującymi do zabijania komunistów. Piñera zapowiada również reformę wymiaru sprawiedliwości – wielu widzi w tym ryzyko wstrzymania procesów wielu byłych funkcjonariuszy dyktatury. W znajomy, zwłaszcza dla polskiego czytelnika sposób nazywa sędziów nietykalną kastą, której zasady funkcjonowania muszą się zmienić.

Jedyną nadzieją dla lewicy jest skuteczna opozycja w parlamencie, gdzie można jeszcze blokować niektóre inicjatywy prezydenckiego bloku. Guillier już zaapelował do deputowanych, by ze wszystkich sił walczyli o zachowanie progresywnych ustaw wprowadzonych przez Michelle Bachelet, choć będzie to niezwykle trudne. Także dlatego, że lewica wciąż walczy głównie sama ze sobą. Wielu liderom wewnątrz Concertación trudno będzie się pogodzić z koniecznością zejścia na dalszy plan. Piñera z kolei z pewnością będzie spoglądał za wschodnią granicę i uczył się od kolegi po fachu w Buenos Aires. Wybrany w 2015 r. na prezydenta Argentyny były burmistrz stolicy Mauricio Macri, też miliarder, krok po kroku konsoliduje władzę w rękach tamtejszej prawicy. Wydaje się, że Chile podąży tą samą ścieżką. ■

Piñera nie reagował, gdy na jego wiecach pojawiali się ludzie w koszulkach z podobizną Pinocheta.

FOT. AFP PHOTO/MARTIN BERNETTI

eprasa.pl 8704c09f26

Remigiusz Grzela

CZASAMI KRZYCZĘ

Teresa Torańska lubiła autoryzację rozmów z politykami, bo jak na dłoni widziała, co chcieli przed nią ukryć albo gdzie konfabulowali

Zapytana w Radiu TOK FM, czy wali pięścią w stół, kiedy rozmówca chce coś wykreślić, odpowiedziała Tochmanowi: „Nie, ale czasami krzyczę".

Do legendy przeszła jej autoryzacja wywiadu z gen. Jaruzelskim. Koledzy w „Gazecie" podsłuchali, jak mówi do niego przez telefon: „Co? Dygocik, panie generale? Dygocik?".

W jej archiwum widziałem wiele kolejnych wersji wywiadu z Jaruzelskim, na każdej kolejnej nowe poprawki. Mówiła, że na siebie krzyczeli. W końcu powiedziała, żeby się nie przejmował, bo z generałami też da sobie radę.

„Ale ja muszę – słyszę wahanie. – Nic pan nie musi! Już postanowione – przerwałam. – Myślał pan tak? – Myślałem, ale… – ciągnie. To ja na niego: Niech pan będzie sobą! Co pan sobie maskę zakłada? Powiedział pan. Tak czy nie? – Powiedziałem – mówi" („Ja, My, Oni").

Maria Zmarz-Koczanowicz zapamiętała, że kiedy w 2001 r. montowały z Teresą film „Noc z generałem" w budynku dawnej Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego „Czołówka", nagle zadzwonił ktoś z gabinetu prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego, na której zlecenie produkowano film. Generał Jaruzelski przypomniał sobie, że wypowiedział się nieprzychylnie na temat Stanisława Kani, więc zadzwonił do Kwiatkowskiego, z którego ojcem się przyjaźnił, aby to z filmu usunąć. – Tereska się wściekła. Natychmiast zadzwoniła do Jaruzelskiego. Mówiła: Jak to, panie generale?! Tak to pan do mnie wydzwania, a jak ma pan uwagi, to dzwoni pan do telewizji?! W końcu wycięłyśmy to zdanie, generał zapowiedział, że przyjedzie do montażowni sprawdzić. Teresa wściekle paliła papierosy. Powtarzała: Niech mi teraz, od razu, podpisze zgodę i żadnych więcej zmian. Nie wypuszczę go, jak nie podpisze! Przyjechał w towarzystwie BOR-owca, Teresa była dla niego niemiła do końca wizyty. Było nerwowo. Chyba nawet jej obiecał, że to odkręci, że nie zgłosi zastrzeżeń. Obejrzał i zapytał BOR-owca, czy mu się podoba. Próbował rozładować sytuację. Tłumaczył Teresie: pani to zrozumie… Kiedy tak walczył o jedno słowo, zrozumiałam, że nie od parady był generałem. W rozmowach sprawiał wrażenie ciepłego wujka z kindersztubą, człowieka z towarzystwa, który nie będzie o nic walczył, wkraczając w cudze kompetencje, i nagle okazało się, że jest nieugięty. Zadzwonić do szefa telewizji w sprawie jednego skreślenia? Przecież nie był już postacią pierwszoplanową, a my robiłyśmy mały film dokumentalny. Doszło do podpisywania zgody na wykorzystanie wizerunku, w grę wchodziły jakieś pieniądze, w każdym razie generał miał podać numer konta. Powiedział, że go nie zna. – Jak to pan nie zna swojego numeru konta? – pytała. Generał odpowiedział, że nie musi, bo żona za niego wszystko załatwia. – To jak pan w ogóle żyje?! Jak pan idzie do toalety, to pan nie ma przy sobie złotówki?! – Nigdy nie noszę przy sobie pieniędzy – odpowiedział. Teresa nie wstydziła się o takie sprawy pytać, to ją naprawdę interesowało, bo pokazywało generała jako oderwanego od rzeczywistości. Jest jeszcze jedna scena, którą generał kazał wyciąć. Nakręciliśmy, jak przy wejściu BOR-owcy sprawdzali nam dowody osobiste. To przecież normalne, bo wchodziłyśmy do byłego prezydenta. Ale Jaruzelski wiedział, że jest w tym kontekst stanu wojennego. Poprosił, żeby tego nie było w filmie.

Eksplodująca dziewczyna, perła wśród osób, które znałem – wspominał Leszek Sankowski, późniejszy mąż.

Teresa powtarzała, że autoryzacja wzbogaca rozmowę o portret psychologiczny rozmówcy.

Teresa powtarzała, że lubi autoryzację, że wzbogaca rozmowę o portret psychologiczny jej rozmówcy. Traktowała ją jako ostatni akt odsłaniania się. Mówiła Tochmanowi: „Jest coś takiego jak odpowiedzialność za słowo pisane. Bo tak człowiek może sobie powiedzieć to, tamto, owo, ale jak zobaczy napisane, to przywiązuje do tego większą wagę i przypomina mu się szczegół, który pominął lub zapomniał". Mnie mówiła, że autoryzacja jest jak zdejmowanie majtek.

Mariusz Szczygieł zaprosił Teresę do prowadzenia zajęć z wywiadu w Polskiej Szkole Reportażu. Mówi, że studenci oniemieli, bo po wszystkim, co słyszeli o pracy Kapuścińskiego, Teresa mówiła, że wywiad się pisze, więc nie musi on wyglądać tak, jak w rzeczywistości: Wywiad był dla niej jak scenariusz, jakby realizowała odwróconą ideę platońską. Drukowała ideę wywiadu. Pracowała nad jego kreacją. Przestawiała fragmenty, montowała go jak

eprasa.pl 8704c09f26

film. Pamiętam, jak pisała wywiad z Jerzym Urbanem, ciągle coś nie grało. W końcu Małgosia Szejnert podsunęła pomysł, żeby zaczęła od 13 grudnia. Teresa natychmiast „przemontowała" tekst. Autoryzacja była dla niej zaakceptowaniem przez rozmówcę jej kreacji. Bo przecież on to wszystko powiedział, tylko nie w tej kolejności.

Lubiła autoryzację rozmów z politykami, bo jak na dłoni widziała, co chcieli przed nią ukryć albo gdzie konfabulowali. Powtarzała, że im mniejsza ranga partyjna czy polityczna, tym mniej poprawek przy autoryzacji.

Denerwowała się, kiedy trzykrotnie posądzono ją o brak autoryzacji, na co by sobie nigdy nie pozwoliła.

Pani Torańska stosuje metody gangsterskie – powiedział eurodeputowany Adam Bielan, były rzecznik Prawa i Sprawiedliwości, na antenie TVN 24 w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim. Utrzymywał, że publikowany w „Newsweeku" wywiad ukazał się wbrew jego woli, bez jego zgody i z pominięciem autoryzacji.

Teresa Torańska po raz pierwszy poszła do Bielana 28 września 2010 r., odbyli wielogodzinną rozmowę wokół katastrofy smoleńskiej. Teresa mówiła, że pracuje nad książką „Smoleńsk". Bielan twierdzi, że widzieli się trzykrotnie. Na dwóch spotkaniach nagrywali rozmowę.

Tekst do autoryzacji miał otrzymać półtora roku po pierwszej rozmowie. Jak utrzymywał w kolejnych wypowiedziach, nie spieszył się z autoryzacją, bo zgodnie z zapewnieniem Torańskiej książka miała się ukazać w piątą rocznicę katastrofy. Tymczasem Teresa powiadomiła Bielana, że chce opublikować wywiad w prasie, i ponaglała autoryzację. Wtedy doszło, zdaniem Bielana, do ich trzeciego spotkania, na którym miał się zdecydowanie sprzeciwić takiemu pomysłowi. Teresa twierdziła, że spotkań z Bielanem było więcej.

Tymczasem „Newsweek" zapowiedział, że publikuje tę rozmowę. Ukazała się 2 kwietnia 2012 r. z adnotacją: „Autorka przez kilka tygodni próbowała bezskutecznie autoryzować wywiad. Mimo licznych prób Teresy Torańskiej Adam Bielan unikał odpowiedzi i nigdy nie wskazał, co chciałby zmienić w tekście. Dopiero kiedy redakcja »Newsweeka« zdecydowała się na publikację wywiadu, zakwestionował cały tekst i zasypał autorkę oraz redakcję oświadczeniami zakazującymi publikacji i pismami, w których grożono nam procesami".

Adam Bielan był w tym wywiadzie dość szczery. Mówił, że prezydent Lech Kaczyński łatwo się denerwował, bywał cholerykiem. O tym, że po wyborach 2005 r. Jarosław Kaczyński przestraszył się popularności Kazimierza Marcinkiewicza. Mówił o tym, jak na polecenie prezydenta chodził z Michałem Kamińskim do Jarosława Kaczyńskiego, aby przekonać go do ratyfikacji traktatu lizbońskiego. O tym, że żaden samolot, a zwłaszcza ważnych postaci w państwie, nie powinien lądować na tak fatalnie wyposażonym lotnisku jak to w Smoleńsku. I że Jarosław Kaczyński chciał, aby jego brat i bratowa zostali pochowani na Powązkach, w grobie ojca. Pomysłodawcą pochówku na Wawelu miał być Paweł Kowal. „Z politycznego punktu widzenia był to pewnie błąd, bo gdyby nie Wawel, Jarosław – być może – wygrałby wybory prezydenckie. Decyzja o Wawelu została źle przyjęta przez znaczną część społeczeństwa i zaczęła podmywać atmosferę jedności", mówił Torańskiej.

Publikacja wywiadu wywołała burzę komentarzy, również Adama Bielana. W TVN 24 mówił, że wywiad był zmanipulowany, a Torańska popełniła przestępstwo. W TVP Info mówił: To nie jest mój wywiad. Torańska powtarzała, że wysłała wywiad do autoryzacji w styczniu, że nie odpowiadał na próby kontaktu, uznała więc, że nie ma zastrzeżeń do tekstu. Bielan powtarzał, że kiedy dowiedział się o chęci publikacji rozmowy w „Newsweeku", próbował się kontaktować z Tomaszem Lisem, naczelnym, i z Torańską, ale nie reagowali na jego sprzeciw. Mówił też, że gdyby nie miał zagwarantowanej autoryzacji, w ogóle by tego wywiadu nie dał. A także ujawniał, że podczas rozmowy Teresa Torańska

Indeks Studium Dziennikarskiego i odebrany 30 czerwca 1967 r. dyplom ukończenia studiów prawniczych. Dziennikarstwa nie skończyła.

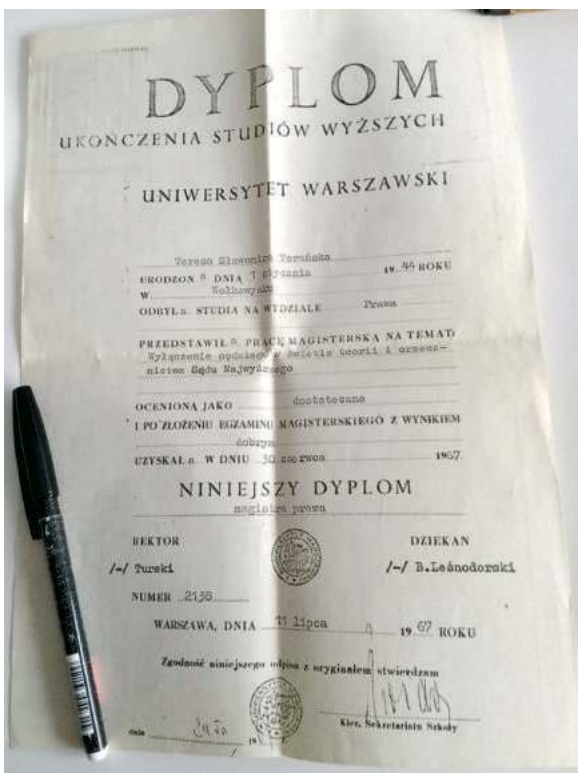
DYPLOM
UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH
UNIWERSYTET WARSZAWSKI
Teresa Elżbieta Torańska
URODZON A DNIA 7 stycznia 19 44 ROKU
W Wołkowysku
ODBYŁA STUDIA NA WYDZIALE Prawa
PRZEDSTAWIŁA PRACĘ MAGISTERSKĄ NA TEMAT
Wyłączenie opinii z świetla teorii i orzecznictwa Sądu Najwyższego
OCENIONĄ JAKO dostateczne
I PO ZŁOŻENIU EGZAMINU MAGISTERSKIEGO Z WYNIKIEM
dobrym
UZYSKAŁA W DNIU 30 czerwca 1967
NINIEJSZY DYPLOM
magistra prawa
REKTOR /-/ Turski
DZIEKAN /-/ B.Leśnodorski
NUMER 2138
WARSZAWA, DNIA 11 lipca 19 67 ROKU
Zgodność niniejszego odpisu z oryginałem stwierdzam
Kier. Sekretariatu Szkoły

eprasa.pl 8704c09f26

nie ukrywała negatywnego stosunku do Jarosława i Lecha Kaczyńskich, więc wyraźnie zastrzegł sobie prawo do autoryzacji. W końcu zagroził sądem i opublikowaniem „białej księgi korespondencji z Torańską". Ona zaś odpowiadała: „Niech mi Adam Bielan wskaże miejsce w wywiadzie nieprawdziwe, w którym naruszyłam jego dobra osobiste lub weszłam w jego prywatność. Dziennikarz jest od tego, żeby przedstawiać ludziom poglądy polityka. Takie jakie są. To jest zadanie dziennikarza".

Była już ciężko chora, kiedy rozpętała się ta afera.

Jarosław Kaczyński powiedział w Onet.pl: Mam własne zdanie na temat dziennikarstwa pani Torańskiej. Wykorzystała wywiad ze mną do książki „My" bez mojej zgody i autoryzacji. Spędziliśmy kilka godzin na autoryzacji i ja jej do późnej nocy tłumaczyłem, jak ta autoryzacja powinna wyglądać, a ona dała tekst, który sama napisała. Mój wywiad z Torańską był wariacjami na temat tego, co powiedziałem jej prywatnie. Gdyby Torańska opublikowała wywiad zgodnie z moją autoryzacją, to miałby on bardzo mało wspólnego z tym, co można przeczytać w książce „My".

Jarosław Kaczyński zapomniał, że całą autoryzację wywiadu nagrała na taśmę. Jest tam wszystko – propozycje zmian, skreśleń, uzupełnień. Słuchałem tej taśmy. Miałem poczucie, że Teresa Torańska jest bardzo przychylna i godzi się na większość zmian. Fragment autoryzacji zachował się też w filmie Marii Zmarz-Koczanowicz o Teresie „My, Oni – Ja", który z dziwnych powodów zaginął w archiwach telewizyjnych. Nie zachowały się nawet materiały wyjściowe.

Teresa napisała do Jarosława Kaczyńskiego list:

Panie Prezesie Kaczyński – mamy problem!

(…) Zgadzam się, że gdyby przeprowadzał Pan wywiad sam z sobą, to byłby to inny wywiad i Torańska byłaby niepotrzebna. Wystarczyłby Piotr Zaremba.

I tu, Panie Prezesie, mamy pierwszy problem. Bo Pan tego wywiadu mi udzielił, dobrowolnie, bez przymusu i chętnie Pan ze mną rozmawiał, choć brat Leszek żartował: „uważaj, ona cię przerobi". Nie wiem, kiedy nasza rozmowa przestała się Panu podobać, stała się dla Pana wariacją tego, co powiedział prywatnie, i uznał Pan, że należy się jej wyprzeć.

I tu, Panie Prezesie, mamy drugi problem. Wyprzeć się będzie trudno. Zachowałam nagrania z naszej rozmowy, zachował się także wywiad przed i po autoryzacji.

Jedyne, co nie wzbudziło mojego sprzeciwu w Pana wypowiedzi, jest to, że rzeczywiście pracowaliśmy nad autoryzacją długo, do późnych godzin nocnych. I z sukcesem ją przeprowadziliśmy, skoro wywiad ukazał się w wydaniu książkowym, a Pan – dodatkowo – stał się dobrowolnie współbohaterem filmu „My, Oni – Ja" zrealizowanego przez reżyser Marię Zmarz-Koczanowicz i operatora Jacka Petryckiego. Film był kręcony częściowo przed, a częściowo po promocji książki „My" w 1994 r. Są w nim rozczulające sceny, jak Pan razem ze mną mozolnie wybiera zdjęcia do książki.

I tu, Panie Prezesie, mamy trzeci problem. Ze źródeł zbliżonych do Telewizji Polskiej doniesiono mi, że dokument ten zachował się w archiwach TVP. Nie będę nalegać, aby film ten TVP ponownie pokazała, ale nie mogę też Panu zagwarantować, że nie wycieknie on poza TVP. Bo jak Pan wielokrotnie mówił, w Polsce wszystko wycieka – nie tylko z TVP.

Wiem, że Pana miłosierdzie jest wielkie. Dlatego nie zdziwiło mnie, że wybaczył Pan T. Rydzykowi. „…nawet jeśli w przeszłości ojciec dyrektor mówił rzeczy, które łagodnie mówiąc, nie cieszyły. (…) Ojciec Rydzyk czas próby przeszedł pomyślnie". Proszę więc, aby na podobnej zasadzie wybaczył Pan Adamowi Bielanowi „nieostrożne" rozmowy ze mną, tak jak i ja wybaczam Panu wszystkie nieprawdziwe słowa, które wypowiedział Pan pod moim adresem. Tłumaczę to sobie Pana intelektualną potrzebą ciągłej reinterpretacji przeszłości wedle orwellowskiej zasady „Kto rządzi przeszłością, w tego rękach jest przyszłość".

Serdecznie Pana pozdrawiam.
Teresa Torańska

Ps. Pragnę Cię, Jarku, pardon, Panie Prezesie (ja też dokonałam reinterpretacji przeszłości) poinformować, że książka „My" wyszła w wersji e-booka i robi furorę w sieci. Jest dostępna pod adresem www.toranska.com. Jako jednemu z bohaterów książki przysługuje Panu darmowy „egzemplarz". Odpowiednie kody dostępu prześlę wkrótce na Pana adres.

Rozmawiałem o tym z Teresą we wrześniu 2012 r.

– Chyba po raz pierwszy ktoś chciał cię pozwać?

– Tak, nigdy wcześniej nikt mnie nie pozwał. Wiesz, nie pozwolę siebie tak traktować, uraziło mnie to, jak się wobec mnie zachował.

Mówiła, że autoryzacja jest jak zdejmowanie majtek.

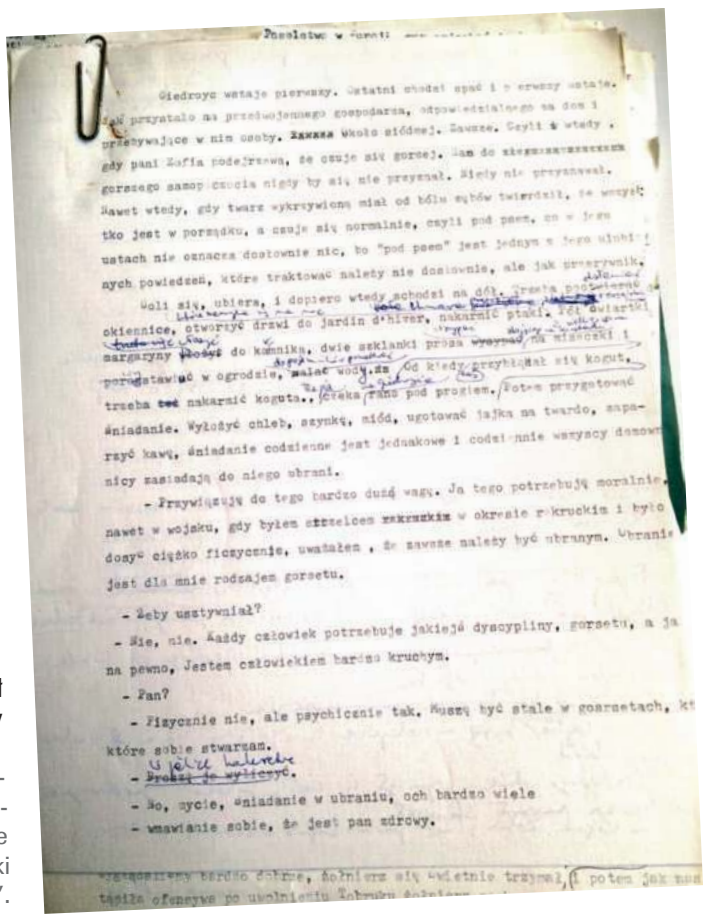
Giedroyc wstaje pierwszy. Ostatni schodzi spać i z reguły ustaje. Nawyk przystało na przedwojennego gospodarza, odpowiedzialnego za dom i przebywające w nim osoby. Zawsze wkoło siódmej. Zawsze. Czyli o wtedy, gdy pani Zofia podejrzewa, że czuje się gorzej. Sam do [illegible] gorszego samopoczucia nigdy by się nie przyznał. Kiedy nie przyznawał. Nawet wtedy, gdy twarz wykrzywioną miał od bólu zębów twierdził, że wszystko jest w porządku, a czuje się normalnie, czyli pod psem, co w jego ustach nie oznacza dosłownie nic, bo "pod psem" jest jednym z jego ulubionych powiedzeń, które traktować należy nie dosłownie, ale jak przerywnik.

Woli się, ubiera, i dopiero wtedy schodzi na dół. Zresztą [illegible] okiennice, otworzyć drzwi do jardin d'hiver, nakarmić ptaki, [illegible] margaryny do kominka, dwie szklanki prosto [illegible] porządkować w ogrodzie, [illegible] od kiedy przybłąkał się kogut, trzeba też nakarmić koguta. [illegible] rano pod prysznic. Potem przygotować śniadanie. Wyłożyć chleb, szynkę, miód, ugotować jajka na twardo, zaparzyć kawę, śniadanie codzienne jest jednakowe i codziennie wszyscy domownicy zasiadają do niego ubrani.

- Przywiązują do tego bardzo dużą wagę. Ja tego potrzebuję moralnie, nawet w wojsku, gdy byłem strzelcem w okresie pokruckim i było dosyć ciężko fizycznie, uważałem, że zawsze należy być ubranym. Ubranie jest dla mnie rodzajem gorsetu.

- Żeby usztywniał?

- Nie, nie. Każdy człowiek potrzebuje jakiejś dyscypliny, gorsetu, a ja na pewno. Jestem człowiekiem bardzo kruchym.

- Pan?

- Fizycznie nie, ale psychicznie tak. Muszę być stale w gorsetach, które sobie stworzam.

- [illegible]

- No, życie, śniadanie w ubraniu, och bardzo wiele

- wmawianie sobie, że jest pan zdrowy.

„Giedroyc wstaje pierwszy...". Notatki do nienapisanej, choć sumiennie opracowanej książki o paryskiej „Kulturze".

eprasa.pl 8704c09f26

– Nazwał twoje metody pracy gangsterskimi.

– To już mnie zabolało. Grałam z nim w otwarte karty. Chyba nie myślisz, że nie powiedziałam mu, gdzie chcę tę rozmowę z nim wydrukować To śmieszne. Po co miałabym ukrywać, gdzie ją wydrukuje? Jeżeli cokolwiek ukryłam, to fakt, że nikt go nie chciał w „Gazecie Wyborczej". Uważałam, że nie wolno się zachowywać tak jak on – od razu zaczął mnie straszyć prokuratorem.

– Julia Mincowa z „Onych" tylko pieskiem cię straszyła.

– Poszczuła mnie Dinką. Wszystkie psy tak nazywała.

– Krótko po Bielanie odezwał się Jarosław Kaczyński, też chciał cię pozwać za rzekomy brak autoryzacji.

– Nie pozwał. Zwłaszcza że ujawnione zostało nagranie filmowe, na którym razem wybieramy zdjęcia do tego wywiadu. Więc za co miał mnie pozywać? Za to, że autoryzował? A Bielan gdzieś przepadł. Przecież Bielanowi zależało na tym tekście, chciał i bał się równocześnie. Bał się oczywiście Kaczyńskiego, bo widocznie uznał, że za dużo powiedział. Po prostu wpadł w panikę.

– Zaskoczył mnie brak reakcji środowiska dziennikarskiego.

– W ogóle mnie to nie zaskoczyło. Jestem singlem, gram na siebie, a jeżeli pracuję na siebie, to nie oczekuję niczyjego wsparcia. Reakcje były, Helsińska Fundacja Praw Człowieka zadeklarowała pomoc, gdyby doszło do procesu. Mejle przychodziły bez przerwy.

– Jak jest z etyką dziennikarską?

– Dziennikarstwo stało się byle jakie, więc i etyka jest naciągana. Celem tego dziennikarstwa jest sprzedanie się. Dziennikarze zostali pozbawieni pamięci. Mówię ci, dziennikarze nie mają pamięci. Poza tym zaczynam wątpić w prasę drukowaną. Woda się leje z tekstów. Spróbuj wycisnąć jakikolwiek tekst z gazety codziennej przez sitko. Jakieś drobiazgi na nim zostaną. Resztki po faktach, po informacjach. Wodolejstwo. Byle oddalić robotę i sprzedać. Już się najwidoczniej popracować nie chce („Wolne").

Anna Sobór-Świderska, autorka książki „Jakub Berman. Biografia komunisty", wydanej przez IPN, i córka Bermana, Lucyna Tychowa, zarzucały Teresie publikację nieautoryzowanego wywiadu, ponieważ Teresa zakończyła go informacją, że Jakub Berman umarł podczas autoryzacji rozmowy.

Jerozolima. Ostatnie wakacje, z których Teresa Torańska wróciła wprost do szpitala.

Jednak w archiwum Teresy znalazłem maszynopis rozmowy z odręcznymi zmianami Bermana. Nie można uznać, że wywiad w ogóle autoryzowany nie był. Berman na pewno znał znaczną część jego treści.

Tuż po publikacji „Onych" mówiła Torańska w londyńskim kwartalniku „Puls" (zima 1985/86), że Berman zaczął mówić serio, dopiero kiedy dała mu do lektury sporządzony na podstawie wcześniejszych rozmów, fragmentaryczny tekst. – Miał charakter luźny, niezobowiązujący. Tego było ponad 100 stron. Dopiero od tego momentu zaczęła się rozmowa na ostro. I od tej pory dawałam mu do autoryzacji dłuższe fragmenty z rozmów poprzednich. Ostatnich już nie zdążyłam, bo umarł.

Lucyna Tychowa w książce „Tak, jestem córką Jakuba Bermana" mówiła: „A gdyby rzeczywiście były mu zadawane takie pytania – toby skończył rozmowę, wywiadu by nie było. I to nie jest tylko moje zdanie – pani Sobór-Świderska ma podobne wątpliwości".

Teresa przeczytała książkę Sobór-Świderskiej i pod koniec lipca 2010 r. napisała do niej długi list, protestując przeciwko postawionym supozycjom. Uznała, że godzą w jej uczciwość i dziennikarską wiarygodność. Tłumaczyła, że starała się weryfikować każdą informację, zarówno w rozmowach z innymi uczestnikami opowiadanych przez Bermana zdarzeń, jak i w archiwach, a wówczas, w połowie lat 80., nie mając dziennikarskich uprawnień, bo przecież odmówiła zawodowej weryfikacji, nie miała dostępu ani do archiwum historii partii, ani archiwów zagra-

Bielanowi zależało na tym wywiadzie, chciał i bał się równocześnie. Bał się oczywiście Kaczyńskiego.

eprasa.pl 8704c09f26

nicznych. Przypomniała, że nie istniał Instytut Pamięci Narodowej, więc nie mogła mieć dostępu do zbiorów z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Sobór-Świderska w swojej książce z 2009 r. zaleca szczególną ostrożność w czytaniu wywiadu z Bermanem, bo „zmarł w trakcie autoryzacji", a „w kilku miejscach można odnieść wrażenie, że autorka postawiła pytania *post factum*". Torańska pyta więc, czy istnieją na to jakieś dowody i czemu miałoby to służyć.

Sobór-Świderska sugeruje też, że Torańska korzystała z relacji Bermana przechowywanej w Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Bo i ona, i wywiad są dość podobne, co podważa jego wiarygodność.

Materiały do wywiadów i książek.

Torańska prosi o udowodnienie postawionych zarzutów albo sprostowanie.

Anna Sobór-Świderska odpowiedziała trzy miesiące później grzecznym listem, uznając za swój błąd brak dowodu na stawiane zarzuty. Nie chciała podważać uczciwości czy zawodowej wiarygodności Torańskiej. Zaproponowała dokonanie zmian w kolejnym wydaniu książki, dziękując równocześnie za wskazanie nieścisłości, nieadekwatnego słownictwa i nieudokumentowanie zarzutów. Na tym ich spór się zakończył.

Roman Werfel autoryzował wywiad siedmiokrotnie, bo nie był pewny, co nie spodoba się cenzurze, a co dawnym kolegom. – Na siódme spotkanie w sprawie autoryzacji przyniosłam wersję pierwszą. Nie miał uwag.

Kontrowersje były również wokół rozmowy ze Stefanem Staszewskim, którego Teresa Torańska nazywała rozmówcą idealnym. Po publikacji książki „Oni" przez podziemny Przedświt Staszewski napisał do wydawnictwa, że zamieszczony wywiad nie był przez niego autoryzowany, a jego odpowiedzi są częściowo prawdziwe, częściowo zniekształcone lub zmyślone, podobnie jak pytania, które w czasie rozmowy nie padły. Informował, że nie został powiadomiony o publikacji rozmowy w książce. Protest Staszewskiego dotarł do Teresy, będącej wówczas w Paryżu, i jeszcze w listopadzie 1985, czyli tuż po jego liście do Przedświtu, napisała, że przecież miesiącami ponaglała o autoryzację i że uwzględniła przekazane jej ustnie poprawki. Dodała też, że sprawa zmian jest otwarta, i prosi, by Staszewski, jeśli nadal ma jakieś uwagi, przesłał lub przekazał je jej siostrze w Warszawie (podała jej numer telefonu). Staszewski w tym czasie zaczął kontaktować się z zagranicznymi dziennikarzami. Zachował się list belgijskiej dziennikarki do Jerzego Giedroycia, w którym informuje o stanowisku Staszewskiego i załącza jego oświadczenie. Giedroyc lojalnie przesyła całą korespondencję Torańskiej, dodając, że nie zamierza jej publikować. W swoim oświadczeniu, tłumaczonym na francuski, Staszewski powtarza zarzut, jaki przesłał wydawnictwu Przedświt, zaznacza, że Torańska rozmawiała z nim przez wiele miesięcy, nagrywając to na taśmę magnetofonową, a potem przyniosła mu 90 stron tekstu, który w całości odrzucił, kategorycznie zabraniając publikacji. Ponieważ nie podobała mu się całość, nie zamierzał tego ani autoryzować, ani redagować. Tłumaczy, że nigdy nie został poinformowany o planach publikacji w książce ani o jej pozostałych rozmówcach. Dodaje, że „starała się przyprawić mu gębę". Jego list ukazał się w biuletynie „Komunikat".

Staszewski napisał też do Torańskiej, że uznał za żart jej zdanie, jak dodał, „horrendalne", jakoby była właścicielką tego tekstu. Zgodnie jednak z prawem prasowym dziennikarz jest właścicielem tekstu, również wywiadu.

Torańska tłumaczyła to zimą 1985/1986 w londyńskim kwartalniku „Puls": Nie mogłam zmusić go, by usiadł i popracował. Było tego prawie 100 stron i wymagało pracy co najmniej na tydzień. Więc mnie zwodził, przekładał terminy, odkładał na potem. Raz przyniosłam mu tekst – zabrano mu podczas rewizji. Dostarczyłam kopię i znowu upłynęło kilka miesięcy. Raz mówił, że przysiądzie po świętach, innym razem, że właśnie wyjeżdża na wczasy i tam będzie pracował itd. Czułam, że coś kręci, więc dlatego kopię wywiadu zaniosłam mu ze swoim przyjacielem, żeby mieć świadka. Muszę jednak dodać, że jego opory dotyczyły tylko wyrażenia swoich opinii na piśmie, bo rozmawiał dalej ze mną chętnie, dogrywając swoje uzupełnienia na magnetofon. Oburzył się dopiero wtedy, gdy ukazał się tekst w druku, nakładem Przedświtu. Słowem, prowadził złożoną grę, której sensu nie mam zamiaru dociekać.

Jarosław Kaczyński zapomniał, że całą autoryzację wywiadu nagrała na taśmę. Jest tam wszystko – propozycje zmian, skreśleń, uzupełnień.

Rozdział z książki Remigiusza Grzeli *Podwójne życie reporterki. Fallaci. Torańska.* Prószyński i S-ka, Warszawa 2017

eprasa.pl 8704c09f26

Oko w oko

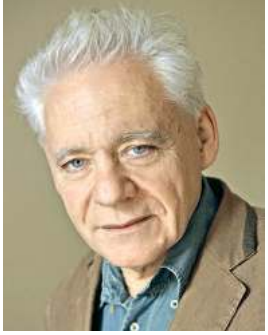

Tomasz Jastrun

ZATRUTE KALORIE

Macki PiS sięgają już wszędzie, dobierają się nawet do poezji. Miałem w przyszłym roku opublikować tomik wierszy w wydawnictwie A5, które specjalizuje się w poezji i ma świetną renomę. Prowadzą je Krystyna i Ryszard Kryniccy, on sam jest poetą. Dostawali do tej pory zawsze dotacje z Ministerstwa Kultury, bo poezja jest niedochodowa. Skończyło się. A5 publikuje poezję za mało patriotyczną. Nie będzie dotacji. Właściciele wydawnictwa myślą nawet o zamknięciu firmy. Wcześniej nie dostałem dotacji z ministerstwa na książkę o domu pisarzy na warszawskiej Iwickiej. A to ogrom pracy i materiałów. Dostała ją za to choćby Magdalena Ogórek na swoją książkę naukową. Ta „znana pisarka" sprzedaje teraz prawicy swoją brzydką duszę oprawioną w ładne ciało, co – jak widać – się opłaca. Ruszył w Polsce wielki proces demoralizacji, prostytucja duchowa na wielką skalę. A wydawało się, że koniec PRL zamknął ten rozdział.

•

Mój dziadek, oficer zawodowy, wcześniej legionista i bohater wojny roku 1920, zginął w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r. Jaka szkoda, że nie mogłem z nim pogadać, zanim wyruszył na swój ostatni front. Coraz bardziej interesuje mnie stan polskiej duszy przed 1939 r., bo to jeden z kluczy do obecnej sytuacji. Czytam więc teraz wiele o okresie międzywojennym. Idealizowaliśmy w czasach Polski Ludowej te lata, obrzydzane nam przez ówczesną politykę historyczną, robiliśmy to na przekór propagandzie. Co z tego, że Piłsudski miał klasę i niezwykłą osobowość, jeśli psuł demokrację. Był też zamach majowy – jak ktoś powiedział, „napad bandytów na dom wariatów". Trwała więc wtedy nie tylko zimna wojna domowa między endecją i piłsudczykami. Nacjonalizm potem propagowała na wielką skalę sama sanacja, bez Piłsudskiego pozbawiona wędzidła. „Silni, zwarci, gotowi" – to hasło propaganda II RP powtarzała bezustannie. Doświadczenia września 1939 r. pozwoliły hasło rozwinąć w kpinę: rządzący byli „silni" w gębie, „zwarci" przy pijaństwie i „gotowi" do ucieczki za granicę. W ówczesnej Polsce było 5 mln Ukraińców, 3 mln Żydów, 1 mln mniejszości niemieckiej, setki tysięcy Białorusinów. Dawna Rzeczpospolita wielu narodów istniała dzięki tolerancji, inaczej by się rozpadła. Brutalna polityka II Rzeczypospolitej wobec mniejszości zaprzeczała tolerancji i wiodła do katastrofy. Wojna zapewne uratowała Polskę przed rodzimym faszyzmem, który musiałby doprowadzić do wewnętrznej katastrofy.

•

Na pewno duża jest rola pańszczyzny w tym, co się teraz dzieje w Polsce. Ludzie z zachodniej Europy, którzy przybywali do Polski w wieku XVII i XVIII, byli w szoku, jak straszna jest sytuacja polskich chłopów. Nieszczęsnym, upokarzanym przez wieki gniła dusza. Tego nie leczy się szybko, to jest na pokolenia. To, co się teraz dzieje, to też jest zemsta ludu na panach, tę rolę odgrywa teraz zastępczo inteligencja. Obcy, kiedyś Żydzi, to teraz uchodźcy.

Rozmawiam długo z Wojtkiem Eichelbergerem – bliski mi człowiek, świetny psycholog i psychoterapeuta. Zgadzamy się w 100% – to, co się teraz dzieje w Polsce, a też w Stanach, to zemsta upokorzonych. W Polsce to upokorzenie ma wiele warstw, pracowały na nie wieki. Ja mówię o tym na podstawie skrawków wiedzy i intuicji, on codziennie zwiedza polskie dusze. Jeśli z rzadka trafia na propisowskiego inteligenta, zwykle okazuje się, że był upokarzany w dzieciństwie. Cytuję Wojtkowi słowa francuskiego eseisty o dawnej Polsce: „Narody niekochane przez historię są jak dzieci niekochane przez rodziców".

To, co się dzieje teraz w Polsce, to zemsta upokorzonych.

•

Nawet jeśli PiS kiedyś przegra, zostanie zgorzkniała armia jego wyznawców. To będzie ropiejący wrzód. Nie mam więc wątpliwości, że nie zdążę już żyć w kraju wolnym od zimnej wojny domowej, w którym namiętności i nienawiści nie będą dzielić rodzin.

Wigilia u ojca żony, który nawrócił się na religię smoleńską. Zawsze zastanawiam się, co robić, by nie doszło do konfliktu, on ledwie żyje, ledwie słyszy, a reaguje niezwykłą agresją na krytykę „dobrej zmiany".

Świat PiS jest dobrze zorganizowany i spójny. Jak instytucja wojskowa. Celnie dobrany jest język, który gra na emocjach. Tamci złodzieje, malwersanci, niszczyli Polskę, wyprzedawali Zachodowi, który nas traktuje instrumentalnie, a sam gnije moralnie. To jest wspólnota wiary i emocji. Tych ludzi już nie trzeba przekonywać, trzeba im tylko dostarczać kalorycznego pożywienia. Media publiczne produkują więc niezliczoną ilość kłamliwej paszy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8704c09f26

TEN MOSKAL MIKOŁAJCZYK

Wyjazd byłego premiera do kraju został uznany przez większość polskiego Londynu za akt zdrady

Krzysztof Wasilewski

Zdrajca – tak powszechnie nazywali Stanisława Mikołajczyka jego niedawni koledzy ze środowiska Polaków w Londynie. Przystępując do rozmów ze Stalinem, były premier emigracyjnego rządu miał nadzieję na wywalczenie dla Polski większej niezależności. Chociaż pod tym względem przegrał, zdołał uchronić kraj przed kolejnym zbrojnym powstaniem i zagładą całego narodu.

Kiedy 16 czerwca 1945 r. Mikołajczyk wyruszał z Londynu do Moskwy, aby tam rozpocząć rozmowy o powołaniu wspólnego rządu z PPR, żegnały go obelgi i oskarżenia o zdradę. Kremlowski pątnik, kawaler jałtański, Mikołaj Mikołajewicz, Moskal – to tylko niektóre określenia, jakimi epatowała emigracyjna prasa. Większość polskiego Londynu stała bowiem na stanowisku wyrażonym przez premiera Tomasza Arciszewskiego, że „utworzenie legalnego, niezależnego rządu jedności narodowej, opartego o swobodną wolę ludności jest praktycznie niemożliwe". Należało zatem się skupić na działalności politycznej na emigracji i cierpliwie czekać na zmiany. „Nie ulegać!", apelowano.

Mikołajczyk w dużej mierze wpłynął na uspokojenie nastrojów w kraju.

Z pytaniem: wracać czy pozostać, musiała się zmierzyć cała elita emigracyjna. Żadna jednak odpowiedź nie dawała stuprocentowej pewności powodzenia. Jednym z nielicznych, którzy zdawali sobie z tego sprawę, był Mikołajczyk. Z pewnością nie był ślepym i głuchym na to, co działo się w kraju. W jego przekonaniu gra toczyła się już nie o demokrację, lecz o wywalczenie jak największych swobód obywatelskich oraz umocowanie Polski na arenie międzynarodowej. Inaczej niż jego koledzy z emigracyjnych władz Mikołajczyk dowodził, że

okres heroicznych czynów i pięknych deklaracji skończył się wraz z klęską powstania warszawskiego. Nastał natomiast czas pracy organicznej, którą należało prowadzić w realnie istniejących warunkach.

Były premier nie miał złudzeń co do prowadzonej przez Stalina polityki. Według Romana Buczka Mikołajczyk „nabrał przekonania, że Stalin wprawdzie nie udzieli Polsce zupełnej niepodległości i niezależności, ale pozostawi państwu polskiemu pewien zakres swobody działania i że zarówno ostateczne formy ustroju (…) nie będą ścisłym odbiciem wzorów sowieckich (...)".

CZTERY PUNKTY

Ważną rolę w podjęciu przez Mikołajczyka decyzji o rozpoczęciu rozmów odegrały meldunki z kraju. Konspiracyjna Delegatura Rządu na Kraj coraz częściej alarmowała, że polskie społeczeństwo jest zdezorientowane, a przez to podatne na różnego rodzaju skrajności. „Nie możemy opanować żywiołowego ruchu do lasu. Przyczyna: z jednej strony masowe aresztowania i pobór do wojska, z drugiej – mistyczna wiara ludności, że przeżywany okres jest przejściowy i że wkrótce będzie Polska prawdziwie niepodległa", informowano władze emigracyjne pod koniec kwietnia 1945 r. Kilka dni przed wyjazdem Mikołajczyka do Moskwy ostrzegano zaś: „Jeżeli nie przyjdzie wojna lub rozwiązanie polityczne (kompromis), będzie na jesieni wielka tragedia".

Jeszcze wcześniej, bo w lutym 1945 r., przedstawiciele Rządu Jedności Narodowej – organu krajowego – uznali za konieczne zaakceptowanie postanowień jałtańskich.

Zdaniem jednego z działaczy ludowych, Kazimierza Nadobnika, program Mikołajczyka, z którym ten wracał do kraju, można było zawrzeć w czterech punktach. Po pierwsze, należało zachować biologiczną egzystencję narodu. Po drugie, trzeba było próbować wywalczyć tyle niepodległości i niezależności, ile było to w powojennych warunkach możliwe. Po trzecie, należało działać na rzecz podniesienia stopy życiowej społeczeństwa. Po czwarte zaś, priorytetem było skonsolidowanie ruchu ludowego jako głównego gwaranta demokracji.

Innemu współpracownikowi, Tadeuszowi Nowakowi, Mikołajczyk powiedział: „Przyjechałem do kraju, bo to tylko w kraju można jeszcze zrobić coś pożytecznego dla Polski. Chcę wam powiedzieć, żebyście nie liczyli, że będzie wkrótce następna

CELE MIKOŁAJCZYKA:

- **zachować biologiczną egzystencję narodu,**
- **próbować wywalczyć tyle niepodległości i niezależności, ile było możliwe,**
- **działać na rzecz podniesienia stopy życiowej społeczeństwa,**
- **skonsolidować ruch ludowy jako głównego gwaranta demokracji.**

eprasa.pl 8704c09f26

wojna, że Anglicy i Amerykanie będą bić się o sprawy Polski ze Związkiem Radzieckim. (…) Wytworzona sytuacja trwać będzie długo. Naród polski musi istnieć i żyć. Trzeba skończyć z permanentnie trwającą rewolucją".

Tymczasem – poza nielicznymi wyjątkami – polski rząd na uchodźstwie pozostawał głuchy na płynące z kraju ostrzeżenia. Co gorsza, można było odnieść wrażenie, że III wojna światowa stanowiła jeden z celów strategicznych władz emigracyjnych. Wspominając demobilizację polskich oddziałów w Wielkiej Brytanii, ówczesny kierownik emigracyjnego Ministerstwa Obrony Narodowej gen. Marian Kukiel mówił: „Polityka względem wojska była dwoista – tu przygotowywaliśmy się na ewentualność pokoju – natomiast gen. Anders z pełną wiarą twierdził, że będzie wojna, i przygotowywał swój korpus do niej tak, że nawet nie myślano o szkoleniu do zawodów cywilnych".

Nie tylko wojskowi, lecz także rząd na uchodźstwie i większość emigracyjnej elity coraz wyraźniej tracili poczucie rzeczywistości. Jeszcze w 1947 r., w ankiecie rozpisanej przez emigracyjny tygodnik „Lwów i Wilno", aż 96% respondentów przewidywało nieuchronność wybuchu globalnego konfliktu. „W środowisku polskim były powszechne złudzenia, że jesteśmy w przededniu III wojny światowej. Dlatego nikt nie planował działalności na długą metę", wspominał Jerzy Giedroyc.

MIKOŁAJ MIKOŁAJEWICZ

Wiara w rychłe i cudowne wyzwolenie Polski nie opuszczała emigracyjnych władz przez długi czas po 1945 r. Nic zatem dziwnego, że wyjazd Mikołajczyka do kraju został uznany przez większość polskiego Londynu za akt zdrady, przekreślający dotychczasowe dokonania byłego premiera i szefa ludowców. Tak zdecydowana reakcja władz emigracyjnych wynikała po części również z obawy o ich przyszłość, o możliwość działania po cofnięciu uznania przez mocarstwa zachodnie. Była więc też pochodną urażonych ambicji.

Stanisław Cat-Mackiewicz w tekście przewrotnie zatytułowanym „Mikołaj, Mikołaj Mikołajewicz, Mikołajczyk" niedwuznacznie oskarżał go o agenturalność i sprzyjanie obcym mocarstwom. „Naiwność p. Mikołajczyka byłaby śmieszna i rozbrajająca – pisał – gdyby nie to, że powoduje dla Polski katastrofę za katastrofą. (…) Nie rozumie, że Sowiety dzielą dziś ludzi działających w kwestii polskiej na agentów własnych i na ludzi innych, których przeważnie zresztą uważają za agentów anglo-amerykańskich lub zgoła angielskich. Agentów własnych obronią, agentów w ich mniemaniu angielskich, a więc przede wszystkim p. Mikołajczyka – nie dopuszczą. Projekt p. Mikołajczyka jest płodem urodzonym w stanie martwym. Życie w niego nigdy nie wstąpi".

Powitanie premiera Mikołajczyka (w środku) po powrocie z ZSRR.

Podobnie na łamach „Wiadomości" Wacław Zbyszewski atakował Mikołajczyka za „kapitulację", a w konsekwencji kontynuację „najgorszych tradycji targowickich". Jeszcze dosadniej wyrażał się sam redaktor Mieczysław Grydzewski: „Dossier p. Mikołajczyka zawiera takie bagatelki, jak podpisanie rozbioru własnego kraju, ugoda z sowiecką agenturą, przejście do porządku nad losem władz Polski podziemnej, przymusowe przesiedlenie Polaków z ziem zagrabionych przez Rosję, odebranie obywatelstwa polskiego najzasłużeńszym dla sprawy polskiej ludziom...".

Mikołajczyk był więc oskarżany o wszystkie nieszczęścia Polski, których wszak nie sprowokował, przeciwnie, chciał je załagodzić. Latem 1945 r. związany przed wojną z sanacją Ignacy Matuszewski pisał: „Nie ze zdradą jednak w łonie narodu mamy dziś do czynienia – tylko z lichym zdrajcą, z grupką nic nieznaczących podłych ludzi. Pan Mikołajczyk i jego towarzysze – [Jan] Stańczyk, [Karol] Popiel, Drohojowscy – to nie żaden prąd w narodzie polskim. To nie kierunek polityczny – to zwykła nikczemność. To nie zdrada. To zdrajca".

Podległa mu prasa krytykowała zbrojne podziemie i wzywała do wyjścia z lasu.

Władze emigracyjne starały się zachować pozory, przekonując, że poparcie, jakim cieszył się w Polsce Mikołajczyk, wynikało z nieporozumienia. W jednej z analiz rządowych argumentowano: „Społeczeństwo polskie (…) nie orientując się w zmienionej sytuacji politycznej, wnioskowało, że p. Mikołajczyk posiada określone gwarancje oraz podany sposób dojścia Polski do niepodległości, a swój minimalny program, nieobejmujący pełnej niepodległości państwa, zgłasza tylko

eprasa.pl 8704c09f26

z jakichś względów taktycznych. Tym tłumaczy się entuzjazm, z jakim go w kraju witano".

PRZECIWKO AKCJI ZBROJNEJ

Trudno spekulować, czy misja Mikołajczyka mogła się powieść. Zdaniem Eugeniusza Guza w 1944 r. i w pierwszych miesiącach 1945 r. istniała realna szansa na niekomunistyczne rządy w Polsce, której jednakże polski Londyn nie wykorzystał. Sam Mikołajczyk nie do końca potrafił zdefiniować swoją rolę w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej, przeceniając swoją pozycję i wsparcie zachodnich sojuszników. Jeszcze w 1946 r. podczas kongresu partii przekonywał, że PSL „nie jest stronnictwem klasowym, na barkach swoich od dawna niesie współodpowiedzialność za losy państwa".

Niewątpliwie Mikołajczyk w dużej mierze wpłynął na uspokojenie nastrojów w kraju. Obawa przed wybuchem kolejnego powstania, tym razem antyradzieckiego, była jednym z czynników, które zaważyły na jego decyzji o powrocie. Będąc w rządzie, starał się pokazać, że nastał czas odbudowy kraju, bez względu na rzeczywistość społeczno-polityczną. Nie przez przypadek podległa mu prasa krytykowała zbrojne podziemie i wzywała do wyjścia z lasu. „Chłopski Sztandar" pisał o oddziałach „żołnierzy wyklętych" jako „chorobliwej mieszaninie napuszonej frazeologii oraz jakże często zwyczajnego bandytyzmu". Działalność podziemia uważano za „wybitnie szkodliwą zarówno w założeniach, jak i celach. Jest to pasożytnicza, chorobliwa narośl, która czerpie soki z żywego organizmu społeczeństwa, przynosząc temu organizmowi straszliwe szkody, niedające się często naprawić".

Po klęsce PSL w sfałszowanych wyborach parlamentarnych z 19 stycznia 1947 r. los jego prezesa był już przesądzony. Emigracja triumfowała. Negatywne komentarze, wyzwiska czy obelgi, którymi obrzucono Mikołajczyka po jego wyjeździe do kraju, można było z czystym sumieniem przywołać, powtarzając przy tym: „przecież ostrzegaliśmy". W jednym z artykułów Cat-Mackiewicz pisał: „Czyż nie było jasne od początku, że jeśli reżim idzie na próbę sił, to nie po to, aby ją przegrać? Pan Mikołajczyk – powiadają jego zwolennicy – chciał policzyć swe siły. – Nie rozumiem! Czyż można ważyć cokolwiek na fałszywej wadze?".

Jednak nadzieje londyńskiego rządu, że ucieczka Mikołajczyka z kraju skłoni mocarstwa zachodnie do zmiany polityki, szybko upadły. Kiedy 26 listopada 1947 r. wraz z Kazimierzem Bagińskim i Stefanem Korbońskim wylądował w Waszyngtonie, został powitany przez gospodarzy z najwyższymi honorami. Pośpiesznie zwołana konferencja prasowa zgromadziła ponad 50 dziennikarzy. Mało tego. Podczas bankietu, na którym byli obecni prezydent Harry Truman i większość jego gabinetu, zgotowano Mikołajczykowi owację.

Stanisław Mikołajczyk, Edward Osóbka-Morawski i Michał Rola-Żymierski podczas posiedzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, 1946 r.

„Wydarzenia te w Londynie musiały być ocenione jako bardzo niepomyślne – konstatuje prof. Andrzej Friszke. – Sposób przyjęcia Mikołajczyka w Waszyngtonie świadczył o tym, że dla polityków zachodnich będzie on najważniejszym partnerem. (…) Dalsze »złe« wiadomości nadeszły na początku stycznia 1948 r., kiedy 140 pism amerykańskich rozpoczęło druk wspomnień Mikołajczyka o jego walce z komunistyczną dyktaturą".

Tymczasem Mikołajczyk cierpliwie budował swoją pozycję, zarówno w zachodnich rządach, jak i wśród Polonii. Wkrótce po przybyciu do Waszyngtonu nawiązał ścisłą współpracę z Kongresem Polonii Amerykańskiej. Ponadto miał znaczne poparcie w środowisku licznej i wpływowej polskiej emigracji we Francji. W maju 1948 r. został przewodniczącym Międzynarodowej Unii Chłopskiej, co wiązało się z dysponowaniem potężnymi funduszami. Jego pozycję wzmacniały poza tym bliskie kontakty z członkami administracji Trumana, którzy uważali Mikołajczyka za autorytet w sprawach Europy Wschodniej.

ZWYCIĘZCA CZY POKONANY?

Mimo starań Mikołajczyk w okresie zimnej wojny nie odegrał już poważniejszej roli. Co prawda, po 1947 r. nadal spotykał się z najważniejszymi politykami Zachodu, wygłaszał odczyty i udzielał wywiadów, lecz przypominało to bardziej działalność emerytowanej głowy państwa niż aktywnego polityka. Tak zresztą odbierano Mikołajczyka nie tylko w Wielkiej Brytanii czy we Francji, ale także w USA. Nie mogło być jednak inaczej. Departament Stanu konsekwentnie stał na stanowisku, że władze amerykańskie „nie mają zamiaru wiązania się z jakąkolwiek grupą polityczną polską i zachowują sobie zupełnie wolną rękę".

Mikołajczyk nie był postacią kryształową. Atakującym go politykom odpłacał pięknym za nadobne, a wiara we własną nieomylność była jedną z jego wielu przywar. Niemniej jednak to on jako jedyny spośród emigracyjnych polityków miał wystarczająco silną pozycję, aby przynajmniej spróbować wpłynąć na bieg wydarzeń w Polsce. Zaryzykował… i przegrał. Ale czy na pewno?

Krzysztof Wasilewski

Bibliografia

R. Buczek, *Stanisław Mikołajczyk*, t. 2, Toronto 1996.

S. Cat-Mackiewicz, *Lady Makbet myje ręce*, Kraków 2014.

A. Friszke, *Życie polityczne emigracji*, Warszawa 1999.

E. Guz, *Londyński rodowód PRL*, Warszawa 2014.

R. Habielski, *Niezłomni. Nieprzejednani. Emigracyjne „Wiadomości" i ich krąg. 1940-1981*, Warszawa 1991.

A. Paczkowski, *Stanisław Mikołajczyk, czyli klęska realisty. Zarys biografii politycznej*, Warszawa 1991.

FOT. NAC (2), IPN

eprasa.pl 8704c09f26

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

PUTINOTUSK

O tym, że to wszystko wina Tuska, wiemy zarówno z piosenki Wojciecha Młynarskiego, jak i od działaczy PiS oraz mediów przez nich opanowanych. Według tych, jakże wiarygodnych, źródeł informacji sytuacja u nas jest taka, jaka już była we wschodniej Europie w XVI w. Wtedy to kniaź Andrzej Michajłowicz Kurbski zbiegł z Moskwy na zachód (za co otrzymał judaszowe srebrniki w postaci starostw kowelskiego i krewskiego), żeby w licznych pismach i wystąpieniach publicznych przedstawiać najczarniejszy obraz swojej ojczyzny, namawiając do wyciągania wobec niej, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, wszelkiego rodzaju sankcji, a nawet najboleśniejszych zawsze kar – finansowych. Uczepiony królów polskich jak Tusk Angeli Merkel judził ich i dezinformował. Zrobienie z Tuska Kurbskiego łatwo zrozumieć. Umożliwia bowiem przypinanie „brukselczykowi" powszechnie zrozumiałych łatek: ptaka, co własne gniazdo kala, nie w pełni Polaka czy też po prostu: aferzysty, zdrajcy i renegata. Do tej chwili wszystko jest politycznie i propagandowo proste.

Obok Tuska pęta się jednak jego wspólnik w „zbrodni smoleńskiej", drugi postrach Polaków – Władimir Putin. Patrząc z perspektywy krajowej, jest to bodaj jedyny w Rzeczypospolitej, chociaż negatywny, spójnik między władzą i opozycją. Lud Kaczyńskiego pomawia Putina o współdziałanie w spisku na prezydenta-brata, intrygowanie przeciw niebywałym projektom Polski od morza do morza, walkę z katolicyzmem (która notabene toczy się wszędzie poza Polską, Watykanem i Maltą), postkomunizm, zbrodnie stalinizmu i caratu (z wyjątkiem czasu Łżedymitra, bo wtedy mordowały i rabowały polskie wojska). Opozycja natomiast głosi, że w swojej antyeuropejskości PiS wpycha ojczyznę w krwawe ramiona Putina, wylewa łzy nad krzywdzonymi przez Rosjan, a nas podobno kochającymi Ukraińcami, potępia moskiewski brak demokracji i rzekome wyczyny tamtejszych hakerów, podnosi larum, gdy tylko się ocieplają stosunki Rosji z kimkolwiek. Ta różnica akcentów nie przeszkadza jednak obu stronom oskarżać się o niewystarczającą antymoskiewskość i dochodzić niekiedy do niespodziewanych jednomyślności. Kiedy np. Rosjanie bombardują jedno syryjskie miasto będące w rękach „republiki islamskiej", a Amerykanie i Francuzi drugie, w obu zaś ludność cywilna pada jak muchy (na wojnie jak to na wojnie, a czego byście chcieli – pisał Jacques Prévert), należy oburzać się barbarzyństwem Rosjan i wychwalać skuteczność tzw. sojuszników. Wróćmy jednak do Władimira Putina.

Tak się składa, że jest on prezydentem Federacji Rosyjskiej, a nie Rzeczypospolitej. Dba więc przede wszystkim – co wydawałoby się zrozumiałe nawet dla Janka Muzykanta – o swój kraj, a nie ambicjonalne pomysły Warszawy. Z tym że bez obiektywnie słusznej przyczyny, jaką jest np. wandalskie niszczenie pamiątek po żołnierzach radzieckich poległych na ziemiach polskich, zgoła się do nich nie wtrąca. Dawał nawet dowody ewidentnie dobrej woli. Tak było chociażby, kiedy pojawił się rocznicowo na Westerplatte, przy czym od razu w Polsce powiedziano, że zaciera pakt Ribbentrop-Mołotow. Na jego miejscu długo bym się zastanawiał nad kolejnym gestem. Rozmawiając w telewizji z chłopczykiem, zwycięzcą teleturniejów, Putin powiedział, że „Rosja nie ma granic". Jakże się nad Wisłą oburzono! Mogą poeci pisać o „bezgranicznej miłości", „bezgrzesznej Polsce" (Jasieński), „bezmiernym życiu" (Whitman). Kiedy Putin użyje takiej samej figury retorycznej, ma oczywiście co innego na złowrogiej myśli. W konfliktach granicznych z Ukrainą we wszystkim rację ma Kijów i nie jest to nawet wtrącanie się do obcych spraw. Niestety, choroba antyputinowska objęła nie tylko „Wyborczą", gdzie bryluje pan Radziwinowicz, ale nawet moje ulubione skądinąd „Szkło Kontaktowe" w TVN 24. I tam słowa „wschód", „Rosja", „Putin" stają się straszakami, o ile zgoła nie wyzwiskami, co nie wymaga żadnych uzasadnień, na których brak w enuncjacjach naszych polityków bardzo (i słusznie) prowadzący program się oburzają.

> Gdy ludzie biegną, bo usłyszeli, że w polskim piekle ogień, nie chodzi im o gaszenie. Oni chcą wyciągnąć kasztany.

Sposoby zohydzania Tuska przez „zjednoczoną prawicę" i obrzydzania Putina – bez względu na to, jak różni to ludzie – opierają się na bardzo podobnych mechanizmach i narzędziach. W wyznających zaś ich efekty gronach wszelka polemika jest całkowicie niemożliwa. Do niczego dobrego to nie prowadzi i prowadzić nie może. Oferuje natomiast łatwą i wygodną matrycę do wewnętrznych sporów i zniewag. Gdy ludzie biegną, bo usłyszeli, że w polskim piekle ogień, niech nikt się nie łudzi, że chodzi im o gaszenie. Oni chcą przede wszystkim wyciągnąć odpowiadające im kasztany.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 8704c09f26

DOBRY BAJER TO PODSTAWA PISANIA

Najlepsi pisarze i pisarki byli mitomanami

Rozmawia Rafał Pikuła

Wiolka Rogala dorosła i idzie na studia. Na ile „Stancje" są kontynuacją „Guguł"?

– Myślałam, że ten temat jest już we mnie zamknięty i nie będę do niego wracać. Po kilku latach okazało się jednak, że nie potrafię o niczym innym pisać. Nic mnie tak nie pociągało jak ten temat. Postanowiłam wrócić do drugiej połowy lat 90., do dnia, w którym rozpoczynałam studia w Częstochowie. Tak powstała opowieść o biednej dziewczynie z prowincji, która stara się przetrwać w mieście, o dalszych losach Wiolki z Hektarów.

Czujesz nieodpartą potrzebę powrotu do przeszłości?

– Nie chodzi mi o sentymentalną podróż do czasów dzieciństwa czy młodości. Interesuje mnie bardziej temat dojrzewania dziewczyny w Polsce oraz to, jak kolejne wydarzenia i spotkania wpływały na jej tożsamość. Gdybym chciała wracać tylko do przeszłości i bawić się reminiscencjami, zajęłabym się pisaniem pamiętników.

Bardzo dużo czerpiesz z własnych doświadczeń. Twoje książki są mocno autobiograficzne.

– Nie ma znaczenia, z czego czerpię. Dobry bajer to podstawa pisania, a najlepsi pisarze i pisarki byli mitomanami. Gdy zaczynam pisać, tworzę najpierw coś na kształt scenografii i wymyślam ramy fabuły. Potem wypełniam powieść wspomnieniami, anegdotami i obrazkami z życia własnego lub innych. Magdalena Tulli powiedziała, że pisanie jest rodzajem kompilowania. Pracuję w podobny sposób. Przy czym bardzo mi zależy na wiernym oddaniu języka danej postaci.

Do czasów studenckich, obrazów stancji nawiązałaś już w tomiku poetyckim „Orinoko". Wracając wspomnieniami do hotelu robotniczego, pisałaś: „wieczorem nie można wejść pod prysznic, wataha śliniących się wilków pożera studentki w bawełnianych pidżamkach".

– Pisałam o tym w wierszach. W „Lokatorkach" wspominam o mieszkaniu u sióstr zakonnych, o tym, że „Siostry wyrzuciły mnie z poddasza za uciekanie w nocy przez ostrą bramę, tam gdzie świat nie wlecze się monotonnie jak obłąkany pacierz".

W powieści celę w domu zakonnym opisujesz bardzo ciepło, wręcz zmysłowo.

– Ten pokoik na poddaszu w rzeczywistości nie był żadną celą. Po nocowaniu w chłodnym, ponurym i brudnym hotelu, urządzonym w baraku, gdzie nie było ogrzewania, a dziury w ścianach pozatykano gazetami, każde inne miejsce wydawało się luksusowe. Pamiętam, że kiedy mieszkałam w domu sióstr, gości mogłam przyjmować tylko w weekendy w świetlicy. Pewnej niedzieli umówiłam się tam na randkę z chłopakiem, który był liderem zespołu rockowego. Kiedy zobaczył, gdzie mieszkam, był w takim szoku, że po 15 minutach stamtąd uciekł. Potem często zapraszałam różnych adoratorów na niedzielną herbatkę do zakonnej świetlicy (śmiech).

Tym bardziej trudno uwierzyć w historię, że w sylwestrową noc spotykasz na dworcu siostrę zakonną, która proponuje ci, abyś z nią zamieszkała.

– Kiedy docierają do mnie wiadomości z Polski, że np. biskup w towarzystwie ministra jeździ karetą albo że odbywają się w kraju miesięcznice, też trudno mi w to uwierzyć [Wioletta Grzegorzewska mieszka za granicą – przyp. red.]. A pamiętasz taką historię o grupie urszulanek, które na czele z matką Joanną zostały opętane przez złe duchy? Ta historia jest przecież niewiarygodna, a jednak wszyscy w nią uwierzyli, gdy opisał ją Iwaszkiewicz. W „Stancjach" wspominam o Jezusie z Ohio, który ukazał się na górującym nad miastem zbiorniku oleju sojowego, i o grzybach mutantach z lasów Olesna, które po Czarnobylu skażone cezem świecą. Ludzie wychowani w katolickiej kulturze chętnie wierzą we wszelkie cuda. Lubię wplatać w moją prozę niezwykłe historie, jak to robił Cortázar, albo jak Angela Carter wykorzystywać wątki z baśni.

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA

– poetka, pisarka, jej nominowana do Nagrody Literackiej Nike powieść „Guguły" doczekała się dalszego ciągu pt. „Stancje"

Czy ta baśniowość to próba oswojenia przeszłości?

– Te baśniowe motywy są pęknięciami w fabule. Jak napisał Auden, nawet pęknięcia na filiżance mogą być przejściem w zaświaty. W powieści na zasadzie prowokacji dyskretnie podsuwam motywy z baśni. Siostra Stanisława, jak macocha z Królewny Śnieżki, wabiąc Wiolkę do swojego domu, daje jej na dworcu jabłko. Takich aluzji w książce jest mnóstwo. Ale chyba ta cała moja baśniowość nie do końca jest literacką kalkulacją, to moja forma opowiadania i reagowania na świat. Dlatego prawdopodobnie nigdy nie będę rasową służebnicą fabuły. Uważam,

eprasa.pl 8704c09f26

że współczesna literatura nie musi mieć wcale dobrze zarysowanej historii. Dziś gładkie fabuły sprzedaje się w serialach, a od literatury możemy wymagać czegoś innego.

Jednak dziś najlepiej sprzedają się książki społecznie zaangażowane albo te, które mają przejrzystą fabułę, od A do Z.

– Literatura nie może służyć rynkowi ani gustom większości. Spójrz, co się stało z prozą Heleny Mniszkówny, która spełniała oczekiwania społeczne. Nie przetrwała próby czasu, za to dziś zachwycamy się Schulzem, który postawił na eksperyment i piękno języka. Nie zależy mi, aby napisać bestseller i trafić do telewizji śniadaniowej, ale bardzo lubię rozmawiać z ludźmi, tak jak teraz.

Powieściowa Wiola zmienia stancje, słucha więziennych historii, spotyka się z mężczyznami, włóczy po zakamarkach Częstochowy. Robi wszystko, tylko nie studiuje. Dlaczego w opowieści tak mało jest samych studiów, studenckich przyjaźni, wymagających profesorów czy trudnych sesji?

– Opowiadam o dojrzewaniu dziewczyny z biednej prowincji. Studia są tutaj tylko tłem czy przykrywką. Inna sprawa, że mnie szkoła też nigdy nie interesowała. Mieliśmy na wsi w podstawówce łączone klasy i tak naprawdę robiłam na lekcjach, co chciałam. Byłam samoukiem. Poza tym powieściowa Wiola po śmierci babci, która wspomagała ją rentą, musi przecież jakoś się utrzymać w mieście. Ja też w czasie studiów brałam różne prace i jak moja bohaterka wiele razy próbowałam przetrwać w mieście.

I doświadcza głównie przemocy i rozczarowań. Ostatecznie miłość, za którą tak bardzo tęskni, okazuje się ułudą.

– Ona sobie te sytuacje związane z przemocą domową przypomina, mówi o tym, że np. ojciec zlał ją wojskowym pasem za to, że po pijaku zdradził jej swoją tajemnicę. Ale przecież Wiolka doświadcza też przyjaźni, bliskości, namiętności, którą myli z miłością.

Czy twoje dojrzewanie też było naznaczone takimi traumami?

– Pozostawiam to pytanie bez odpowiedzi. Nie chcę o tym opowiadać, ale wnikliwy czytelnik „Guguł" i „Stancji" może się domyślić pewnych podobieństw.

Książkę zaczynasz cytatem z Angeli Carter: „Próbowałam pokonać miasto, obracając je w projekcję własnych bólów dorastania". Powieściowej Wioli te próby się nie powiodły, a tobie?

– Mnie się udało pokonać miasto. Uratowało mnie chyba to, że jako pierwsza kobieta w rodzinie mocno się wyemancypowałam. Pamiętam, że kiedy przyjechałam na studia do Częstochowy, trafiłam na stary numer „Literatury na Świecie", w którym były zebrane teksty pod zabawnym hasłem: „Literatura pań wyzwolonych i wyzwalających się". Znalazłam tam sporo opowiadań feministek z Ameryki, piewczyń kobietyzmu, jak się wtedy mówiło, np. opowiadanie Glorii Steinem „Byłam króliczkiem w klubie Playboya". To miało na mnie wielki wpływ.

> Jestem dziewczyną z peryferii, ciągnie mnie do miejsc i sytuacji peryferyjnych.

W twojej powieści Częstochowa to miejsce w ciągłej transformacji, pełne szemranych interesów, wyrzutków społecznych i skinów. Mieszkańcy tylko kombinują, jak zarobić na pielgrzymach, a ci rozglądają się za całodobowymi sklepami z alkoholem.

– W liceum jeździliśmy do teatru w Częstochowie i miasto kojarzyło mi się wtedy ze sztuką. Jednak później, gdy zamieszkałam w lokalnych slamsach, takich jak ulica Przemysłowa czy Śniadeckich, zdałam sobie sprawę, że święte miasto skrywa mroczne tajemnice. Z jednej strony, na jego kształt wpływali paulini, a z drugiej, mafia ze swoimi burdelami i nocnymi klubami. Pisząc powieść, spędziłam sporo czasu w bibliotece cyfrowej, przeglądałam gazety, rozmawiałam z byłym więźniem, który opowiedział mi m.in. o Atandzie, czyli tajnej specjalnej jednostce klawiszy, których zadaniem było brutalne tłumienie więziennych buntów. Spotkałam się też ze znajomym Rosjaninem, który pomógł mi uzupełnić wątek emigrantów z byłego Związku Radzieckiego.

Ciągnie cię do ludzi z marginesu. To chyba naturalny odruch pisarza.

– Nie wiem, na ile to naturalne, ale już tak mam, że w pociągu wolę posłuchać historii więźnia niż jakiegoś profesorka. Dobrze się czuję z prekariuszami i włóczęgami. Nudzi mnie przebywanie w klasie wyższej, choć naprawdę bywałam już w różnych środowiskach. W jednym dniu biegałam po sali z mopem czy tacą, a w drugim jako pisarka jechałam do brytyjskiej elity na kolację. Jestem dziewczyną z peryferii i ciągnie mnie do miejsc i sytuacji peryferyjnych. Wychowałam się w świecie ludzi wykolejonych – a to przez wojnę, jak moi dziadkowie, a to przez politykę, jak np. mój ojciec.

***À propos* pamięci. W twojej powieści nie ma jednej pamięci. Historie i wspomnienia bohaterów mieszają się, realne opowieści występują razem ze snami.**

– Poznałam kiedyś kobietę, która opowiedziała mi historię związaną z „krwawym poniedziałkiem" w Częstochowie, masowymi egzekucjami, których Niemcy dokonali w mieście 4 września 1939 r. Później odkryłam, że ona nie mogła pamiętać „krwawego poniedziałku", bo na samym początku wojny uciekła na wieś. Okazało się, że przyjęła za własne wspomnienia kuzynki. Poza tym jest coś takiego jak pamięć dziedziczna. Kiedy byłam dzieckiem, często śniła mi się alejka wysadzana dębami i ten sen wywoływał we mnie niepokój. Dopiero później, już po śmierci dziadka, dowiedziałam się, że więźniowie obozu jenieckiego, do którego po kampanii wrześniowej trafił mój dziadek, stawali do apelu w takiej alejce, jaka mi się śniła. Wspomnienia dziadka przebiły się do moich snów.

Poprzez literaturę chcesz oddać głos tym ludziom, którzy byli dla ciebie ważni, chcesz ożywić ich opowieści?

– Myślę, że też. Choć to nie jest jedyny cel mojego pisania. Może przede wszystkim chcę oddać głos tym, którzy już go nie mają, bo odeszli. ■

FOT. JOANNA SIDOROWICZ

eprasa.pl 8704c09f26

DZIEŁO OGLĄDANE W KORKU

Film z kina przechodzi do telefonu

Wiesław Kot

To nie molestowanie w Hollywood okaże się najważniejszym wydarzeniem filmowym roku. Inwazja wypożyczalni internetowych sprawi, że świat zacznie oglądać filmy zupełnie inaczej niż dotąd.

O sprawie zrobiło się głośno tego roku w Cannes, gdy do głównego konkursu dopuszczono film „Okja" wyprodukowany przez firmę Netflix. Projekcję po kilku minutach przerwano z powodu krzyków oburzenia i gwizdów dochodzących z widowni. Poszło o to, że „Okja" w ogóle nie wejdzie do kin. Będzie wyłącznie do wypożyczenia w sieci. „To niszczy ekosystem filmowy w Europie!", grzmieli producenci. Mieli rację – dotacje na ich filmy pochodzą głównie od właścicieli kin. Wyśmiał ich hollywoodzki producent Harvey Weinstein, który wkrótce potem stał się „sławny" z zupełnie innego powodu. Pokpiwał, że amerykańskiego kina władze państwowe przecież nie dotują, a miewa się ono nie najgorzej. Nawet w Cannes! Przedstawiciele Netfliksa dorzucali, że gdyby filmy „twórców europejskich" (czytaj: nieudaczników) trafiały od razu do internetowych wypożyczalni, miałyby więcej widzów niż we wszystkich kinach razem wziętych. Awantura ucichła, ale pozostało pytanie: czy stoimy u progu nowej epoki w przyswajaniu sztuki filmowej? Wiele wskazuje, że tak.

FILM Z PŁACHTY, FILM Z WYŚWIETLACZA

Wyjdźmy od owego Netfliksa (siedziba macierzysta: Los Gatos w Kalifornii), właściciela ogromnej internetowej wypożyczalni filmowej, a od niedawna także firmy producenckiej. Netflix – jako wypożyczalnia – zaczął 10 lat temu od dostarczania filmów w kopercie do domu klienta. Na odwrocie figurowało pytanie: jaki następny tytuł klient życzy sobie otrzymać? Klient pisał i otrzymywał. To spowodowało, że wypożyczalnie stacjonarne, działające jak biblioteki, padały jedna po drugiej. Ale dostawa pocztą i kurierem to już historia.

Dzisiaj filmy wysyła się w sieci, strumieniowo. Netflix działa w przeszło 100 krajach (w roku 2017 – 109 mln abonentów), gdzie za mniej więcej 10 dol. miesięcznej subskrypcji daje dostęp do przeszło 100 tys. tytułów. Oczywiście pozostaje kwestia językowa, ale filmów choćby z polskimi napisami czy lektorem przybywa tak szybko, że z oglądaniem rzeczy, które nas interesują, trudno nadążyć. W konsekwencji na całym świecie mało kogo nęcą już kopie pirackie (do niedawna 60-70% wszystkich filmów pozyskiwanych z internetu). Netflix gwarantuje jakość i legalność za umiarkowaną cenę.

Dostosowuje się przy tym – co leży u źródła jego globalnego sukcesu – do nowego stylu konsumpcji filmowej. Jego piarowcy nieustannie kokietują widownię: „Widz powinien oglądać, co chce i kiedy chce, a nie wtedy, kiedy chcą tego decydenci w telewizji". Faktycznie, wyprawa do kina i obraz przyswajany z panoramicznego ekranu to coraz rzadsza forma obcowania z filmem. Pewnie nigdy nie zaniknie, jednak ogromne płachty ekranowe raz się sprawdzają, a raz są zbędne. Ciągle świetnie wypadają w sagach typu „Gwiezdne wojny" czy „Władca pierścieni", gdzie widz przychodzi napawać się widokiem, atmosferą, niż coś przeżyć czy zrozumieć. Ale już historia miłosna, obyczajowa, a nawet kryminał da

Netflix nie szczędzi pieniędzy na kino artystyczne. W rozdaniu oscarowym szanse ma „Mudbound"

eprasa.pl 8704c09f26

Do głównego konkursu w Cannes dopuszczono film „Okja", który w ogóle nie wejdzie do kin. Będzie wyłącznie do wypożyczenia w sieci.

się przyswoić „w zaciszu". A więc z ekranu kina domowego, z tabletu, a w końcu – z telefonu.

To już zjawisko nagminne – filmy ze smartfonów ogląda się w poczekalni, w kawiarni, w korku samochodowym, na spacerze. Słuchacze piszącego te słowa sprytnie konspirują smartfony wśród podręczników i notatek w trakcie wykładów i jednym okiem zerkają na ulubione fabułki. Nie tylko dlatego, że wykładowca przynudza. Po prostu wpadli w nawyk, a telefon mają nieustannie pod ręką. W świecie anglosaskim dla tej jednostki z obszaru natręctw psychopatologicznych ustalono już nazwę, która brzmi *binge-watching*. Powstała przez analogię do *binge-eating*, czyli kompulsywnego obżarstwa. Najprostszy objaw (stwierdzany u klientów Netfliksa) to pochłanianie kilku-kilkunastu odcinków serialu za jednym podejściem. Tak więc oglądanie serialu raz w tygodniu czy nawet raz dziennie – i omawianie odcinka następnego dnia w pracy – to już zupełny Biskupin. Netflix wrzuca swoim klientom na pożarcie od razu całe sezony.

Tak, stoimy u progu rewolucji, ale – przyznajmy trzeźwo – nie pierwszej takiej w kinie. To tylko jeszcze jeden ostry zakręt w krótkich, choć skomplikowanych dziejach odbioru produkcji filmowej. Zarysujmy kontekst. Kino zaczynało się w miejscach marginalnych, podejrzanych i na zapleczu. Pierwszy pokaz filmowy zorganizowano (28 grudnia 1895 r.) w podziemiach Grand Café przy bulwarze Kapucynów w Paryżu. Widownia – 35 osób, bilet wstępu: 1 frank – której zademonstrowano ruchome obrazy, była przekonana, że uczestniczy w swego rodzaju seansie spirytystycznym. Rok wcześniej Thomas Alva Edison otworzył w Nowym Jorku pierwszy Salon Kinetoskopów, ówczesny odpowiednik dzisiejszego kina. A tam filmu (góra 30 sekund) nie oglądało się na ekranie, lecz gapiąc się w wizjer.

Pierwszy *nickelodeon*, czyli salę przeznaczoną wyłącznie do wyświetlania filmów, otwarto w 1905 r. w Pittsburghu. Pomysł chwycił – pięć lat później już 26 mln Amerykanów przynajmniej raz w tygodniu bywało w kinie. Z tym że bogatszym nickelodeon (od ang. *nickel* – pięciocentówka) szybko przestał wystarczać. Przenieśli się do *dream palaces*, luksusowych kin o bajecznym wystroju. Pierwszy taki – Regent otwarty w 1913 r. w Nowym Jorku – liczył 1845 miejsc.

Kiedy do bram Ameryki zastukał wielki kryzys, kina się uskromniły: zaczęto zapraszać dzieci na sobotnie poranki filmowe, były seanse o północy dla kolorowych, a dla najuboższych filmy (klasy B) w trakcie loterii fantowych. To do takich kin trafiała bardzo powoli aparatura pozwalająca na wyświetlanie filmów dźwiękowych.

Tu warto przypomnieć, że kino już w pierwszych dekadach funkcjonowania odrzuciło wszystkie – poza kolorem i dźwiękiem – wynalazki, które miały dać widzowi silniejszą iluzję rzeczywistości. Nie przyjęła się *cinerama*, czyli okrągły ekran, na który widzowie patrzyli od dołu, z widowni w środku okrągłej sali. Wycofano także kino zapachowe. Technologia kina trójwymiarowego znana była od 1915 r. Wtedy po raz pierwszy pokazano w trzech wymiarach wodospad Niagara. Reakcja: po co mam Niagarę oglądać w trzech wymiarach w kinie, skoro mogę ją taką zobaczyć w realu? I trzeci wymiar poszedł w odstawkę na sto lat.

Inwazja wypożyczalni internetowych sprawi, że świat zacznie oglądać filmy inaczej niż dotąd.

INTERNET NA GŁUCHEJ PROWINCJI

Krytycy Netfliksa wskazują, że zaburza przyjęty od dawna cykl dystrybucyjny. Został on ustawiony tak, by każde dzieło zarabiało na następne. Najpierw film zarabiał w kinach, po kilku miesiącach był dostępny w obiegu DVD, potem trafiał do płatnych serwisów internetowych. Najwcześniej po pół roku sprzedawało się go do telewizji, a kiedy wszyscy już obejrzeli, lądował w sieci i był do zobaczenia za darmo. W tej procedurze zdarzały się wyjątki. Disney np. dla zasady nie udostępnia filmów gratis, w związku z czym przed najnowszymi „Gwiezdnymi wojnami" widz, któremu żal pieniędzy, nie ściągnie sobie z sieci żadnego poprzedniego odcinka serii. A zdarza się i odwrotnie – film jest do wzięcia z internetu zaraz po premierze kinowej. Ale najczęściej katastrofalnie słaby film. Umieszcza się go tam jednak z nadzieją, że odbije się jakimś echem i za jakiś czas zechce go telewizja (np. do nocnej emisji). Kto lubi pokombinować, może się zarejestrować jako „abonent na próbę", obejrzeć to, na czym mu zależy, a następnie zrezygnować z wykupienia usługi. Można też się „targować" z dostawcą – kupować filmy w pakiecie albo w wersji z reklamami. Wypada niewiele taniej, ale zawsze. Poza tym sieć sporo rzeczy oferuje gratis. Zgoda, w większości to chłam, ale kto nie płaci, nie ma prawa wybrzydzać.

Ta rewolucja w oglądaniu filmów w Polsce przyjmuje się całkiem dobrze z prostego powodu – w latach 90. zlikwidowano u nas kilkanaście tysięcy kin, głównie na prowincji. Głód kina musiały więc zaspokajać wypożyczalnie (najczęściej filmowego chłamu), a z czasem pobór filmów z sieci. W mijającym roku filmy z internetowych serwisów ściągało prawie 80% rodaków z dostępem do komputera. Usługa typu VOD (*video on demand* – wideo na życzenie) cieszy się wzięciem również z powodów finansowych. Za miesięczny abonament w takim serwisie klient płaci tyle, ile za dwa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8704c09f26

bilety na hit w wytwornym kinie przy galerii handlowej. I wszystko legalnie, co ma znaczenie, odkąd policja zaczęła straszyć pobierających pirackie kopie mandatami w wysokości od 500 do 1000 zł (za jedną!).

Z drugiej strony niezbyt uważnych internautów próbują doić oszuści. Oferują w sieci kod do obejrzenia filmu, ale oprócz opłaty żądają numeru telefonu, na który ów kod wyślą SMS-em. I wysyłają, co kończy się tym, że z naszego konta telefonicznego pobierają comiesięczny haracz, na co przez podanie telefonu niebacznie się zgodziliśmy. Piszący te słowa wpadł kilka lat temu w podobną pułapkę, co skończyło się interwencją policji i ogólnopolskim śledztwem (o utracie gotówki nie wspominając).

W każdym razie do internetowych serwisów filmowych, a więc do Netfliksa w szczególności, wydaje się należeć przyszłość dystrybucji filmowej. Także z tego powodu, że Netflix sam produkuje dość pomysłowe i odważne rzeczy. Weźmy jego ostatnie filmy. Wspomniana na początku „Okja" (dzieło Koreańczyka nazwiskiem Joon-ho Bong) dotyka tabu, jakim ciągle jest w naszej cywilizacji cierpienie zwierząt. Oto w tajnych amerykańskich laboratoriach, gdzie pracuje się nad żywnością zmodyfikowaną genetycznie, wyprodukowano świnię wielkości hipopotama. Jej masowa hodowla pomoże zwalczyć plagę głodu. Autorzy filmu pytają jednak, za jaką cenę. I odpowiadają: zwierzęta bywają przetrzymywane w koszmarnych warunkach, inseminowane wbrew porządkowi naturalnemu. Odbiera się matkom młode, co powoduje niewyobrażalne cierpienia. W filmie farma i rzeźnia, gdzie zabija się i przetwarza zmutowane świnki, została pokazana jak obóz koncentracyjny. A scena, kiedy rodzice przerzucają małą świnkę za druty – oczywiście pod napięciem – aby choć dziecko uratowało się z tej rzezi, przypomina w sposób nieodparty sceny z filmów o Holokauście. To obraz, powiedzmy, interwencjonistyczny.

W mijającym roku filmy z internetowych serwisów ściągało 80% rodaków z dostępem do komputera.

NIE TYLKO SERIALE

Ale Netflix nie szczędzi pieniędzy również na kino artystyczne. W przyszłorocznym rozdaniu oscarowym pewne szanse ma „Mudbound" Amerykanki Dee Rees. Ta przeszło dwugodzinna, starannie wystylizowana ballada opowiada o dwóch rodzinach, białej i czarnej, które w bliskim sąsiedztwie uwięzły na błotnistej farmie na amerykańskim Południu. Od zniesienia niewolnictwa minęło już wprawdzie 80 lat, ale w stanie Mississipi czas pod tym względem liczy się zupełnie inaczej. Tu wciąż panuje przekonanie, że rolą kolorowych – przewidzianą przez Boga i naturę – jest służenie białemu człowiekowi. Widz przyłapuje się na myśli, że ta cała absurdalna z dzisiejszego punktu widzenia segregacja rasowa nie jest niczyją winą. Oni wszyscy tkwią – jak byśmy dziś, w dobie internetu, powiedzieli – w swoistej bańce informacyjnej. Po prostu wszyscy wokół na temat segregacji rasowej mają mniej więcej to samo zdanie, więc nikt nie ma powodu, by uważać inaczej.

A Netflix ani myśli o wyhamowywaniu koniunktury. Najnowszy pomysł to wariantowe bajki dla dzieci. Nawet te klasyczne, jak „Kot w butach" Charles'a Perraulta. Dzieciak włącza sytuację wyjściową: tytułowy kot dogrzebał się już w skrzyni pełnej skarbów do Księgi Baśni, a tam co stronica to inna opowieść. I teraz trzeba zdecydować, w którą opowieść brniemy: spotkanie z gigantem czy z piękną, złotowłosą dziewczyną. Kot w butach podpowiada, komentuje wybory dziecka, ale dyskretnie i z humorem. A z każdym zakrętem historii otwierają się nowe możliwości. Znowu trzeba wybierać. Najbardziej wciąga właśnie możliwość wyboru, układania za każdym razem nowej, własnej opowieści.

Netflix sprawdził to wcześniej w badaniach, ale i bez nich by się obeszło. Przecież w sieci mamy coraz więcej kawałków muzycznych, w których to słuchacz decyduje: podgłośnić, ściszyć czy usunąć perkusję z nagrania. Brytyjski raper Mike Skinner zamieścił w sieci wariantowy zapis swojego dnia. Kiedy rankiem budzi go telefon, widz decyduje, czy Mike ma odebrać, czy spać. Podobnie z resztą dnia, która układa się jak „ogród o rozwidlających się ścieżkach". Przypomina nam to „Grę w klasy" Cortázara (wydanie polskie 1968)? Słusznie. To, co pół wieku temu było literacką wizją, w dobie internetu może na zawsze odmienić zasady układania fabuł filmowych i serialowych. Czyli w klawisz start będziemy klikać nie raz, lecz kilkanaście razy w ciągu jednego seansu. Szykuje się jazda!

Wiesław Kot

eprasa.pl 8704c09f26

Zapowiedzi repertuaru wiosennego

Edward Mikołajczyk

Prezes jest za segregacją. „Jeżeli jest ryzyko, że w dyskotece mogą się pobić dwie grupy, to wpuszczam jednych albo drugich, albo żadnych". Tak powinno też być na stadionach: wchodzą tylko kibice jednego klubu.

Tę prostą receptę na burdy wypisał Zbigniew Boniek trzeciego dnia po meczu derbowym Cracovia-Wisła, w którym, jak wiadomo, kibice Cracovii ostrzelali racami z rakietnic kibiców Wisły, żeby sobie osłodzić klęskę „pasów" na boisku. Że też 13 grudnia zawsze musi się w Polsce wydarzyć coś takiego, po czym trzeba długo wietrzyć!

Oczywiście Polski Związek Piłki Nożnej nie ponosi odpowiedzialności za zachowanie kibiców, bo mecze organizuje inny podmiot, ale od odpowiedzialności nie ucieka, stąd ten pomysł z segregacją na wejściu. Do kogo by ci bandyci strzelali, gdyby w środę 13 grudnia na trybunach Cracovii nie było kibiców Wisły? – pyta retorycznie prezes związku, a w retoryce jest skuteczny jak diabli.

To tak, jakby pytać, co zrobi Kaczyński, kiedy już nie będzie w Polsce ani jednego wroga ludu. Przecież natychmiast pośle Suskiego do PSL albo Sasina rzuci na SLD, żeby rozkręcili zdradziecką partyjną robotę.

Naprawdę to jest najmniejszy problem zarówno w polityce, jak i w kibicowaniu przeżartym polityką – kogo bić, kiedy wydaje się, że nikt w zasięgu wzroku nie zasługuje na kopa. W tę samą środę, o tej samej porze, kiedy dymił stadion Cracovii, w Belgradzie odbywały się 165. derby Partizan-Crvena Zvezda. W 20. minucie meczu wybuchła gwałtowna bijatyka na trybunie południowej, zajmowanej od zawsze przez samych swoich, czyli grobarów, którzy dla Partizana są tym, czym żyleta dla Legii. Wezwana żandarmeria w kosmicznym rynsztunku przez pół godziny robiła porządek. Krwawiących, półnagich i osmalonych jak na wojnie sprowadzono na bieżnię. 20 klientów odwieziono do szpitala, 26 do paki.

Wybrać bójkę na derbach Belgradu zamiast spotkania z tą uroczą przyjaciółką? Doprawdy zadziwiająca decyzja.

Jako powód zamieszek komunikat policji wymienił kibicowskie porachunki z narkotykami w tle i walkę różnych frakcji o przywództwo na trybunie południowej. Na szczęście dla szefa klubu i serbskiego związku piłkarskiego wśród zatrzymanych jest sześciu Chorwatów, a podobno także są Rosjanie, Grecy i Bułgarzy, więc już można mówić o spisku wiadomych służb i obcych wywiadów, zainteresowanych szkodzeniem Serbii w UEFA i Unii Europejskiej. Sprawa jest obiecująco rozwojowa, bo Chorwaci posiedzą w areszcie śledczym 30 dni i już wiemy, że jeden z nich, kickbokser ze Splitu, jeździ do Belgradu, bo romansuje z wyzywająco zbudowaną gwiazdeczką. Inny jest brązowym medalistą mistrzostw świata w full kontakcie w wadze superciężkiej. Jego żona jest adwokatką. Powiadomiła właśnie gazetę, która napisała, jakoby miał się podjąć w Belgradzie jakiejś zbójeckiej roboty za 10 tys. euro, że nie wierzy, by mąż był gotów tak wiele ryzykować za takie pieniądze. Gdyby chodziło o 100 tys., to co innego, zauważyła pani mecenas.

Zaskakujący może być także ciąg dalszy wydarzeń po krakowskiej zadymie, to znaczy derbach. W tym samym numerze „Wyborczej", w którym Zbigniew Boniek udaje, że ma pomysł na kibiców w Polsce, jest informacja o zastrzeleniu przywódcy kiboli Cracovii przez antyterrorystów, co stało się dwa dni po głośnym meczu. Jak się można domyślać, policji nie chodziło o race świetlne, ale o podejrzenia o uprowadzenie dla okupu, narkobiznes i łamanie kości.

Czy to jest jakiś wyłom, czy sygnał, że policja przestała się bać działać na własną rękę, tego jeszcze nie wiadomo. Z diagnozą trzeba zaczekać na premierę wiosennego repertuaru trybun. Czy aktualny pozostanie najstarszy refren „Zawsze i wszędzie policja j… będzie"? I najważniejsze – czy nastąpi rekonstrukcja utworu „Tuskumatole, twój rząd obalą kibole"?

Premier Mateusz Morawiecki nie odniósł się w *exposé* do potencjału patriotycznego trybun. Wyraził tylko nieśmiałą prośbę, aby tacy piłkarze jak Łukasz Podolski i Mirosław Klose grali dla Polski, nie dla Niemiec. ■

FOT. FACEBOOK

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY!
Razem tworzymy tę stronę.
www.pazdziernik56.pl

~~39,90~~
19,90

Pierwsza w Polsce strona poświęcona wydarzeniom z jesieni '56.
Czekamy na dokumenty, publikacje, wspomnienia, fotografie. Wyślij e-mail na adres: pazdziernik56@pazdziernik56.pl lub napisz: redakcja PRZEGLĄDU, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, z dopiskiem PAŹDZIERNIK '56.

eprasa.pl 8704c09f26

ZAJRZYJ TU

KRÓLEWSKI GROBOWIEC W CASTILLO DE HUARMEY

Castillo de Huarmey to mauzoleum na północnym wybrzeżu Peru. Po wielu latach prac polscy archeolodzy – dr Miłosz Giersz i dr Patrycja Prządka-Giersz – we współpracy z peruwiańskimi badaczami odkryli nienaruszony królewski grobowiec preinkaskiej cywilizacji Wari. Wyniki ich pracy po raz pierwszy w Europie zobaczyć można w Muzeum Etnograficznym. Na wystawie znalazło się łącznie ok. 150 obiektów z Narodowego Muzeum Archeologii, Antropologii i Historii Peru w Limie. To jedno z dziesięciu najważniejszych odkryć 2013 r. według amerykańskiego magazynu „Archaeology".

WARSZAWA, PAŃSTWOWE MUZEUM ETNOGRAFICZNE, DO 27 MAJA

WYSPIAŃSKI

Stanisław Wyspiański (1869-1907) jeszcze za życia podarował krakowskiemu muzeum wykonane pastelami arcydzieła – projekty witraży katedry. W roku śmierci artysty powstał komitet, w skład którego wchodzili wybitni przedstawiciele ówczesnego życia artystycznego i naukowego Krakowa, mający na celu gromadzenie w Muzeum Narodowym spuścizny po „czwartym wieszczu". Licząca niemal 900 pozycji kolekcja została udostępniona zwiedzającym aż do stycznia 2019 r. Wyjątkowy i niepowtarzalny charakter zyskuje dzięki pokazaniu kontekstu historycznego i związków artysty z Krakowem.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, DO 20 STYCZNIA 2019

ADAM MYJAK. RZEŹBA

„Artysta snuje dywagacje wokół gromadzonej przez swoje życie wiedzy o świecie, o sobie samym. Typowa forma rzeźby Myjaka to klarowna, zwarta, skoncentrowana na sobie bryła, która jakby ze zgromadzonych problemów ustanowiła jej wewnętrzną siłę. Pracowite dłonie rzeźbiarza wrażliwie reagują na trudny, rozedrgany czas wartości, na postępującą dehumanizację świata", napisał we wstępie do katalogu wystawy prof. Jan Kucz. Myjak swoją postawą artystyczną zwraca uwagę na te zagrożenia. Forma jego rzeźb, ich ogólny zamysł „mimo ciągłego konspirowania z abstrakcyjnym językiem objawia genetyczne związki z formą wyrażającą postać ludzką, jej wszystkie problemy »człekobytu«".

SOPOT, PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI, DO 14 STYCZNIA

MODERNIZM

Jak się mieszka na przedwojennym osiedlu WuWa i w powojennych „sedesowcach"? Na pytanie postawione w tytule wystawy odpowiada Stowarzyszenie PAKT z Programem mikroGRANTY ESK Wrocław 2016. To ekspozycja pełna wspomnień, opowieści, głosów, opinii, zdjęć z domowych archiwów obecnych i dawnych mieszkańców osiedla WuWa oraz grunwaldzkich „sedesowców". Stanowi próbę przemyślenia tego, jak się mają ambitne hasła modernistów do dzisiejszej funkcjonalności zastosowanych rozwiązań. Najważniejsi są tu oczywiście ludzie – ich doświadczenia i spojrzenia na dzieje obu założeń. Wystawa jest podsumowaniem wrocławskiego projektu „Kto widział… Modernizm? Re-aktywacja".

WROCŁAW, DAWNE PRZEDSZKOLE NA OSIEDLU WUWA, UL. WRÓBLEWSKIEGO 18

SERIAL

SPISEK PROCHOWY

„Spisek prochowy" to trzyczęściowy thriller opowiadający o kulisach afery, która w XVII w. miała doprowadzić do zabicia króla Anglii i Szkocji. Owo zdarzenie przypomina święto ludowe obchodzone 5 listopada, nazywane Dniem Guya Fawkesa, choć prawdziwym inspiratorem zamachu był Robert Catesby. Twórcą scenariusza jest Ronan Bennett, za reżyserię odpowiada J. Blakeson, a w postać głównego bohatera wciela się znany z serialu HBO „Gra o tron" Kit Harington. W pozostałych rolach m.in. Liv Tyler, Mark Gatiss, zdobywca canneńskiej Złotej Palmy Peter Mullan oraz Tom Cullen.

SERWIS HBO GO, HBO, OD 15 STYCZNIA

eprasa.pl 8704c09f26

NA EKRANACH

GWIEZDNE WOJNY. OSTATNI JEDI

reż. Rian Johnson, prod. USA, już w kinach

No i stało się to, czego się obawialiśmy. Wraz z przejęciem przez Disneya praw do „Gwiezdnych wojen" saga zmieniła target. Nie jest już adresowana do drzemiących w dorosłych chłopców i dziewczynek, tylko przymila się także do prawdziwych milusińskich. Efekt? Żarty z bekania i absolutnie sterylne śmierci bohaterów. Chociaż film wojnę ma wpisaną w tytuł, na ekranie nie uświadczymy choćby kropli krwi czy cierpienia. Niestety, „Ostatni Jedi" na tym cierpi, bo momentami jest nieznośnie infantylny. Dobra wiadomość jest natomiast taka, że to jedyna wada ósmej części. Do zalet niewątpliwie należy zaliczyć: silne postacie kobiece, które rozsądkiem i spokojem ratują ludy od katastrofy, proekologiczne przesłanie i coraz śmielsze wpuszczanie w uniwersum GW niebiałych aktorów. Wisienką na torcie jest jednak scenariusz, który pokazuje, że napisali go specjaliści – poza żelazną logiką i konsekwencją emanuje z niego także radość tworzenia. Łatwo udziela się w kinie.

Artur Zaborski

BYLIŚMY

HAYDN W ZAMKU KRÓLEWSKIM

Trzy pełne klasycznego wdzięku wczesne symfonie Józefa Haydna oraz scena z jego niedokończonej opery wypełniły program koncertu młodzieżowej orkiestry Sinfonia Iuventus. Wykonanie tych mało znanych utworów powierzono Oldze Pasiecznik, jednej z najznakomitszych sopranistek, oraz dyrygentowi Gabrielowi Chmurze. Dramatyczna scena Bereniki była wstrząsającym akcentem wokalnym, w którym śpiewaczka ruchem, gestem, mimiką, a przede wszystkim głosem dała wyraz nieprzeciętnym umiejętnościom pokonywania karkołomnych skoków zapisanych przez kompozytora. Z kolei trzy niedługie symfonie odnoszące się do pór dnia wprowadziły publiczność w stan odprężenia, niemal sielanki, gdzie jest po trosze humoru, zabawy, tańca i wytchnienia. A wszystko w cudownej scenerii Sali Balowej Zamku Królewskiego. Przydałaby się płyta, nawet wideo, z zapisem koncertu.

Bronisław Tumiłowicz

JÓZEF HAYDN, „PORY DNIA, BERENICE", POLSKA ORKIESTRA SINFONIA IUVENTUS, OLGA PASIECZNIK, GABRIEL CHMURA, 15 GRUDNIA 2017

KURTYNA W GÓRĘ

EKSPERYMENTALNA WIERA GRAN

Pomysł, aby było inaczej, rzeczywiście się powiódł. Powstał spektakl w stylu dadaistyczno-absurdalnym o wybitnej pieśniarce. Zdarzyły się tutaj sekwencje poetyckie i przejmujące, jak choćby pierwsza, z czołganiem się po scenie, ale w sumie przedstawienie niczego nie wyjaśniało. Nie dowodziło, że Wiera Gran była wielką artystką, bo jej piosenki były źle zaśpiewane i niemądrze zaaranżowane. Nie tłumaczyło, że pieśniarka uratowała się z warszawskiego getta, nie podpowiadało, że przez resztę życia starała się w sądzie odrzucać fatalne oskarżenia. Autorzy uznali natomiast, że trzeba się pobawić wyimkiem z „Pana Tadeusza" o kawie, którą przemianowano na kakao. W takim stylu rzecz też się kończy. Szkoda.

Bronisław Tumiłowicz

„Wiera Gran", tekst Weronika Murek, reżyseria Jędrzej Piaskowski, Teatr Żydowski, premiera 24 listopada 2017

ZASŁUCHAJ SIĘ

Piotr Wojtasik

TRIBUTE TO AKWARIUM

Indygo Records

Warszawski klub Akwarium, otwarty 40 lat temu przy ul. Emilii Plater i działający tam do 2000 r., to legenda. Piękny hołd i miejscu, gdzie można było usłyszeć znakomity jazz, i wykonawcom, którzy tworzyli jego historię, złożył trębacz Piotr Wojtasik suitą nagraną z muzykami średniego i młodego pokolenia. Liczny skład (m.in. drugi trębacz Sebastian Sołdrzyński, dwaj saksofoniści Marcin Kaletka i Viktor Tóth, Węgier od lat współpracujący z Wojtasikiem, Leszek Możdżer i Dominik Wania, który ostatnio zachwycił także na „Unloved" Macieja Obary, czy perkusista Eric Allen) pozwala uzyskać bogate, zróżnicowane brzmienie, od brawurowych „dęciaków", przez elektronikę, po indyjskie dudy pungi i japoński flet shakuhachi. Proszę się wsłuchać choćby w nieco zwariowany finałowy „Tribute 4" z fenomenalnym pulsem kontrabasu i perkusji. Album wysokiej próby z doskonałymi aranżacjami i porywającymi improwizacjami.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8704c09f26

IMPERIUM PANA SMITHA

Krzysztof Wasilewski

Prawdopodobnie najniebezpieczniejsze przedsiębiorstwo, o którym nikt nie słyszał

W oczekiwaniu na repolonizację mediów nad Wisłą warto się przyjrzeć rozwiązaniom stosowanym w innych państwach. Jak udowadnia przykład Stanów Zjednoczonych, brak pluralizmu mediów nie ma nic wspólnego z ich narodowością. Wręcz przeciwnie. Choć niemal wszystkie stacje telewizyjne, rozgłośnie radiowe i tytuły prasowe na tamtejszym rynku są w amerykańskich rękach, o różnorodność opinii coraz trudniej. Wszystko za sprawą Sinclair Broadcast Group – firmy, która wkrótce może samodzielnie kontrolować niemal wszystkie telewizje lokalne w USA.

KIM ONI SĄ?

„Sinclair jest prawdopodobnie najniebezpieczniejszym przedsiębiorstwem, o którym nikt nigdy nie słyszał", przyznał Michael Copps, zajmujący się rynkiem mediów w administracjach George'a W. Busha i Baracka Obamy.

Jako niezależny ekspert, ceniony zarówno przez republikanów, jak i demokratów, Copps zazwyczaj unika alarmujących sformułowań. Tymczasem na hasło Sinclair trudno mu powstrzymać emocje. „W portfolio nie mają żadnych znanych sieci telewizyjnych, lecz niedługo będą zarządzać ponad 250 stacjami w całych Stanach Zjednoczonych – ostrzegał przed tajemniczą firmą w wywiadzie dla „DemocracyNow!". – Mają przy tym silnie spolaryzowane poglądy. Wytyczne, które pisze się w siedzibie w Maryland, będą następnie wprowadzane w całym kraju. Firma zamierza wchłonąć kolejne stacje".

Kim jest ten diabeł wcielony, przed którym ostrzega Copps, a którego „New York Times" nazywa „konserwatywnym gigantem", „Washington Post" zaś „przedsiębiorstwem z długą historią wykorzystywania swoich stacji do wspierania konserwatywnych poglądów i polityków"? Oficjalnie wiadomo niewiele. Strona internetowa Sinclair Broadcast Group zachwyca grafiką i stylem, lecz zawiera niewiele konkretów. Co najwyżej można się dowiedzieć, że początki firmy sięgają roku 1971, kiedy to Julian Sinclair Smith uruchomił pierwszą stację telewizyjną w Baltimore. Obecnie do grupy należą 193 stacje.

Śledztwa dziennikarskie nie przyniosły nowych informacji. Wciąż pozostaje zagadką, kto dokładnie kieruje rozrastającym się imperium medialnym. Niedawno, po 28 latach, z funkcji prezesa zrezygnował David Smith, jeden z synów założyciela. Zachował jednak (wspólnie z braćmi) pakiet kontrolny akcji. „Chcemy mieć tyle anonimowości, ile to możliwe", przyznał w wywiadzie dla „Baltimore Sun" w 1995 r. Słowa dotrzymał i od tego czasu próżno szukać jego nazwiska w mediach. W kwietniu 2017 r. do grona osób decyzyjnych dołączył Boris Epshteyn, który dał się poznać jako rzecznik kampanii prezydenckiej Donalda Trumpa, a następnie członek korpusu prasowego Białego Domu. W Sinclairze ma szefować działowi analiz politycznych.

OSTRY SKRĘT NA PRAWO

Nie wiadomo kto, ale wiadomo co i dlaczego. Do zeszłorocznych wyborów prezydenckich na amerykańskim rynku medialnym główną rolę odgrywały media liberalne, na czele z CNN, MSNBC, NBC, „New York Timesem" i „Washington Post". Na przeciwległym biegunie znajdowała się stacja Fox News – głos konserwatywnej części społeczeństwa. Analiza zachowań użytkowników mediów podczas ostatniej kampanii wyborczej udowodniła jednak, że ten podział należy do przeszłości. Większość Amerykanów informacje o kandydatach czerpała z internetu i lokalnych stacji telewizyjnych. A wyborcy Trumpa

eprasa.pl 8704c09f26

uważali Fox News za tak samo kłamliwą jak CNN czy MSNBC.

W nowej sytuacji doskonale odnalazł się za to Breitbart.com, strona, której wsparcie dla Trumpa i jego administracji można przyrównać do uwielbienia, jakim portal wPolityce.pl braci Karnowskich darzy PiS.

O krok dalej poszedł Sinclair. Amerykanie cenią niezależność mediów, a każdą próbę ich przerobienia na propagandową maszynkę odbierają jako zamach na podstawowe wolności. Oficjalnie więc stacje telewizyjne wchodzące w skład grupy zachowują niezależność i działają pod własnymi szyldami. Faktycznie zaś komentarze i sposób przedstawiania wydarzeń powstają w jednym miejscu i są rozsyłane do wszystkich partnerów jako obowiązujące.

„Ludzie nie zdają sobie z tego sprawy – mówił John Oliver, gospodarz „Last Week Tonight" – że Sinclair nie tylko tworzy i rozsyła materiały dla swoich stacji. Pracownicy firmy piszą nawet skrypty dla lokalnych prezenterów". Innymi słowy, widz lokalnej stacji z Nevady zobaczy i usłyszy to samo co widzowie z pozostałych stanów. Tak jednolity przekaz, docierający do milionów, stwarza możliwość zbudowania państwowego systemu propagandy. Tym bardziej że związki Sinclaira z administracją Trumpa wykraczają daleko poza zwykłe sympatie polityczne, stanowiąc sieć powiązań osobistych i biznesowych.

Nic dziwnego, że amerykańskie liberalne elity zaczęły bić na alarm. Na łamach „USA Today" Derek Turner z Free Press, ośrodka badającego media, ostrzegał: „Dla większości Amerykanów lokalne stacje telewizyjne nadal są podstawowym źródłem wiedzy o tym, co się dzieje w ich miasteczku i w całym kraju. Koncentracja wszystkich stacji w rękach kilku firm, takich jak Sinclair Broadcast Group, zniszczy różnorodność opinii i wykorzystywanych źródeł, które są konieczne, aby demokracja działała poprawnie". Z kolei Margaret Sullivan z „Washington Post" zwróciła uwagę, że w stacjach Sinclaira „komentarze są przedstawiane jako element informacji", co kłóci się z amerykańską tradycją medialną oddzielania od siebie tych dwóch gatunków.

SINCLAIR W KAŻDYM DOMU

W połowie roku do mediów przedostała się wiadomość, że Sinclair zamierza kupić za niemal 4 mld dol. Tribune Media Company. Jeśli transakcja dojdzie do skutku, firma będzie miała 233 stacje telewizyjne, w tym 39 spośród 50 najpopularniejszych. Przekaz tworzony przez pracowników Sinclaira zacznie docierać do 72% mieszkań w USA. Wśród mediów grupy Tribune znajdują się bowiem nie tylko kanały informacyjne, ale także rozrywkowe i kulinarne. Do tego dochodzą rosnące w siłę portale internetowe. Już niedługo wszystkie te media mogą służyć bezpośrednio szefom Sinclaira, a pośrednio Trumpowi.

Długo nie było wiadomo, czy Sinclair będzie w stanie zrealizować swoje ambitne plany. Największą przeszkodę stanowi prawo federalne, które ma zapobiegać tworzeniu się monopoli. Jest to jednak decyzja uznaniowa, która zależy od Federalnej Komisji Łączności oraz Departamentu Sprawiedliwości. Obie te instytucje są obecnie w rękach ludzi Trumpa, który może chcieć w ten sposób spłacić dług za poparcie, jakiego media Sinclaira udzieliły mu w kampanii. Termin ostatecznej odpowiedzi mija wkrótce. Natomiast z końcem października udało się pokonać drugą przeszkodę. Zebranie akcjonariuszy Tribune Media poparło przejęcie firmy przez Sinclaira – za transakcją zagłosowało 99% obecnych.

UPADEK STARYCH GIGANTÓW

Siła Sinclaira bierze się ze słabości tradycyjnych mediów. W kraju, w którym do niedawna nawet w niewielkich miasteczkach można było wybierać między różnymi dziennikami, każdego tygodnia ubywa kilka tytułów. Nikogo już nie dziwi brak lokalnej gazety, zwłaszcza że nawet tacy giganci jak „Chicago Tribune" czy „Boston Globe" walczą o przetrwanie.

Również samo zjawisko koncentracji mediów jest niemal tak stare jak Stany Zjednoczone. Wiara, że wolny rynek rozwiąże wszystkie problemy, skutkuje brakiem rozwiązań prawnych, które pozwoliłyby zapobiegać tworzeniu się ogromnych imperiów medialnych. Na przykład Hearst Corporation ma 31 stacji telewizyjnych, 20 czasopism oraz udziały w kilkunastu kanałach tematycznych i portalach internetowych. Mimo to na rynku jest dosyć skromnym graczem. Większość amerykańskich mediów należy do tzw. wielkiej piątki, którą tworzą Time Warner, Disney, News Corporation, Bertelsmann i Viacom. Nikt nie zwracał na to uwagi, dopóki na rynku nie pojawił się Sinclair, a w Białym Domu Trump.

Skoro Sinclair jedynie podąża utartymi ścieżkami, skąd ta histeria liberalnych mediów? Czy to rzeczywisty niepokój o stan demokracji, czy zwyczajny strach przed konkurencją? I jedno, i drugie. Przy topniejącej liczbie reklamodawców pojawienie się nowego gracza na coraz węższym rynku mediów stanowi bezpośrednie zagrożenie dla pozostałych. Zarazem nikt przed Sinclairem nie wspierał tak otwarcie i bezpośrednio administracji prezydenckiej i jej ideologii. Obawy przed powstaniem rządowej propagandy są więc uzasadnione.

Co zatem czeka Stany Zjednoczone? Zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich wbrew opinii większości mediów udowodniło, że wszystko jest możliwe, a w ślad za zmianami na scenie politycznej idą równie poważne zmiany w świecie mediów. Natomiast dla Polski jest to przykład, że ani wolny rynek, ani tym bardziej repolonizacja nie zapewnią mediom takiej niezależności, jaką mogą zagwarantować właściwe regulacje prawne. Jednak o dobre prawo w Polsce – i jak się okazuje, także w USA – najtrudniej. ■

Wciąż pozostaje zagadką, kto dokładnie kieruje rozrastającym się imperium medialnym.

Siła Sinclaira bierze się ze słabości tradycyjnych mediów.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 8704c09f26

Rozpieszczajmy się

Świat zmieniają ludzie, którzy mają niewiele do stracenia i mogą sobie pozwolić na podjęcie ryzyka

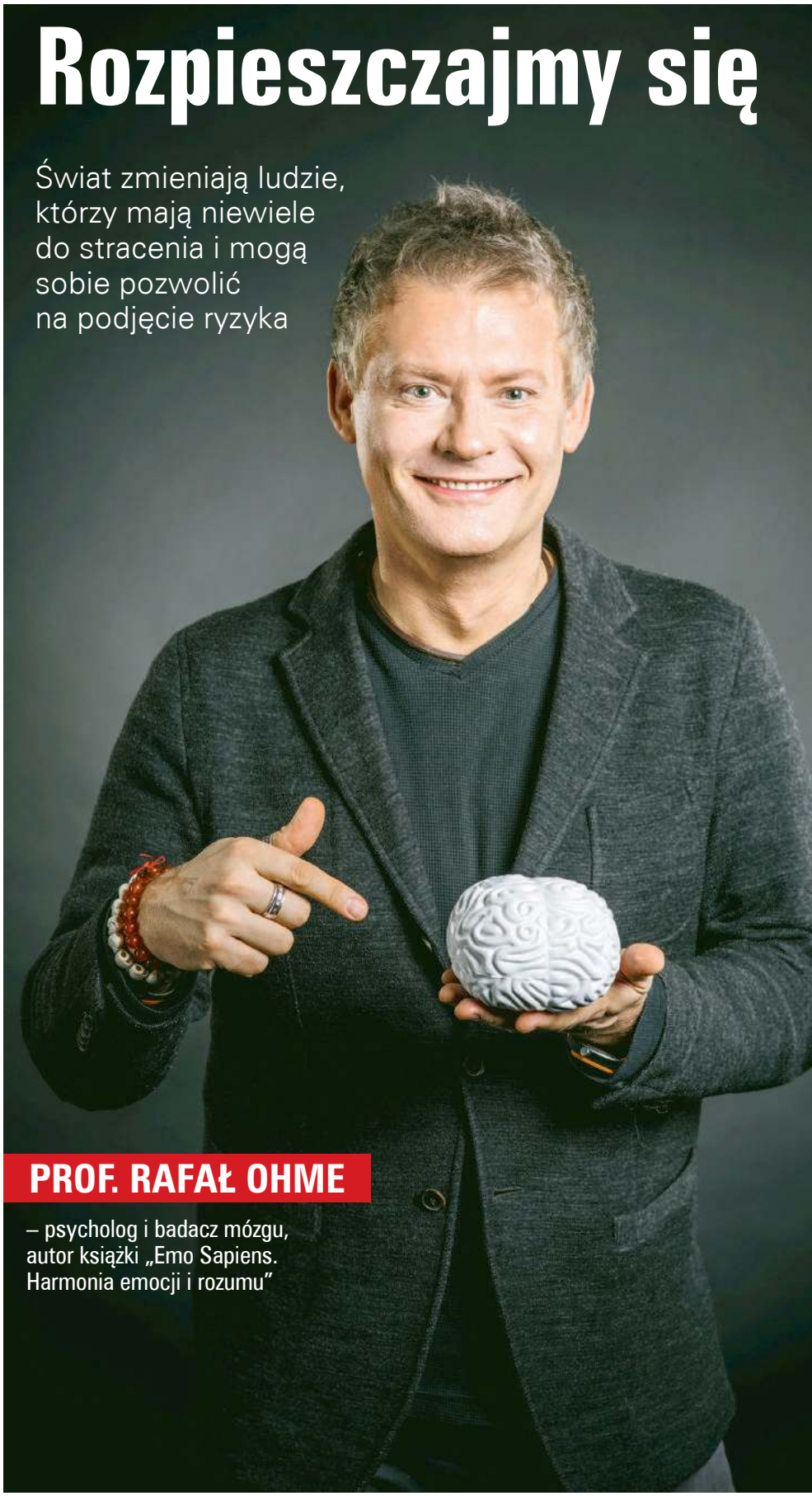

PROF. RAFAŁ OHME

– psycholog i badacz mózgu, autor książki „Emo Sapiens. Harmonia emocji i rozumu"

Rozmawia Barbara Jagas

Dlaczego napisał pan książkę „Emo Sapiens"?

– Aby czytający zachwycili się wspaniałościami, które są w naszej głowie. Gdyby porównać tę książkę do gatunków filmowych, można by stwierdzić, że „Emo Sapiens" nie jest ambitnym dramatem, bo poważnych książek psychologicznych o emocjach jest ogromnie dużo. Wystarczy pójść do księgarni, gdzie znajdziemy mnóstwo publikacji o stresie, depresji, psychopatiach. Chciałem napisać coś innego, bardziej w stylu komedii romantycznej.

Zajrzałam do niej, tę książkę znakomicie się czyta, ale jak dla mnie, jest zbyt rozbiegana. Pan tam pisze o wszystkim.

– „Emo" to nie jest monografia, czyli drążenie tunelu, ale psychologia i neuronauka emocji w pigułce. Napisałem ją z myślą o młodych ludziach, którzy jeszcze nie wiedzą, co chcą robić w życiu, jeszcze nie wybrali kierunku studiów. Sam byłem takim młodzieńcem, który miał wiele pomysłów na siebie i nie wiedział, jaką drogę wybrać.

Co chciał pan nam przekazać?

– Chciałem w tej książce zmanipulować młodego człowieka…

Przepraszam?

– Tak, tak, z premedytacją zmanipulować, aby po jej lekturze zakochał się w psychologii, a jeśli ma ścisły umysł – w neuronauce.

Rozumiem, że jako naukowiec chce pan pchać świat do przodu. A jednocześnie psychologia i nauka o mózgu dają wiedzę o funkcjonowaniu człowieka i wtedy lepiej się rozumie samego siebie.

– Pozwoli pani, że doprecyzuję. Dzięki nim lepiej rozumie się innych ludzi, niekoniecznie samego siebie. Każdy psycholog powinien mieć swojego psychologa. Jest taki dowcip: spotyka się dwóch psychologów i jeden pyta drugiego: „Cześć, u ciebie wszystko dobrze, a co u mnie?".

Dobre! Wracamy do nauki i jej rozwoju – co, pana zdaniem, pcha świat do przodu?

– Irracjonalność! Wszystkie odkrycia narodziły się w głowach osób przepełnionych irracjonalną nadzieją, że im się uda, mimo że

eprasa.pl 8704c09f26

wszyscy inni wmawiali im, że to niemożliwe.

Nadzieja przeczy rozumowi?

– Tak właśnie! Nadzieja zaczyna się tam, gdzie rozum mówi „stop". Mówi sobie: „To, że nikomu się nie udało, nie oznacza, że mnie się nie uda". Albo: „To, że mnie się nie udało 17 razy, nie oznacza, że za 18. też się nie uda". Jeśli tracimy nadzieję, to koniec, nie ma już nic, tylko pasywna wegetacja.

KTO NAM PODCINA SKRZYDŁA?

Kim są nasi przeciwnicy, kto nam podcina skrzydła?

– Może nie podcina, ale wstrzymuje, stawia opór. To osoby, organizacje, systemy, które chcą utrzymać *status quo*.

Czyli?

– Ci, którzy są (albo uznają, że są) w pełni rozwinięci. Są zadowoleni z tego, co mają, nie chcą już dalej się rozwijać. Tymczasem świat zmieniają ludzie, którzy nie mają wiele do stracenia i mogą sobie pozwolić na zrobienie kroku naprzód. Na podjęcie ryzyka.

A jak to wygląda, jeśli chodzi o pracę mózgu?

– Mózg nie znosi zmian, stara się utrzymać *status quo*.

A nadzieja jest tym motorem zmian i postępu, czyli w sferze stosunków międzyludzkich „kimś", kto wychodzi przed szereg.

– Tak, umysł i mózg są przeciwne zmianom i my sami musimy ten opór pokonać, aby się rozwijać.

Jak?

– To nie jest łatwe. Każda zmiana to olbrzymi wydatek energetyczny dla mózgu, który waży 2% ciężaru naszego ciała, a pochłania 20% energii, w jaką zaopatrujemy cały organizm. Tak na marginesie – dlatego praca umysłowa jest tak bardzo męcząca. Idąc do domu po całym dniu siedzenia przy biurku, ledwo powłóczymy nogami i dziwimy się, dlaczego tak jest. Myślenie kosztuje mnóstwo energii i dlatego niektórzy starają się myśleć jak najrzadziej. A zmiana to nie dość, że myślenie, ale jeszcze niestandardowe, dzięki któremu powstają nowe engramy, czyli połączenia między neuronami. Zmiana pobiera dużo energii i dlatego mózg nieszczególnie lubi zmiany.

Wydaje mi się, że mózg po prostu dąży do homeostazy, tak jak cały organizm, dlatego robi wszystko, aby „załatwić" nadzieję, czyli stawiać jej opór.

– Dobrze pani myśli. Zmiana jest zagrożeniem dla homeostazy, a homeostaza jest Świętym Graalem w biologii. W naturze zmiana jest przypadkową mutacją. Na przykład mutacja genu FOXP2 200 tys. lat temu spowodowała u człowieka rozrost kory czołowej i pojawienie się abstrakcyjnego myślenia. Wszystkie naczelne mają FOXP2, ale tylko nam się on zmutował. Gdyby było inaczej, ten wywiad czytałyby np. chomiki, chwaląc albo ganiąc pomysły profesora chomika. Tymczasem człowiek, w odróżnieniu od innych zwierząt, rozwija się także z własnej woli i intencji.

Dzięki psychologii i nauce o mózgu lepiej rozumie się innych ludzi, nie siebie.

Dla mnie ograniczeniem takiego rozwoju są różne wewnętrzne przekonania.

– W gruncie rzeczy przeciwko intencjonalnemu rozwojowi człowieka występują dwa systemy – psychiczny i biologiczny. W pierwszym przypadku chodzi o lęki, obawy, przyzwyczajenia, w drugim – o wydatki energetyczne. Bo trzeba wytwarzać nowe synapsy, nowe połączenia w mózgu, a to wszystko kosztuje…

Co pcha naukę, czy też ludzkość, do przodu?

– To, co powiedział Steve Jobs: *Stay hungry, stay foolish*, czyli pozostańmy głodni, nierozsądni. Jeśli wszyscy mówią, że się nie da, a ty wierzysz, że to możliwe, zakasz rękawy i działaj.

NAJGORSZY ZIMNY WYCHÓW

Ale by działać, trzeba mieć wsparcie.

– Temu służy odpowiednie wychowanie młodego człowieka.

Czyli jakie?

– Gwarantujące poczucie bezpieczeństwa, miłość, akceptację nas jako małych ludzi oraz wyrabiające w nas poczucie własnej wartości. Jeśli czegoś takiego się nie dostaje, to potem wiatr wieje nam w oczy.

?

– Możesz wszystko osiągnąć, ale aby tam dotrzeć, będziesz podróżować nie w klasie biznes, ale w ekonomicznej, a czasami nawet w luku bagażowym. Podstawy, jakie zapewniają ci rodzice, będą determinowały to, czy gmach, który sobie wybudujesz, będzie solidnie ugruntowany, czy chybotliwy i stale wymagający remontu.

Pozwolę sobie się nie zgodzić. Przecież jeśli ktoś ma w dzieciństwie deficyt czegoś, wyzwala to w nim rodzaj energii do działania, aby potem sobie zrekompensować ten brak.

– Owszem, ale teraz rozmawiamy o fundamentach zachowania człowieka, które sprawiają, że radzi sobie w życiu. Jeśli np. rodzic pije, jest nieobecny albo zimny, zachwiane poczucie bezpieczeństwa będzie się odczuwało do końca życia. Możesz być szefem szefów, prezydentem prezydentów lub artystą artystów, a i tak wieczorem będziesz patrzeć w lustro, co przyniesie jutro, czy piękny sen zaraz się nie skończy, czy nie zmiecie cię jakaś nieprzewidziana nawałnica. Psychoterapeuta powie, że przepełnia cię lęk podstawowy. Drugi fundament to poczucie własnej wartości. Zdobywa się je dzięki temu, że rodzice chwalą swoje dzieci. Nie ma nic gorszego niż zimny wychów.

Co pcha świat do przodu? Irracjonalność!

Przykładem jest czarna pedagogika, która wychowała całe pokolenie hitlerowców, o czym pisała Alice Miller. Tyle że tam była to skrajność, bo dzieci bito od małego, profilaktycznie.

– *Emo Sapiens* pamięta, by w procesie wychowania szukać pretekstów, aby dzieci chwalić i przytulać. Tulenie wyzwala oksytocynę, a ona redukuje stres, buduje więź. Jeśli jesteś świeżo upieczonym tatusiem, pamiętaj, aby nosić swoją pociechę na rękach. Niech poczuje twoje ciepło, twój zapach, bicie serca. Do końca życia będziesz zbierał tego plony, sam się przekonasz.

FOT. PRZEMEK BEDNARCZYK/ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 8704c09f26

Kobietom nie trzeba o tym mówić, one potrzebę przytulania mają w genach.

NEUROFITNESS, CZYLI MÓZG NA SIŁOWNI

Jestem za. W „Emo Sapiens" propaguje pan neurofitness, mówiąc, że to sposób na młodość i twórczość. Co to w ogóle jest?

– Neurofitness to sposób na utrzymywanie elastyczności umysłu. Podświadomie ćwiczymy ją, rozwiązując krzyżówki czy grając w szachy. Ale ja mam na myśli trening elastyczności nie tyle intelektualnej, ile emocjonalnej.

Nadzieja zaczyna się tam, gdzie rozum mówi „stop".

Jak to by miało wyglądać?

– Należy sobie zadać pytanie: kiedy ostatnio robiłeś coś po raz pierwszy? Jeśli mamy kłopot z odpowiedzią, to znaczy, że neurofitness jest dla nas. Bo neurofitness to trening różnorodności. Chodzi o samodzielne wywoływanie mikrozmian, aby być gotowym na nadejście makrozmiany. Na przykład zdecydować się na ugotowanie obiadu według receptury abisyńskiej.

Albo wręcz przeciwnie, postawić na rosół, bo już wszystkie receptury tego świata poznałam i czas wrócić na polski teren. Tym bardziej że np. rosołu gotować nie umiem.

– Albo zacząć jeść palcami.

Podobno używając rąk, bardzo rozwijamy mózg.

– W palcach jest szalenie dużo receptorów… Ale chodziło mi w tym przykładzie o to, aby zjeść palcami schabowego, a nie jakieś danie hinduskie, potem ziemniaczki, a następnie kapustkę – poczuć ją.

A tu przy obiedzie odzywa się ciocia, że nie wypada tak jeść.

– To jej grzecznie wytłumaczymy, że jesteśmy właśnie na siłowni mózgowej, gimnastykujemy swoje szare komórki.

A dlaczego, pana zdaniem, obcowanie ze sztuką jest neurofitnessem? Dla mnie kontakt ze sztuką to raczej ukojenie, rodzaj medytacji.

– Tyle że ja pisałem o chwilowym obcowaniu ze szczególną sztuką, tzn. taką, której nie znam, nie rozumiem albo wręcz ją odrzucam. Na przykład idę do Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, gdzie oglądam instalacje i myślę: „O co tutaj chodzi?". Albo oglądam film, gdzie herbata ścieka na podłogę kropla po kropli przez pół godziny, i zastanawiam się, kto napisał scenariusz i dialogi. Reasumując, w neurofitnessie nie unikam kontaktu z czymś, czego nie znam. Wręcz przeciwnie, dopinguję się do tego, by poczytać, zainteresować się, dać szansę.

Rozumiem.

– Chodzi o delikatne wychodzenie ze strefy komfortu. Warto np. obejrzeć koncert disco polo, chociaż wcześniej nie miało się pojęcia o tej muzyce, a jedynie chodziło do filharmonii. I w drugą stronę, miłośników łatwej muzyki namawiam do posłuchania – jednorazowo – klasyki. Otwierajmy się na zmianę, róbmy to, aplikując sobie mikrozmiany, sztuczne, niekiedy wesołe, zawsze krótkotrwałe. A jeśli taka mikrozmiana nieco boli (psychologicznie oczywiście), tym lepiej działa! Właśnie tak, jak podczas ćwiczeń gimnastycznych – to ostatnie pompki i przysiady robią swoje, wcześniejsze były zaledwie przygotowaniem.

Każda zmiana to olbrzymi wydatek energetyczny dla mózgu.

Co nam dają emocje?

– Energię do działania. Natomiast o tym, co mam zrobić i jak mam to zrobić, decyduje rozum.

Na czym więc polega równowaga między emocjami a logiką, jak żyć?

– Emocje, odczucia mówią nam, czy ktoś chce nas skrzywdzić, czy jest naszym przyjacielem. Temu służą neurony lustrzane niedawno opisane przez neuronaukę. Można tę umiejętność osłabić lub zniszczyć poprzez zły styl życia – alkohol, narkotyki, niewłaściwe odżywianie się. W ten sposób pozbawiamy się szóstego zmysłu, czyli przeczuć, a tak naprawdę chodzi o pracę interoreceptorów, które wysyłają markery somatyczne do jądra brzuszno-przyśrodkowego, co dokładnie opisał portugalski uczony António Damásio, profesor neurobiologii, który czeka na Nagrodę Nobla. Taka emocja czy przeczucie mówią nam, czy ktoś nam sprzyja, czy nie. Czy powinniśmy do czegoś dążyć, czy zrezygnować. Emocja czy też odczucie podpowiadają kierunek podróży, rozum natomiast szczegóły – jak się spakować. Emocje dodają potem koksu do działania.

Jak zdrowo żyć?

– Człowiek powinien bardziej dbać o siebie. Trzeba się bardziej rozpieszczać. My, Polacy, mamy naturalną tendencję do tego, aby na pierwszym miejscu stawiać dzieci, potem pracę, a następnie – na szarym końcu, jak zdążę, to zajmę się sobą. Nie chcę zakłócać tego porządku, tym bardziej że pewnie siedzi zakodowany w naszych genach. Chciałbym jedynie nieco go zmodyfikować. Posłuchajmy wersetu z Biblii: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego". Wszyscy koncentrują się na pierwszej części zdania: „kochaj bliźniego swego". A ja proszę o uwagę także dla drugiej – „jak siebie samego". Czy jesteś wierzący, czy nie, kochaj siebie! Jeśli tego nie robisz, to… grzeszysz. Kiedy lecisz samolotem, w razie awarii nakładasz maskę tlenową najpierw sobie, a potem dziecku, bo gdy się nie zajmiesz najpierw sobą, to nie pomożesz nikomu. Mówię wam tak: dbajcie o siebie, rozpieszczajcie siebie, abyście lepiej troszczyli się o innych. A może nie tyle lepiej, ile dłużej.

Barbara Jagas

Prof. Rafał Ohme – Jest jednym z pionierów neuronauki konsumenckiej – wiedzy z pogranicza psychologii i neurologii, wykorzystywanej w biznesie. Wykładowca akademicki i biznesowy, twórca badawczo-ekonomicznych firm Neurohm i Inemo w Polsce. Współtwórca Neuromarketing Science and Business Association – organizacji zrzeszającej przedstawicieli nauki i biznesu z 85 państw. Za osiągnięcia naukowe nagrodzony przez prezydenta RP i premiera, Przedsiębiorca Roku 2015 r. Ostatnio współpracuje z UMCS w Lublinie, Uniwersytetem Stellenbosch w Kapsztadzie i Uniwersytetem Renmin w Pekinie.

eprasa.pl 8704c09f26

"NAJPIĘKNIEJSZY FILM ROKU"
INDIEWIRE

"CZYSTA MAGIA"
THE TELEGRAPH

"TEN FILM DOSTANIE OSCARA"
LA TIMES

★★★★★ HEYUGUYS

★★★★★ TIME OUT

★★★★★ THE GUARDIAN

★★★★★ CINEVUE

★★★★★ THE TELEGRAPH

WILLEM DAFOE BRIA VINAITE BROOKLYNN PRINCE

The FLORIDA Project

REŻYSERIA SEAN BAKER

JUŻ W KINACH

eprasa.pl 8704c09f26

DOLCE VITA W ŻOŁĄDKU

Do Neapolu na pizzę, do Palermo na bułkę ze śledzioną

Tomasz Skowronek

Wystarczy spędzić kilka minut na ulicach włoskiego miasta, aby się przekonać, że tutaj jedzenie jest ważną sprawą. Włosi lubią jeść dużo i swoją kuchnię traktują jak dobro narodowe. Nie ma też wątpliwości, że świat jest zakochany we włoskim jedzeniu. Wiele tradycyjnych potraw, takich jak spaghetti, pizza, lasagne czy tiramisu, dawno przekroczyło granice i weszło do menu innych państw. Dlaczego włoskie jedzenie jest tak popularne?

MARGHERITA NA SZTANDARACH

Kultura gastronomiczna, gotowanie i jedzenie na Półwyspie Apenińskim są prawdziwą pasją, a nawet obsesją – w pozytywnym znaczeniu. Nawet flaga włoska często kojarzy się z jedzeniem, np. z pizzą Margheritą (kolor czerwony – sos pomidorowy, biały – mozzarella, zielony – bazylia). Co prawda, jedzenie jako takie nie wpłynęło na barwy flagi narodowej, za to flaga była inspiracją dla kucharza.

Pizza Margherita ma polityczne i historyczne korzenie. Historia mówi, że w 1889 r., zaledwie 29 lat po zjednoczeniu Włoch, włoska królowa Małgorzata Sabaudzka postanowiła odwiedzić Neapol, aby przypodobać się poddanym. Z tej okazji słynny lokalny szef kuchni Raffaele Esposito przygotował dla monarchini trzy różne pizze. Z czosnkiem (marinara), anchois (napoli) oraz trzecią, w której użył tylko trzech składników, symbolizujących barwy flagi. Właśnie ta ostatnia kompozycja, z sosem pomidorowym, mozzarellą i listkami bazylii, najbardziej zasmakowała królowej i rozeszła się na cały kraj.

Jak zauważa John F. Mariani, autor książki „How Italian Food Conquered the World" („Jak włoska kuchnia podbiła świat"), wybór tej pizzy był świetnym ruchem królowej. W końcu zjednoczone Królestwo Włoch zostało ustanowione zaledwie trzy dekady wcześniej. W pewnym sensie popularne danie wykorzystano do promowania spójności narodowej. Wkrótce imigranci neapolitańscy przywieźli pizzę do wschodnich miast Stanów Zjednoczonych, gdzie zdobyła ogromną popularność. Margherita stała się najbardziej znanym narodowym kulinarnym towarem eksportowym.

Nieżyjący już pisarz Umberto Eco mawiał, że dzięki poznawaniu kuchni włoskiej i całej jej rozmaitości możemy poznać odrębność nie tylko smakową, ale i językową, w mentalności, kreatywności, poczuciu humoru, stosunku do cierpienia i śmierci, odróżniającą Sycylijczyka od Piemontczyka lub Wenecjanina od Sardyńczyka.

ŚWIĘTA Z KIEŁBASĄ W TLE

Niewątpliwie Eco miał rację. Różnice kulinarne między poszczególnymi regionami Włoch są ogromne i widoczne choćby w czasie Bożego Narodzenia. Święta te, podobnie jak u nas, są czasem rodzinnym spędzanym na uroczystym biesiadowaniu. Kolacja wigilijna nie ma takiej rangi jak w Polsce, choć podobnie jak u nas dominują dania bezmięsne, głównie ryby i owoce morza. Natomiast w pierwszy dzień świąt zasiada się do obiadu, który często przeciąga się do wieczora. Najczęściej w domu, ale sporo osób decyduje się na świąteczny posiłek w restauracji.

W Emilii-Romanii najbardziej typowym daniem w czasie świąt są tortellini lub cappelletti z mięsnym nadzieniem podane z esencjonalnym bulionem z kapłona. Po tortellini często podaje się słynne cotechino di Modena – kiełbasę zawierającą poza mięsem wieprzowym tłuszcz wieprzowy i skórkę. Bywa podawana z purée ziemniaczanym lub soczewicą. Popularnym daniem jest również bollito misto – kombinacja różnych rodzajów mięsa, podrobów i drobiu gotowanych razem i podawanych na gorąco z warzywami lub sosami. Jest to również typowe danie pobliskiego Piemontu.

Dalej na południe kuchnia się zmienia. W Rzymie i okolicach Lacjum królują ryby słodkowodne, bardzo często węgorze, a we Friuli-Wenecji Julijskiej rządzą flaki. W południowej Basilicacie spotkać można 13 dań bożonarodzeniowych, wszystkie oparte na rybach. Podczas gdy w Abruzji święta nie są kompletne bez zupy le virtù z mięsem, makaronem, suszonymi i świeżymi warzywami oraz roślinami strączkowymi, w regionie Le Marche w czasie świąt piecze się indyka.

Wiadomo, że święta to także słodkości. Najpopularniejszym ciastem jest pochodzące z Mediolanu panettone z bakaliami. W Toskanii króluje panforte – ciasto z miodu, bakali, kakao, orzechów i różnych owoców. Popularne są również turrony, czyli nugaty w kształcie kostek.

> Włosi lubią jeść dużo i swoją kuchnię traktują jak dobro narodowe.

Oczywiście niemal w żadnym regionie nie może zabraknąć makaronu – jest wszechstronny, ekonomiczny i atrakcyjny, dostępny w ponad 700 kształtach. Istnieją makarony *fresca*, czyli świeże, oraz *secca* – suche; jajeczne i bezjajeczne, zwykłe lub z dodatkiem warzyw i ziół. Suchy makaron był doceniany już w XIV w. przez marynarzy, którzy zabierali go w podróż ze względu na jego długą przydatność do spożycia i łatwość przygotowania.

TO NIE JEST KRAJ DLA SIECIÓWEK

Włochy to kraj zjednoczony dość niedawno, a kulturowo i językowo jeszcze nie do końca. Na Sycylii potrawy mają smak słodko-kwaśny, czuć tam wpływy i smaki arabskie. Natomiast w regionie Trydent-Górna Adyga jedzą dokładnie to samo, co po drugiej stronie Alp, w Austrii, czyli knedle z kiszoną kapustą. W Toskanii, szczególnie

eprasa.pl 8704c09f26

we Florencji, popularne są befsztyki. Z kolei w Kalabrii praktycznie do każdego dania podawana jest pikantna papryczka peperoncino.

Każdy region, nawet każde miasto specjalizuje się w innym daniu. Do Neapolu pojedziemy więc na pizzę zrobioną przez *pizzaiolo*, w Bolonii spróbujemy tagliatelle bolognese (bo czegoś takiego jak spaghetti bolognese nie ma), w Palermo zjemy bułkę ze śledzioną, w Rzymie gnocchi, czyli kluseczki przypominające nasze kopytka, i to koniecznie w czwartek, co jest już rzymską tradycją i rytuałem. Natomiast Mediolan jest stolicą nie tylko mody, lecz również aperitivo – napoju, który ma zaostrzyć apetyt przed posiłkiem. Czas na aperitivo przypada między godz. 19 a 21, kiedy Włosi spotykają się przy kieliszku wina lub lekkich koktajlach. Drinkom z reguły towarzyszą małe przekąski. Zwyczaj ten cieszy się popularnością we wszystkich większych miastach i w miasteczkach, ale to Mediolan bezapelacyjnie jest najlepszym miejscem na aperitivo.

Aby uzmysłowić to, z jaką powagą Włosi odnoszą się do swojej kuchni, warto wspomnieć, że politycy, przedsiębiorcy i dyplomaci próbują włoską kuchnię wykorzystywać jako element *soft power*, czyli miękkiej siły. W 2015 r. sektor produkcji i sprzedaży żywności we Włoszech przyniósł 37 mld euro wpływów. Docelowo dochody mają wynosić 50 mld euro w 2020 r. Eksport żywności i wina wzrósł o 69% w ciągu ostatnich 10 lat. Że włoska żywność ma się dobrze, wie Eataly – największy na świecie włoski market (typ hali gastronomicznej), gromadzący wiele restauracji, punktów gastronomicznych, piekarni, sklepów i szkół gotowania. Po pomyślnym otwarciu pierwszego takiego punktu w Turynie firma rozszerzyła działalność na cały kraj i obecnie funkcjonuje w 18 włoskich miastach, a filie ma m.in. w Tokio, Nowym Jorku, Seulu, Kopenhadze, São Paulo i Dubaju.

Adaptacja i rozwój kultury żywności we Włoszech ewoluowały inaczej niż w innych krajach zachodnich. Sieci *fast food* są tutaj zdecydowanie mniej powszechne niż w innych częściach Europy. W 1986 r. wybuchł nawet sprzeciw wobec planów uruchomienia McDonalda w pobliżu Schodów Hiszpańskich w Rzymie. Inicjatorem protestów był ruch Slow Food, który walczy o zachowanie tradycji kulinarnych i promuje wykorzystywanie lokalnych produktów. Obecnie we Włoszech działa ok. 530 restauracji sieci McDonalds', podczas gdy we Francji ok. 1,4 tys., podobnie jak w Niemczech i Wielkiej Brytanii.

Kawiarnie Starbucksa w ogóle nie są obecne na włoskiej ziemi, być może dlatego, że obawiano się porażki. Praktycznie każdy Włoch ma ulubioną kawiarnię, do której wpada na cappuccino albo espresso wypijane na stojąco przy barze. No i Włosi słyną ze świetnej kawy. Co ciekawe, dla Howarda Schultza, właściciela Starbucksa, to włoskie kawiarnie były inspiracją do założenia sieci lokali, które miały się stać centrum sąsiedztwa i spotkań społeczności. Pierwsze sklepy firmy Schultz nazywane były z włoska Il Giornale (dziennik).

Poza sieciowymi restauracjami nie ma także wielu budek z hot-dogami czy kebabami, podobnie jak trudno tu znaleźć restaurację serwującą np. kuchnię meksykańską czy francuską. Wyjątek stanowi kuchnia chińska, traktowana jako coś taniego i niezobowiązującego. Poza tym i tak w wielu chińskich knajpach można zamówić spaghetti czy ravioli.

Włoska kuchnia jak mało która w swojej ojczyźnie potrafiła się oprzeć globalizacji. Jednakże, jak zauważa „The Economist", pizza jest kulinarnym zwierciadłem odbijającym zaniepokojenie globalizacją. Włosi są słusznie dumni ze swojego jedzenia, ale obawiają się, że ich najlepsze dania są rabowane przez innych. Brytyjski tygodnik przypomina, że właśnie Ameryka, a nie Włochy, zmieniła włoskie specjały, od pizzy po cappuccino, w dochodowe światowe marki franczyzowe, takie jak Pizza Hut, Domino i Starbucks. Część włoskich dań za granicą przeszła amerykanizację. Takie wynalazki jak spaghetti bolognese, kurczak Alfredo czy pizza z ananasem albo z kebabem nie istnieją we Włoszech, są interpretacjami tamtejszych potraw.

Włochy uzyskały ochronę dla największej liczby produktów żywnościowych w Europie.

Jednak dzięki zachowaniu tożsamości kulinarnej Italia poprzez kuchnię zdobywa sympatię na całym świecie. Włochy uzyskały ochronę dla największej liczby produktów żywnościowych, win i innych napojów w Europie, mają ich więcej niż Francja czy Hiszpania. Lokale gastronomiczne w tym kraju zdobyły 272 gwiazdki Michelina. Restauracje takie jak florencka Enoteca Pinchiorri czy modeńska Osteria Francescana uchodzą za najlepsze na całym świecie, podobnie jak tamtejsze uniwersytety gastronomiczne. To świadczy o tym, że Włosi są potęgą kulinarną. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 8704c09f26

1

2

Weselsze oblicze świata

Nie tylko katastrofy, wojny lub debaty polityczne na szczytach władzy zajmowały w mijającym roku mieszkańców naszej planety. I na szczęście! A w nadchodzącym roku jak najwięcej okazji dostrzegania weselszego oblicza świata życzy Czytelnikom zespół fotoedycji PRZEGLĄDU.

4

eprasa.pl 8704c09f26

1. Na ucho, gdy patrzą tysiące oczu – obrońca Pablo Zabaleta dostaje strategiczne wskazówki od trenera Manchester City Pepa Guardioli.

2. Zabawa stara i znana w różnych zakątkach świata – uhonorowana na muralu w Dubaju.

3. Śledzik na raz, koniecznie surowy i solony – ulubiona przekąska Holendrów, jedzona tym razem z okazji 70. obchodów Dnia Flagi.

4. Dumni rogacze – ludowy taniec ze środkowej Anglii, w którym tancerzy zdobią rogi reniferów.

5. Broda nie czyni filozofem – uczestnik Festiwalu Muzyki i Sztuki w angielskim Glastonbury.

6. Wszystkie guziki zapięte? – pięciolatek Alexander Drummond dokonuje inspekcji żołnierzy Królewskiego Regimentu Szkocji podczas pokazu w Kings Park w Stirling.

FOT. PA IMAGES/EAST NEWS, AFP/EAST NEWS (5)

eprasa.pl 8704c09f26

SYLWESTER W OGNIU

Płonące kukły i latające dokumenty, czyli Nowy Rok w Ameryce Południowej

Paweł Drąg
Korespondencja z Ekwadoru

Godziny biegnące jak minuty, a wokół gwar, śmiech, dudniąca z głośników muzyka, zapach kiełbasek z grilla i roztańczeni Ekwadorczycy, którzy uczą mnie, jak bardzo można kochać życie. Wokół domów trwają ostatnie przygotowania do wejścia w nowy rok. Kilka dni przed sylwestrem ludzie szykują specjalne kukły, *Años Viejos*, czyli Stare Lata. Powinny one wyglądem jak najwierniej przypominać prawdziwe postacie. Najczęściej to bohaterowie komiksów i bajek, sportowcy, gwiazdy telewizji i politycy. Wykonuje się je z łatwopalnych materiałów: drewna, papieru, słomy, starych ubrań i styropianu. Koniecznie muszą być bardzo kolorowe, a im kukła jest większa, tym większy prestiż jej twórcy. Kiedyś symbolizowały wszystko, co było złe w mijającym roku, o czym autor słomianej postaci chciałby zapomnieć. Dziś tradycja została poddana transformacji – coraz więcej osób wykonuje kukły postaci, które darzy sympatią. Często wkłada się do ich wnętrza karteczki z zapisanymi złymi uczynkami lub wypełnia petardami. Wszystko po to, by wraz z początkiem roku zostawić w tyle zmartwienia i kłopoty.

Kilka dni przed sylwestrem, ale i później mężczyźni przebierają się za wdowy. Ma to symbolizować żałobę po starym roku. Faceci wbici w długie, obcisłe spódnice, z biustem zrobionym z balonów i w mocnym makijażu żartobliwie proszą o wsparcie na pogrzeb męża. W nagrodę za datek wykonują taniec lub śpiewają najpopularniejsze w tym sezonie piosenki. Głośno, prześmiewnie i karykaturalnie, wzbudzając powszechną wesołość.

Tradycja się zmienia. Teraz coraz częściej Años Viejos przedstawiają również postacie darzone sympatią – choćby bohaterów bajek.

Wraz z nadejściem północy na głównych ulicach zaczyna się widowisko. Nikt nikomu nie składa życzeń, bo wszyscy zajęci są biciem kukieł paskami, wymierzają im też kopniaki, rzucają nimi na wszystkie strony lub układają w stertę i podpalają, co ma symbolizować ostateczne pożegnanie negatywnych doświadczeń starego roku. Europejczyk mógłby pomyśleć, że znalazł się w centrum zamieszek.

Stoję oszołomiony parę metrów od sterty kukieł, do której podbiega kilku facetów z pochodniami. Ktoś mówi, żebyśmy szybko się schowali za filarem. Odpowiadam, że nie musi o nas się martwić. Wybucha wtedy szyderczym śmiechem i porozumiewawczo spo-

Tuż po północy pieczołowicie tworzone Stare Lata są niszczone. W ten sposób żegna się wszystko to, co wspomina się źle z minionego roku.

eprasa.pl 8704c09f26

Tak się pali sylwestrowe kukły w Ekwadorze!

gląda na kumpla. Po kilku sekundach stos zaczyna się palić, a ktoś podsyca ogień benzyną. Wtedy dociera do mnie, że Ekwadorczyk nie żartował. Rzucam się biegiem do tyłu, widząc kątem oka, jak fajerwerki w niekontrolowany sposób wylatują we wszystkie strony. Zewsząd słychać świst petard, a miasto stoi w ogniu.

Przemieszczamy się ulicami z szeroko rozdziawionymi ustami, a w końcu dajemy się porwać radosnemu nastrojowi, po drodze częstując kopniakami resztki figury lokalnego polityka. Chcemy zdążyć na podpalenie największej lalki w mieście, ok. 14-metrowego Supermana, ale trafiamy na równie potężne ognisko – wielki chuderlak siedzi na czymś w rodzaju tronu. Wokół pełno mniejszych kukieł. Płomienie są tak wysokie, że sięgają linii energetycznych, czym nikt się nie przejmuje w tym rozemocjonowanym tłumie. Nieważne, bawimy się, jest niesamowicie.

Nie trwa to wszystko długo, może ze dwie godziny. Później wszyscy wracają pod swoje domy, by kontynuować zabawę – tańczą, śpiewają, śmieją się, piją. Z głośników dobiega muzyka tłumiąca rytmy w odbiornikach sąsiadów. Alkohol leje się strumieniami, co nie jest zbyt bezpieczne, zważywszy na słabe głowy Latynosów. Tutaj zazwyczaj jedno piwo rozlewane jest do plastikowych kubeczków i pite na spółkę przez trzy-cztery osoby. Tym razem dzieje się inaczej, w końcu to sylwester. Wiele osób pręży ciała w rytm salsy lub bachaty, a nigdzie

Latynosom nie można odmówić wyobraźni. Sylwestrowe scenki dotyczą konkretnych problemów, z którymi boryka się dany kraj. Tutaj – służby zdrowia.

FOT. AFP/EAST NEWS, PAWEŁ DRĄG (3)

eprasa.pl 8704c09f26

nie spotkałem równie uzdolnionych tancerzy. Na ulicach unoszą się zapachy gorących dań serwowanych prosto z bud na kółkach. Szczególnym wzięciem cieszą się drożdżowe kuleczki z cukrem, w smaku przypominające nasze racuchy. Zabawa będzie trwać do późnych godzin porannych. Tonące w śmieciach miasto zostanie posprzątane dopiero po kilku dniach. Nie ma przecież powodu się śpieszyć...

Nie mniej gorąco wita się nowy rok w innych krajach Ameryki Południowej, ale mimo wspólnego mianownika, którym jest dobra zabawa, tradycje różnią się od siebie. W Kolumbii zamiast *Años Viejos* występują specjalnie uszyte lalki. O północy podpala się je, by szczęście w nowym roku miało łatwiejszą drogę do pokonania. W Brazylii sylwester z największą pompą celebrowany jest na plaży Copacabana. To tam od południa ludzie zajmują najlepsze miejsca, by o północy mieć najdogodniejszą pozycję do obserwowania fajerwerków i spektaklu na wodzie, który łączy efekty dźwiękowe i świetlne. W Rio tej nocy można wszystko i nigdy nie sposób przewidzieć, jak się zakończy szaleństwo wielu tysięcy osób. Brazylijczycy w Nowy Rok ubierają się na biało, bo ten kolor symbolizuje harmonię, spokój i szczęście. W niektórych regionach na wody oceanu wypuszczane są kwietne wianki, a także łódeczki z darami, których adresatką jest afrykańska bogini Yemanya.

W Wenezueli, Kolumbii i Peru najważniejszym kolorem jest żółty, który oznacza szczęście i powodzenie wszelkich planów. W Wenezueli w sylwestra należy zjeść 12 jagód winogron. Jedna sztuka odpowiada jednemu uderzeniu zegara. Niektórzy nie zapominają o tym, by o północy trzymać w dłoni banknot. Po ostatnim uderzeniu zegara do portfela wkładają ząbek czosnku, co ma zapewnić powodzenie finansowe. Szczęście przynosi także napisanie osobistego listu z życzeniami i planami do zrealizowania, a następnie spalenie go tuż po północy. Tradycyjnym sylwestrowym posiłkiem jest *hallaca* – danie z surowego albo gotowanego mięsa lub ryby, wzbogacone np. rodzynkami i oliwkami. Farsz przed gotowaniem zawija się w ciasto kukurydziane i liść bananowca.

Argentyński sylwester bardzo przypomina polski. To przede wszystkim czas dla rodziny i najbliższych, ale trudno tu o jakiekolwiek przejawy szaleństwa. Teoretycznie podobnie jak w Kolumbii pali się lalki, ale w praktyce robi to już niewiele osób. Przede wszystkim w ostatni dzień grudnia Argentyńczycy zbierają się w domach, by jeść, rozmawiać i wspominać mijający rok. Północ to czas na toast i życzenia. Ciekawiej bywa kilka godzin wcześniej. Około południa wielu pracowników biur pozbywa się stert niepotrzebnych dokumentów, które nagromadziły się w ciągu roku. Robią to ostentacyjnie, wyrzucając papiery przez okna biurowców. Niech rzuci kamieniem ten, kto chociaż raz w życiu o tym nie marzył...

Paweł Drąg

eprasa.pl 8704c09f26

O Barbarze, co do Izraela chciała

No to trach! Jedna z najbardziej kuriozalnych kandydatur na stanowisko ambasadora RP została publicznie wyśmiana. Chodzi o Barbarę Stanisławczyk-Żyłę, którą MSZ zgłosiło na… ambasadora w Izraelu. Sejmowa komisja wysłuchała jej prezentacji i odpowiedzi na pytania, potem posłowie opozycji głośno powiedzieli, co o kwalifikacjach kandydatki sądzą (posłowie PiS siedzieli w milczeniu, co w gruncie rzeczy dobrze o nich świadczy), a na końcu w głosowaniu zaopiniowano jej kandydaturę negatywnie. To bardzo rzadki przypadek, w tej kadencji zdarzył się po raz pierwszy.

Żeby była jasność – głosowanie w sejmowej komisji niczego nie przesądza, bo to prezydent, premier i szef MSZ decydują, kto zostanie ambasadorem, a kto nie. Ale trudno przypuszczać, by po tak spektakularnej kompromitacji zdecydowali się na wysłanie Stanisławczyk-Żyły do Izraela. Byłby to gest niezrozumiały w Polsce i obraźliwy wobec kraju przyjmującego.

Ktoś zapyta: ale o co chodzi? Dlaczego kandydatka MSZ tak bardzo posłom (również PiS) się nie spodobała?

Barbara Stanisławczyk-Żyła to była prezes Polskiego Radia. Już jej nominacja na tamto stanowisko była zaskoczeniem, bo nie znano jej szerzej jako specjalistki od radia. Jej CV było skromne – kierowała miesięcznikiem „Sukces" i przez parę miesięcy wydawnictwem „Przekrój". Pisała reportaże dla „Kobiety i Życia", „Twojego Stylu" i „Tygodnika Solidarność". Jej książki to m.in.: „Ostatni krzyk. Od Katynia do Smoleńska. Historie dramatów i miłości", „Miłosne gry Marka Hłaski", „Czterdzieści twardych" i „Kto się boi prawdy? Walka z cywilizacją chrześcijańską w Polsce" (bardzo polecają ją rydzykowcy).

Ze sprawami zagranicznymi nic wspólnego nie miała, w MSZ nie przepracowała ani dnia.

Jeśli chodzi o dyplomatyczne maniery, raczej jest ich zaprzeczeniem. Relacje są jednoznaczne. Zwolniła np. dyscyplinarnie grupę związkowców, którzy chcieli prowadzić z nią negocjacje, gdyż uznała, że „wywierają na nią presję psychiczną" (nowy zarząd Polskiego Radia zawarł z nimi ugody i przywrócił ich do pracy). Szef zespołu prawników PR, który najpierw miesiącami wręczał w imieniu pani prezes wypowiedzenia zwalnianym pracownikom, w końcu sam się zwolnił, zarzucając przełożonej m.in. agresję słowną i mobbing.

Jakim więc cudem dyletantka w świecie dyplomacji i polityki międzynarodowej, która w dodatku nie potrafi się zachować, była pchana przez MSZ na szefa tak wrażliwej placówki? Do Izraela cały świat wysyła zawodowców, i to tych najlepszych. A my – amatorkę.

Stanisławczyk-Żyła broniła się na posiedzeniu komisji, opowiadając dyrdymały. O znajomości spraw polsko-żydowskich: „Jakkolwiek może zabrzmi to nieskromnie, rozumienie ich również w szczegółach i w takim sensie, który pozwoli przełożyć się na dobre relacje między państwami, ale też na zbudowanie dobrego wizerunku w naszym kraju, uważam się za jedną z lepszych specjalistek w tym kraju". „Nie wiem, czy mieliście państwo możliwość i chęć zapoznania się z moimi pracami, z moimi książkami i wypowiedziami na ten temat. Jeśli tak, to jestem gotowa dyskutować, a jeśli nie, to zachęcam państwa, a nawet proszę o to, żebyście państwo zechcieli zajrzeć do tych publikacji".

Bronił jej też przedstawiciel MSZ Jacek Czaputowicz, podkreślając, że jeśli chodzi o kwestie merytoryczne, to ministerstwo nie ma jej nic do zarzucenia.

Pani Stanisławczyk-Żyła straciła stanowisko prezesa Polskiego Radia w kuriozalnych okolicznościach, bo najpierw Rada Mediów Narodowych powołała ją na to stanowisko, potem ona zrezygnowała, później rezygnację wycofała, ale RMN już jej nie przywróciła. Trzeba więc było zasłużonej towarzyszce znaleźć jakąś godną robotę. I jak w gorszych czasach Polski Ludowej pchnięto ją w ambasadory. Bo napisała książkę o Polakach ratujących Żydów. I zna paru ludzi w Izraelu.

Trudno ten cyrk komentować.

Oto mamy połamane MSZ i bezwolnego ministra, który zrobi dokładnie wszystko, co mu się każe. I panią, która nawet nie zdaje sobie sprawy, jaką jest dyletantką. Oto PiS w pigułce.

Attaché

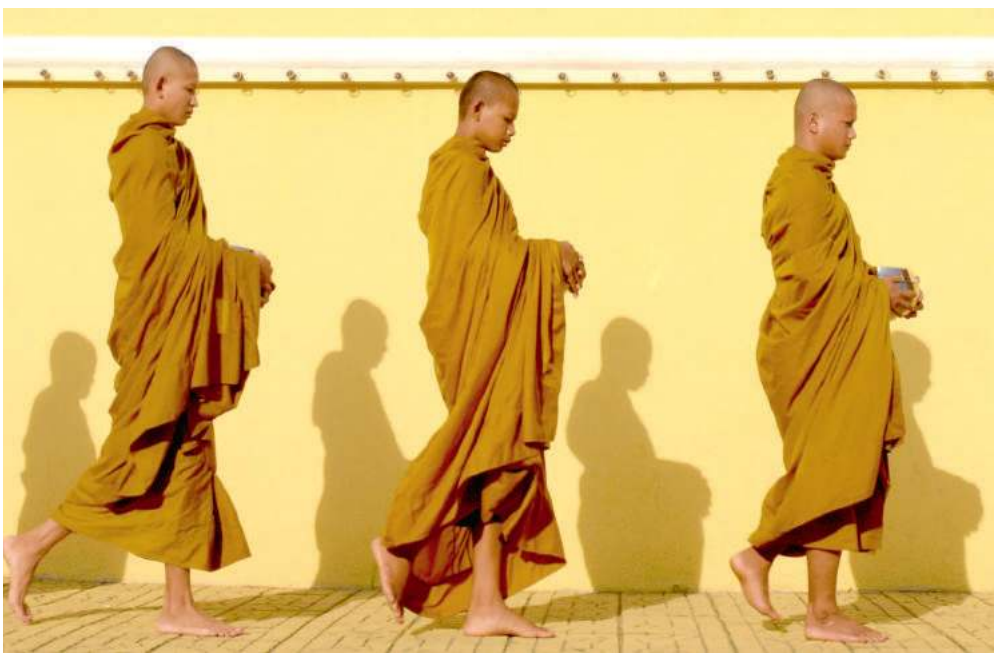

W harmonii z otoczeniem – buddyjscy mnisi przed Pałacem Królewskim w Phnom Penh.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 8704c09f26

JOLKA

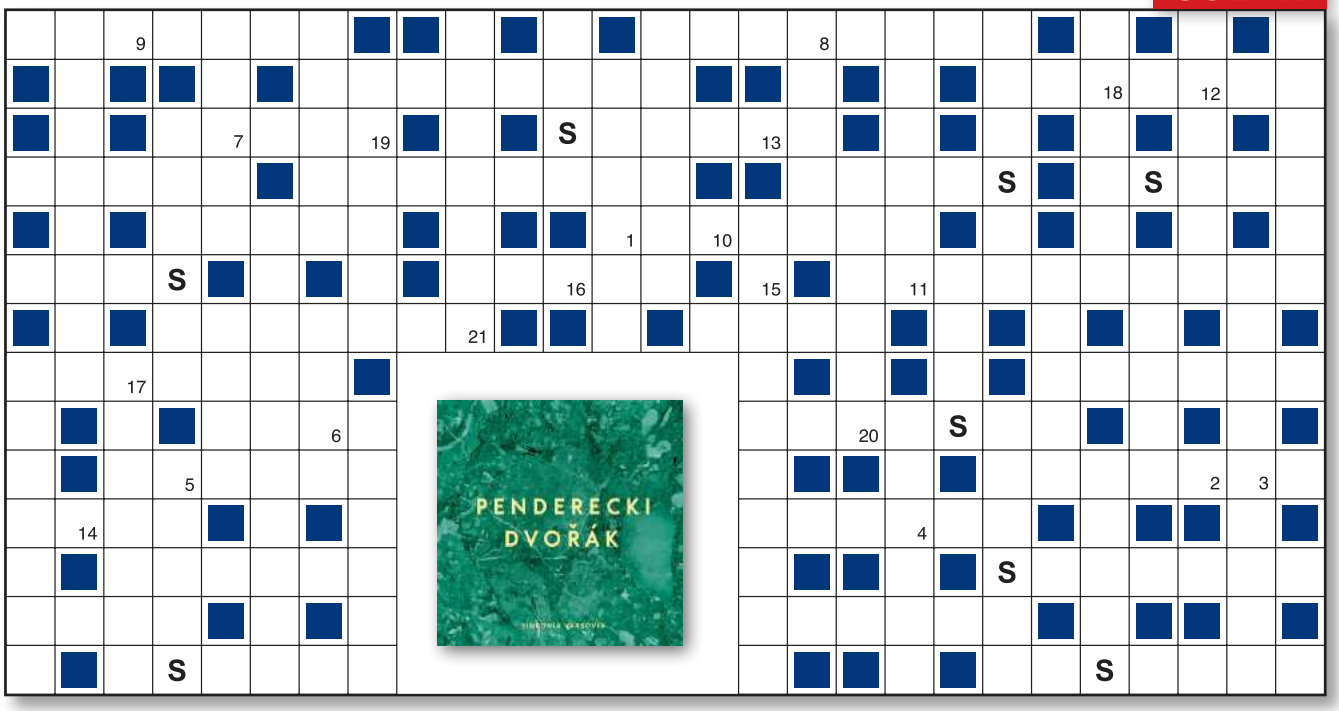

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- przyjaciel Gustawa w „Ślubach panieńskich”
- imię żony Lewandowskiego
- latem mięknie na szosie
- może być alergiczna, wysiłkowa, infekcyjna
- posąg mężczyzny jako podpora
- przystawka na zimno w galarecie
- nakrycie głowy z antenką
- kotlety spod tłuczka
- …krymski z rozpadu Złotej Ordy
- przeszły lub przyszły w gramatyce
- zapracowany na dachu
- dorzucane do kominka
- w uszach lub deszczu o szyby
- polska tkanina poliestrowa
- sięgną zenitu podczas finału mundialu w Rosji
- Ciołek lub z Rotterdamu
- zastąpiona benzyną bezołowiową
- Linda, grała Krystle w „Dynastii”
- łubu-du, bum, bum, gruch!
- Honolulu stolicą tego stanu
- przyświeca działaniu
- Szirin Ebadi lub Marjane Satrapi
- osiedlili się w Kanaanie
- Świętojański w Krakowie, Poznaniu
- przeciwieństwo nagradzania
- sprzączka u pasa
- sygnał do uruchomienia kamery filmowej
- student w sutannie
- pracująca Ireny Kwiatkowskiej
- z rożna albo w rosole
- ktoś nieodpowiedzialny, lekkomyślny
- samochód z kolumny rządowej
- człowiek jak lalka na sznurkach
- w maratonie daleko od startu
- imię ekonomisty Friedmana
- zamiast Beaty Szydło
- więcej, niż trzeba
- płatniczy lub chwili
- szusuje po ośnieżonym stoku
- niewielki gryzoń z Eurazji
- sędziowska ocena Stocha lub Żyły
- Kłodzka jest dopływem Odry
- noworoczne prezydenta
- Iran dawniej
- tafelka
- przyczyna interwencji strażaków
- pisana po obejrzeniu spektaklu
- z nią wychodzisz od lekarza
- „…i Pucek”
- Wilhelmi, Bratny, Czarny warszawski
- np. Zawisza Czarny z Garbowa
- pas grubej skóry do wiązania
- lody z zamrożonego soku
- Augiasza do oczyszczenia
- wychował się wśród małp
- mąż lub niemąż mamy
- przypinane włosy
- średniowieczny poeta i śpiewak
- Kronos i Okeanos
- dawna rosyjska jednostka długości
- do ewidencji, księgi pamiątkowej
- jeden z darów Trzech Króli

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-838”. Do rozlosowania CD „Penderecki, Dvorák. Sinfonia Varsovia” ufundowane przez Warner Music Poland. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.838.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 1 stycznia 2018 r.

Rozwiązanie „JOLKI-835” z 10 grudnia:
Niedosyt wynika czasem z przesytu.

Nagrody otrzymują: Zofia Faust z Zielonej Góry, Barbara Idzikowska z Bełchatowa, Irena Zbucka z Koszalina.

eprasa.pl 8704c09f26

PENETRACJE

ZDANIE **PROF. JAN WIDACKI,** PRAWNIK, DYPLOMATA

Michał Rożek, historyk, zwrócił mi uwagę, że w dawnej Polsce hetmani nawet buław nie święcili, a my niedługo będziemy święcić pałki… Niektóre garnizony mają już po pięć sztandarów i każdy został poświęcony. Podobnie rzecz się miała z kapelanami, których chciały mieć także komendy wojewódzkie, a nawet powiatowe. Nie przewidzieliśmy, że wprowadzanie obrzędów i praktyk religijnych do policji przyjmie takie rozmiary.

RES HUMANA **PROF. ZBIGNIEW W. KUNDZEWICZ,** KLIMATOLOG, POLSKA AKADEMIA NAUK

Pomimo coraz silniejszych dowodów naukowych na istnienie zmian klimatycznych wciąż utrzymuje się w wielu krajach, a szczególnie w Polsce, zjawisko znane jako sceptycyzm klimatyczny. Można je postrzegać jako element ogólnego spadku zaufania do naukowców. Można je wiązać z pojawieniem się koncepcji alternatywnych rzeczywistości i postprawd, kiedy dyskurs w dużej mierze opiera się na emocjach oderwanych od faktów. Sceptycy klimatyczni podważają wiedzę o zmianach klimatu, o ich przyczynach, konsekwencjach i możliwościach ich łagodzenia. Polacy mają na ogół świadomość zmiany klimatu, ale nie uznają tego problemu za szczególnie ważny. Wydaje się, że wielu z nich wierzy, że lekarstwo (przeciwdziałanie zmianom klimatu) może być dla Polski gorsze niż choroba.

Twój STYL **AGATA PASSENT,** FELIETONISTKA

W naszej części świata chłopcy dużo chętniej ustawiają się sznurem za mundurem. Panowie bardziej niż dziewczyny boją się wyróżniać z tłumu, wręcz chyba lubią w tym tłumie siedzieć w kupie – częściowo tym tłumaczę dużą liczbę chętnych do przebierania się w moro w ramach obrony terytorialnej. To taki sport drużynowy.

PLAYBOY **TOMASZ RACZEK,** PIERWSZY REDAKTOR NACZELNY „PLAYBOYA"

Miałem pokazać Anicie Lipnickiej zdjęcia do zaakceptowania. Najważniejsze było to, gdzie była ubrana tylko w koronkową, prześwitującą sukienkę, przez którą wszystko było widać. Odwracam więc kolejne kartki, Anita kiwa aprobująco głową. Dochodzimy do najważniejszego momentu i wtedy słyszę: „O nie, o Jezu!". Zrobiło mi się gorąco. Tłumaczę: „Ale przecież tu praktycznie nic nie widać, to gęsta koronka". Anita spojrzała na mnie ze zdziwieniem: „Ale o czym pan mówi?". „Widzę, że pani ma z tym zdjęciem jakiś problem". „No tak, bo ja tu grubo wyglądam!". Oczywiście wcale nie wyglądała grubo. Świetnie wyglądała.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Mysz się nie prześlizgnie.

Aby język giętki…

PROF. JADWIGA STANISZKIS O ANDRZEJU DUDZIE

Jest niewiarygodny, nie tylko łamie konstytucję, ale ma też w sobie niepewność. Zostanie kompletnie zepchnięty ze sceny. I już to widzi.

LUDWIK DORN O ZMIANIE PREMIERA

Błaszczak, Kuchciński – jedno popychle zamieniać na drugie, jaki w tym sens? Został więc Morawiecki.

PROF. IRENEUSZ KRZEMIŃSKI O KOŚCIELE

Chcemy żyć w świeckim państwie. Jestem człowiekiem wierzącym, ale wizja Kościoła wracającego do końca lat 30. jest dla mnie nie do przyjęcia.

ZOŚKA PAPUŻANKA O LITERATURZE

Z literatury można się nauczyć tylko literatury, niczego więcej.

MACIEJ ENGLERT O TEATRZE

Teatr nie zmienia świata. Może zmieniać ludzi, którzy mogą zmieniać świat.

KRYSTYNA JANDA O SAMOTNOŚCI

Jestem ciągle sama. Bez przerwy. I bardzo mi z tym dobrze. Bardzo chronię swoje godziny. Nocne godziny samotności.

GRZEGORZ ROSIŃSKI O POLAKACH

Wielu Polakom się wydaje, że ci z zachodniej Europy są głupi. Tkwi w nas głęboka pogarda dla wszystkich naokoło. Nie powiemy Anglik, tylko Angol, nie Francuz, tylko Franca.

WOJCIECH ŁAZAREK O LOSIE TRENERA

Jak ja bym był poważny, to dawno bym zwariował. W życiu piłkarskim chodzi o to, by pozostać przy zdrowych zmysłach.

PAWEŁ KASPRZAK O ADAMIE LIPIŃSKIM

Architekt PC. Ale wcześniej nie załapał się na listy wyborcze Komitetu Obywatelskiego układane przez Władka Frasyniuka.

MARYLA RODOWICZ O MĘŻU

Miał pretensje, że opowiadam o swoich byłych miłościach. Że to go boli i dotyka.

MARCIN ŚWIETLICKI O KOLEDZE

Pytał mnie: no i co o mnie napisałeś? Powiedziałem: nic. Strasznie się wkurzył.

eprasa.pl 8704c09f26

MEMY BEZ ŚCIEMY

Artystyczna wizja skutków objadania się przy świątecznym stole? Wystawa prac Kolumbijczyka Fernanda Botera w muzeum Vittoriano w Rzymie.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Dobry tylko dla zwierząt

Organizacja SPCA zajmująca się ochroną praw zwierząt i wspierająca adopcje zwierzaków domowych zatrudniła w San Francisco robota oferowanego przez firmę Knightscope. Robot miał przepędzać bezdomnych koczujących wokół siedziby SPCA. Przekroczył jednak zakres swoich obowiązków, gdyż w pewnym momencie zaczął bezdomnych terroryzować. Działanie potępiły władze San Francisco, nałożyły dodatkowo na organizację mandat w wysokości 1 tys. dol. dziennie za działalność na chodniku bez zezwolenia.

Mięso przyszłości?

W Ameryce i Europie coraz popularniejsze staje się sztuczne mięso, którego głównym składnikiem jest białko roślinne. Beyond Meat, czyli największa w Stanach Zjednoczonych firma zajmująca się jego produkcją, z powodzeniem sprzedaje swoje produkty do 5 tys. restauracji i dziesiątek tysięcy supermarketów. Specjaliści oceniają, że w każdej dekadzie zainteresowanie sztucznym mięsem będzie rosło o 10% i w roku 2020 wartość tego rynku wyniesie ponad 5 mld dol.

Fatalne zauroczenie

38-letni Japończyk Takuya Kawamura chciał zdobyć serce koleżanki z pracy, udowadniając swoją zaradność i męskość. Dlatego nocą zakradł się do jej auta i popsuł w nim hamulce, wierząc, że dziewczyna zwróci się do niego o pomoc. Niestety, rano wsiadła do auta i od razu pojechała, a o zepsutych hamulcach dowiedziała się, dopiero gdy próbowała zahamować. Pojazd uderzył w ścianę budynku. Kobieta zgłosiła sprawę na policję – nagrania z monitoringu ujawniły winnego.

Nie tylko po ślubie

Trybunał Konstytucyjny Indonezji oddalił wniosek Sojuszu na rzecz Miłości w Rodzinie. Sojusz domagał się uznania wszelkich stosunków seksualnych, w tym dobrowolnych, odbywających się poza małżeństwem, za cudzołóstwo. Sojusz jednoczy grupę konserwatywnych wykładowców akademickich oraz aktywistów, którzy wychodzą z założenia, że prawo do życia seksualnego mają wyłącznie osoby pozostające w usankcjonowanych związkach małżeńskich.

NOWA POSTAWA NA NOWY ROK

Przyjmując odpowiednią postawę, możemy wywrzeć na innych pożądane wrażenie

Jestem pewny siebie. Wyprostuj plecy, wciągnij brzuch, swobodnie opuść ramiona, trzymaj głowę wysoko. Osoby słabe i niepewne kulą się i krzyżują ręce na piersiach, przez co wydają się niesympatyczne i nieprzychylne.

Jestem kimś interesującym. Rozmawiając z kimś, pochyl się lekko w kierunku rozmówcy. Osoby przyjmujące taką pozycję odbierane są jako interesujące i przyjemne, natomiast odchylające się do tyłu uznawane są za niemiłe i mało interesujące.

Jestem macho. Stań w rozkroku, z wyprostowanymi nogami i szeroko rozstawionymi stopami. Taka postawa zapewnia większą stabilność i wyraża pewność siebie. Przyjęcie postawy nieruchomej dodatkowo komunikuje: jestem silny. Osoby uległe często przyjmują pozycję równoległą, w której nogi są wyprostowane, stopy ułożone blisko siebie.

Jestem otwarty. Stanie w rozkroku wskazuje na otwartość i dominację, nogi skrzyżowane sugerują zamknięcie, uległość i obronę.

Wiem, czego chcę. Usiądź prosto, nie opieraj się. To pokazuje, że masz dużo energii. Jesteś opanowany i świadomy siebie. Gdy ktoś siada na samym brzegu krzesła, to prawdopodobnie nie jest w pełni przekonany co do słuszności sprawy, z którą przyszedł, nie jest też pewny samego siebie. Ci, którzy rozsiadają się i rozpierają na krześle, a zatem dobitnie akcentują swoją obecność, z reguły są niepewni siebie i nie aż tak energiczni, za jakich chcieliby uchodzić.

Nie zadzieraj ze mną. Taki komunikat nadasz, zakładając kostkę prawej nogi na kolano lewej. Ta pozycja komunikuje zwykle chęć rywalizowania, emocjonalnej gotowości do zdecydowanego włączenia się do rozmowy i zdominowania pozostałych dyskutantów.

Na podstawie tekstu Wiesława Sikorskiego „Co mówisz, jak siedzisz". charaktery magazyn psychologiczny

Przegląd „PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY
RDC Warszawa 101 FM DAB+
RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

eprasa.pl 8704c09f26

Życie z powietrza

Na Antarktydzie odkryto mikroby, które mogą przeżyć bez wody, pożywienia i światła, odżywiając się jedynie powietrzem. Naukowcy z Uniwersytetu Nowej Południowej Walii w Australii twierdzą, że organizmy te byłyby w stanie przeżyć również na innej planecie.

Pod gwiazdami

W centrum Edynburga przeprowadzono akcję „Sleep in the park", w której przeszło 8 tys. osób nocowało pod gołym niebem. Miała ona zwrócić uwagę na problem bezdomności. Pomysł był bardzo trafiony – udało się zebrać aż 3,6 mln funtów.

PLAYBOY SIĘ ŚMIEJE

W drodze na plebanię ksiądz spotyka prostytutkę, zatrzymuje się i mówi do niej:
– Boże kochany, dziecko, zeszłaś na złą drogę.
– A to tędy tiry nie jeżdżą?

•

Pacjentka siedzi u dentysty, w ustach ma gaziki, lekarz dłubie jej w zębach. Nagle dzwoni telefon. Dentysta odbiera:
– Halo, kto mówi?
– Jak to, kto mówi?! Mąż!
– A, mąż… Już kończymy. Żona tylko wypluje i zaraz oddzwoni.

FOT. AFP/EAST NEWS (2), FB.COM/NOWOCZESNYMAOIZM, FB.COM/WOLNEMEDIA, TWITTER.COM

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 8704c09f26

Maria Anto

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Bez tytułu

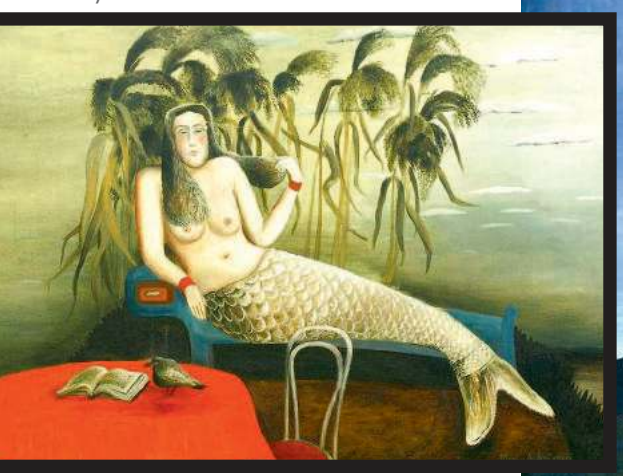

Rocznica II

Spacer wieczorem

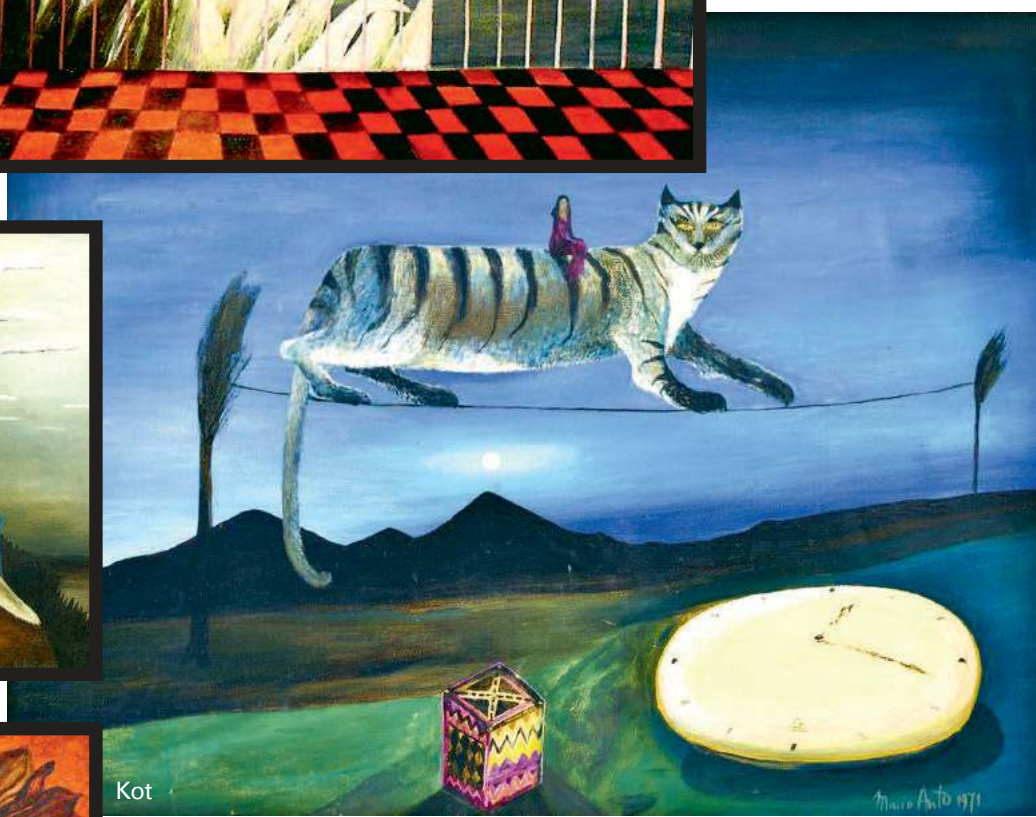

Kot

Wystawa nie tylko odkrywa na nowo twórczość Marii Anto, lecz także przybliża zagadnienia związane z praktyką artystyczną kobiety malarki, przez kilka dekad funkcjonującej z sukcesem w środowisku zdominowanym przez mężczyzn. Prace artystki, wpisywane w tradycję surrealizmu, malarstwa metaforycznego, sztuki naiwnej i fantastyki o charakterze baśniowym, nasycone są tajemnicą. Maria Anto ignorowała w równym stopniu aktualne tendencje artystyczne, jak i zasady realistycznego obrazowania. Jej malarstwo jest splotem wyobraźni, wspomnień i spraw zaczerpniętych z życia.

Zachęta Narodowa Galeria Sztuki
Warszawa, pl. Małachowskiego 3 **do 4 lutego**

eprasa.pl 8704c09f26

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

premiera
30 grudnia

spektakl sylwestrowy
31 grudnia

kolejne pokazy
2, 3 stycznia

Spektakl muzyczny na podstawie śpiewnika Leona Schillera, który zbierał codzienne piosenki wykonywane przez mieszczan, artystów i żołnierzy w pierwszej połowie XX wieku. Schiller wprowadził tę amatorską i popową twórczość na Scenę Narodową jako „Kram z piosenkami". Zbiór ten pod warstwą ludyczności i humoru kryje historyczne i erotyczne tropy. Twórcy do współtworzenia spektaklu zaprosili mieszkańców Pragi.

Kram z piosenkami

Leon Schiller
Cezary Tomaszewski

na_prawa Warszawa
Program Rewitalizacji
Zadanie zostało zrealizowane dzięki wsparciu finansowemu Miasta Stołecznego Warszawy w ramach Zintegrowanego Programu Rewitalizacji m.st. Warszawy do 2022 roku
Festiwal Miasto Szczęśliwe
miasto szczęśliwe
teatr powszechny
Instytucja kultury m.st. Warszawy
Patroni medialni
wyborcza
wyborcza.pl WARSZAWA
cojestgrane24
AKTIVIST

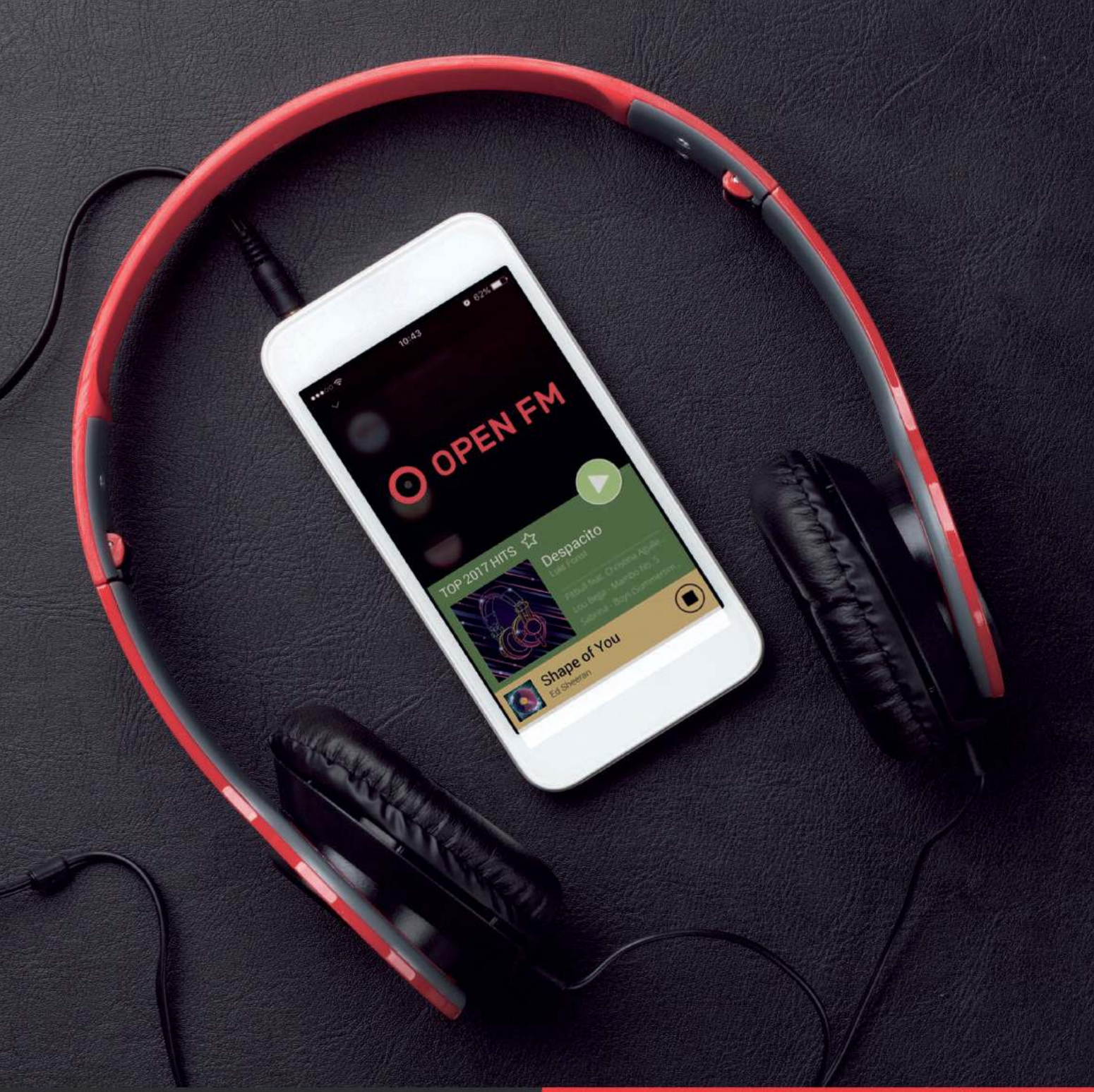

OPEN FM

Numer 1 wśród aplikacji muzycznych w Polsce.

POBIERZ I SŁUCHAJ
ZA DARMO

WWW.OPEN.FM

epresa.pl 8704c09f26